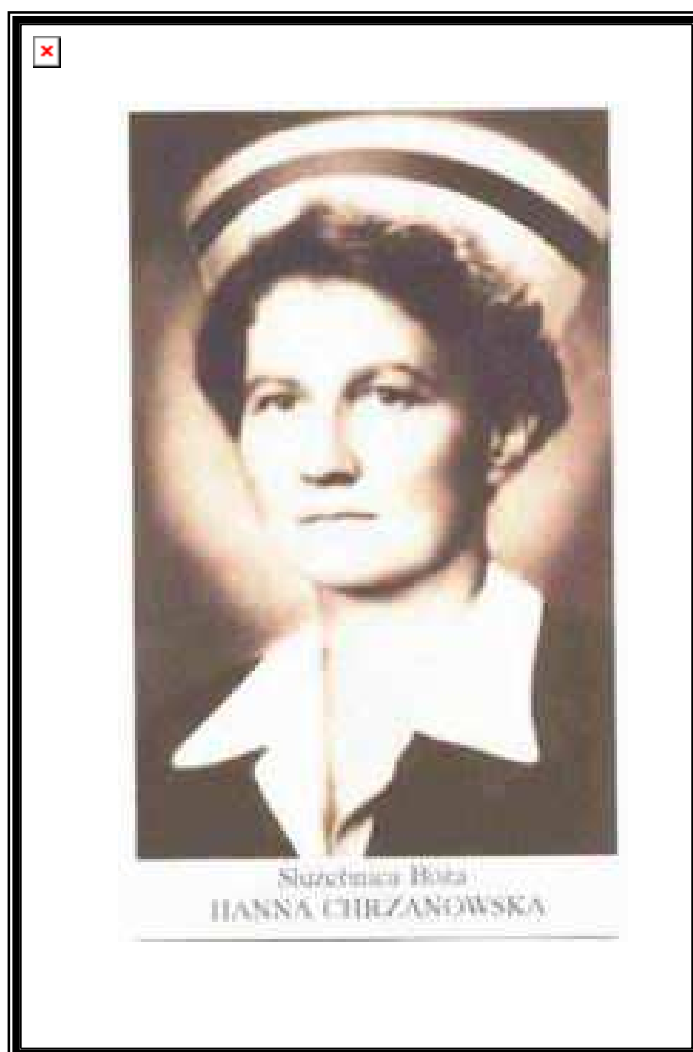


*Moja praca, to nie tylko mój
zawód, ale – powołanie.
Powołanie to zrozumieć, jeśli
przeniknę i przyswoję sobie słowa
Chrystusa: „nie przyszedłem, aby
mnie służyli, ale abym służył”.*

(Hanna Chrzanowska)



Ideał miłości do drugiego człowieka,
pełna pokory, szacunku i uśmiechu,
zawsze śpiesząca z pomocą
ukochanym przez siebie chorym,
wierna Bogu,
wybitna Pielęgniarka,
do końca...

**ŚLĄSKA AKADEMIA MEDYCZNA
WYDZIAŁ OPIEKI I OŚWIATY
ZDROWOTNEJ**

KIERUNEK: PIELEGNIARSTWO

Aleksandra Jędrzyk

***HANNA CHRZANOWSKA – PREKURSORKA
PIELEGNIARSTWA RODZINNEGO***

Praca licencjacka napisana pod kierunkiem:

Dr n. med. Grażyny Franek

KATOWICE 2004

*Serdeczne wyrazy podziękowania
kieruję w stronę wszystkich życzliwych osób,
które w jakikolwiek sposób przyczyniły się
do powstania niniejszej pracy.*

W szczególności dziękuję:

- Kierownikowi Zakładu Pielęgniarstwa Środowiskowego Śląskiej Akademii Medycznej – **Pani dr n. med. Grażynie Franek**;
- **Ks. Kazimierzowi Kubik** z parafii p.w. św. Mikołaja w Krakowie za szereg konsultacji oraz udostępnienie bogatych materiałów dotyczących Hanny Chrzanowskiej;
- **Pani Zofii Szlendak-Cholewińskiej** – wieloletniej współpracownicy Hanny Chrzanowskiej za podzielenie się swoimi licznymi wspomnieniami;
- **Pani Marii Prokopczyk** – uczennicy Hanny Chrzanowskiej i koleżanki z grona pedagogicznego za udzielenie wyczerpującego wywiadu;
- Moim rodzicom, rodzeństwu, wszystkim koleżankom, kolegom oraz tym, którzy wspierali swoimi kompetencjami i umiejętnościami techniczną stronę mojej pracy.

SPIS TREŚCI

WSTĘP	5
ROZDZIAŁ PIERWSZY: Cel pracy	7
ROZDZIAŁ DRUGI: Źródła i opracowania	8
ROZDZIAŁ TRZECI: Czas wzrastania	10
ROZDZIAŁ CZWARTY: „Młodości! ty nad poziomy wylatuj”	16
ROZDZIAŁ PIĄTY: Dlaczego zostałam pielęgniarką?	30
ROZDZIAŁ SZÓSTY: W poszukiwaniu klucza	34
ROZDZIAŁ SIÓDMY: Okupacja	44
ROZDZIAŁ ÓSMY: Narodziny pielęgniarstwa domowego	50
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY: Pielęgniarstwo parafialne	64
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY: Ciche bohaterstwo	71
ROZDZIAŁ JEDENASTY: Nie samym chlebem żyje człowiek	76
ROZDZIAŁ DWUNASTY: U kresu sił	88
ROZDZIAŁ TRZYNASTY: „Non omnis moriar”	96
ROZDZIAŁ CZTERNASTY: W kręgu świętych	99
PIŚMIENNICTWO	101
ANEKS	105

WSTĘP

*Dobrych ludzi
nikt nie zapomina.*
(Safona)

O Hannie Chrzanowskiej – prekursorce pielęgniarstwa rodzinnego po raz pierwszy usłyszałam na wykładzie z pielęgniarstwa środowiskowego. Zaciekawiła mnie ta postać wtedy do tego stopnia, że przeczytałam opracowaną przez ks. Kazimierza Kubika książkę, zatytułowaną: *Promieniowanie postugi*, w której zebrano materiały z sympozjum z okazji 25-lecia śmierci Hanny Chrzanowskiej. Książka ta ukazała mi, nie tylko trudne początki pielęgniarstwa rodzinnego i nie łatwe politycznie czasy, w których powstawało, ale przede wszystkim, wielką pionierkę – pielęgniarkę, oddaną do końca i przede wszystkim służbie bliźnim, a szczególnie ludziom chorym.

Hanna Chrzanowska zachwycała mnie swoją osobowością, tym jak bardzo ważna – najważniejsza, była dla niej obecność przy łóżku pacjenta w pełnej gotowości do służenia w najprostszych, przynoszących ulgę cierpiącemu człowiekowi czynnościach. Doskonałe zrozumienie własnego powołania, jakim się cechowała, skłania do refleksji nad własnym życiem, daje przykład ideału pielęgniarki i zachęca do naśladowania.

Obowiązkowa, sumienna, konsekwentna, uczciwa, odważna, sprawiedliwa, a przy tym otwarta, wrażliwa, skromna, pokorna, serdeczna, bezpośrednia w kontaktach i pełna ogromnego poczucia humoru trafiała swoją szczerą miłością do drugiego człowieka, prosto w serca pacjentów, koleżanek, uczennic i wychowanek, każdego, kto miał zaszczyt zetknąć się z nią w swoim życiu.

Czy pamięć o niej przeminie? Wierzę, że jej siła ducha przetrwa, nie tylko w licznych zapiskach, utworach literackich i poetyckich, artykułach publicystycznych, jakie po sobie pozostawiła, odznaczeniach, które otrzymała, ale przede wszystkim w pamięci ludzkich serc, którym wyświadczyła tak wiele dobra, a także w pamięci tych, którzy poznają ją dopiero teraz z owoców tego, co kiedyś „zasadziła”, czemu dała początek. Pamięć Hanny Chrzanowskiej trwa w nowych pokoleniach pielęgniarek, czego dowodem są szkoły medyczne pod jej patronatem, poświęcone jej pamięci sympozja, prace naukowe o jej życiu i działalności, czy otwarty przed kilku laty proces beatyfikacyjny.

Uniwersalna i ponadczasowa postawa życia Hanny Chrzanowskiej, „promieniowanie jej postugi” na zawsze stały się wzorem dla wszystkich pokoleń

pielęgniarek. Ukazała nam wielkość zawodu pielęgniarki, jego miejsce w procesie przywracania i utrzymywania zdrowia pacjentów w ich najbliższym, domowym środowisku. Wyprzedziła ówczesne trendy medycyny postrzegając pacjenta w sposób holistyczny, traktując go jako jednostkę indywidualną w jego konkretnym życiowym środowisku. Odeszła zupełnie od izolowania sfery biologicznej człowieka w postrzeganiu go tylko w aspekcie przypadku medycznego.

Zbieranie materiałów na jej temat, rozmowy z osobami, które znały ją osobiście, odwiedzanie miejsc, z którymi była związana, „śledzenie” jej losów oraz pisanie pracy, której bohaterką jest Hanna Chrzanowska, to dla mnie bogate doświadczenie życiowe i wielki zaszczyt, gdyż w moich oczach jest ona – i zawsze będzie – niedoścignionym wzorem i ideałem.

Wierzę głęboko, że przykład Hanny Chrzanowskiej zaprocentuje również w moim przyszłym, nie tylko zawodowym życiu, jak procentuje w sercach tych, którzy ją znali i kochali.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

CEL PRACY

Celem pracy jest:

1. Oddanie hołdu pamięci, w zebranych materiałach, jednej z najwybitniejszych polskich pielęgniarek, wielkiemu społecznikowi, prekursorce pielęgniarstwa rodzinnego oraz twórczyni pielęgniarstwa domowego i parafialnego – Hannie Chrzanowskiej.
2. Przybliżenie czytelnikowi życia i działalności Hanny Chrzanowskiej.
3. Ukazanie założeń, znaczenia oraz piękna i prostoty pielęgniarstwa w postawie Hanny Chrzanowskiej.

ROZDZIAŁ DRUGI

ŹRÓDŁA I OPRACOWANIA

Przy pisaniu pracy wykorzystano materiały źródłowe i opracowania dotyczące sylwetki Hanny Chrzanowskiej.

Źródłem historycznym nazywamy utrwalony w jakiegokolwiek postaci i zachowany ślad myśli lub działania ludzkiego⁽¹⁾. [...]

Źródła pisane są [...] najbardziej rozpowszechnione i potocznie uznane za właściwe źródła historyczne. Zachowały się [...] w dwojakiej postaci: pisane ręcznie oraz wykonane sposobem mechanicznym – drukowane, litografowane lub inne⁽²⁾.

Formami źródeł pisanych są:

1. **Źródła literackie**, do których należą przede wszystkim dzieła beletrystyczne mające jakąkolwiek styczność z medycyną, jak też liczne powieści, których autorami są lekarze lub [...] książki poświęcone życiu lekarzy lub problematyce medycznej. Do tego rodzaju źródeł zaliczyć [...] należy nekrologi, ogłoszenia o śmierci, teksty i przemówienia z okazji różnych uroczystości i jubileuszów, artykuły prasowe, komunikaty, reportaże i wywiady [...]⁽³⁾.
2. **Źródła o charakterze prywatnym** to np. korespondencja znakomitych lekarzy, dzienniki, pamiętniki, wspomnienia i różne ich osobiste notatki⁽⁴⁾.
3. **Źródła urzędowe** są to akta urzędowe, to jest dokumenty opisujące pewne czynności lub będące pisany wyrazem wszelkich czynności prawnych⁽⁴⁾.

Źródła o charakterze plastycznym, zawierają treść medyczną [...]. Z punktu widzenia technicznego, przez źródła tego rodzaju rozumieć należy rzeźby, płaskorzeźby, obrazy, rysunki, drzeworyty, ryciny, ilustracje, fotografie⁽²⁾.

¹ B. Seyda, *Dzieje medycyny w zarysie*, PZWL, Warszawa 1962, część I, s. 15.

² Ibidem, s.16.

³ Ibidem, s.16-17.

⁴ Ibidem, s.17.

Wywiad jest to: *jedna z podstawowych metod zbierania określonych informacji i badania opinii publ., polegająca na przeprowadzeniu odpowiednio ukierunkowanych rozmów*⁽⁵⁾.

Dokumentacja to:

1. *zbiór dokumentów uzasadniających coś, materiały źródłowe; dowody [...]* ⁽⁶⁾.
2. *udowodnienie, stwierdzenie na podstawie dokumentów; dokumentowanie [...]* ⁽⁶⁾.

Dokumentem natomiast nazywamy:

1. *pismo sporządzone we właściwej formie, zaopatrzone w środki uwierzytelniające (np. pieczęcie, podpisy), które stwarza, potwierdza lub zmienia stan prawny [...]* ⁽⁵⁾.
2. *dowód, świadectwo prawdziwości jakiegoś faktu [...]* ⁽⁶⁾.
3. *każdy przedmiot materialny wyrażający myśl ludzką, służący do udowodnienia jakiegoś twierdzenia; d. graficzne (druki, rękopisy itp.), oglądowe (m.in. fotografie, filmy) i słuchowe (taśmy dźwiękowe, płyty)*⁽⁷⁾.

Materiał dotyczący niniejszej pracy zbierany był od stycznia 2004 roku do czerwca 2004 roku.

⁵ *Multimedialna encyklopedia PWN na dwóch płytach*, Wydawnictwo Naukowe PWN S.A., Warszawa – Wrocław 2000.

⁶ *Słownik języka polskiego PWN*, Warszawa 1978, t.1.

⁷ *Encyklopedia popularna PWN*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1993.

ROZDZIAŁ TRZECI

CZAS WZRASTANIA

*Trzeba, żeby młodość była „wzrastaniem”,
Aby niosła z sobą stopniową akumulację
wszystkiego, co prawdziwe, dobre i piękne.
(Jan Paweł II, Nie kuśtykaj na drodze miłości)*

Była jesienna noc. W uśpionej Warszawie, gdy zegar odliczał pierwsze minuty nowego dnia, 7.10.1902 r. w kamienicy przy ul. Senatorskiej 38, przyszła na świat Hanna Helena Chrzanowska⁽⁸⁾ – drugie dziecko i jedyna córka Wandy i Ignacego Chrzanowskich.

Ojciec Hanny, Ignacy Chrzanowski, *późniejszy profesor UJ, autor „Historii literatury niepodległej Polski”, ze strony matki spokrewniony był z Joachimem Lelewelem i bardzo blisko z Henrykiem Sienkiewiczem. (Stefania z Cieciszowskich, matka Henryka Sienkiewicza, była siostrą Aleksandry Dmochowskiej, babki Ignacego Chrzanowskiego). Matka Hanny – Wanda była córką znanego w Warszawie bardzo zamożnego przemysłowca Karola Szlenkiera⁽⁹⁾ – pisze w biografii Hanny Chrzanowskiej jej bliska współpracownica, pani Alina Rumun. Oprócz rodziców i dziadków narodzin małej Hani oczekiwał także jej starszy o 2 lata brat Bogdan. W późniejszym czasie ożenił się z Austriaczką i doczekał jednej córki – Wandy⁽¹⁰⁾.*

Chrzcziny Hanny odbyły się w Wiązownie, w przepięknie położonej nieopodal Warszawy oazie ciszy i spokoju, gdzie mieszkali dziadkowie Hanny⁽³⁾. Tam, w willi dziadków Hanna spędziła najpiękniejsze lata swojego dzieciństwa.

Mieszkanie mojej babki – opisuje Hanna Chrzanowska – było dla mnie nie jakimś luksusem, którego miałabym się wstydzić. Przede wszystkim był to czarodziejski pałac mojego dzieciństwa. Na ten temat mogłabym pisać i pisać, przywołując zapach frezji na marmurowych schodach, brzmienie zegarów – jednego po drugim – w głębi komnat pełnych rzeźb, paproci, ślicznych płócien, szaf, bibliotek, dywanów, ogromnych

⁸ M. Czech, *Hanna Chrzanowska – życie i dzieło*, w: *Promieniowanie postugi* Oprac. K. Kubik, Kraków 1999, s.21.

⁹ A. Rumun, *Hanna Chrzanowska*, w: *Chrześcijanizm* pod red. B. Bejze, Akademia Teologii Katolickiej, Warszawa 1978, t.3, s.346.

¹⁰ M. Czech, *op.cit.*, s. 13.

„grających” muszel i jakichś zdumiewających bibelotów. Ach, te zakamarki, te długie i duże korytarze, niespodziewane zakręty, mroki i rozjaśnienia, ukryte drzwiczki, kanapka tak sprężysta, żeśmy ją nazywali „oddychającą”, kryta błękitnym jedwabiem o srebrnych kwiatach, chłodnych, gdy się do nich przyłożyło rękę, albo policzek...⁽¹¹⁾

Malowniczy świat dzieciństwa przyszłej pielęgniarce nie ograniczał się tylko do subiektywnego odczuwania piękna. W rodzinie Chrzanowskich i Szlenkierów z pokolenia na pokolenie panował „duch dobroczynności”, którym mała Hania „przesiąkała” od najmłodszych lat swojego, tak bardzo pielęgniarckiego – życia. Po wielu latach opisała w swoim pamiętniku, jakie wielkie piętno społecznika wpisano w nią już w dzieciństwie, poprzez atmosferę w jakiej ją wychowano.

Moi dziadkowie ze strony macierzystej – wspomina Hanna – byli najautentyczniejszymi filantropami. Wzrosłam w atmosferze pomocy drugim i tzw. wówczas dobroczynności jako w najnaturalniejszej aurze. Również obyczaje domu rodziców mego ojca odbijały się zupełnie harmonijne w mojej świadomości. Ochrona dla dzieci była utrzymywana przez „dwór” (trudno o dwór skromniejszy). Stosunek do ludzi w czworakach był tak naturalnie – tak właśnie: demokratyczny, że nie istniały żadne zagadnienia⁽²⁾. Dziadek [...] był wzorem obywatela, a moja babka [...] świadoma swoich obowiązków, rzadką przedstawicielką drobnego ziemiaństwa.

Życie obojga było skromne, a pełne godności. Nie umiem powtórzyć za kimś, kto niedawno wyraził, mając na myśli filantropię mojej warszawskiej rodziny: przewroty społeczne byłyby niepotrzebne, gdyby cała bogata burżuazja była jak Szlenkierowie!⁽¹²⁾ [...] Tymczasem moi wiejscy dziadkowie, którzy z trudem mogli się zdobyć na wyższe wykształcenie swoich czterech synów [...] wybudowali obszerne, widne czworaki. A tynk całymi płatami odpadał z murów ich własnego domu, który kiedyś wydał mi się żenująco obszarpany [...]

Otóż myślę, [...] że gdyby wszyscy ziemianie byli tacy, jak moi dziadkowie – to... nie, nie powiem, że reforma rolna to rzecz zbędna, ale w żadnym wypadku reforma nie byłaby likwidacją krwiopijstwa... Dobroć mojego ojca, dobroć cudowna, była na pewno dalszym ciągiem dobroci tego domu [...] Była to dobroć w stosunku do drugiego człowieka [...]

A teraz rzecz ważna, najważniejsza, zasadnicza. Nigdy nie słyszałam, ja, która wzrosłam w atmosferze dobroczynności i dobroci, że się ją pełni dla miłości Boga i z miłości Boga. Nigdy nie powiedziano mi, że mam być dobra z powodu Boga i dla Boga. Tkliwość macierzyńska, która otaczała mnie, jak skrzydło pisklą, była obok całej swej

¹¹ H. Chrzanowska, *Pamiętnik*, s.3.

¹² *Ibidem*, s.5.

miękkości, najeżona twardymi nakazami obowiązku i zatroskana i przerażona, czy aby sprostam, czy nie zdradzę linii? Moje przestępstwa dziecięce traktowane były przez matkę ze łzami rozpaczy, a nauki jej druzgocące, mimo całej tkliwości⁽¹³⁾.

Choć dokładna data przystąpienia Hani do pierwszej Komunii Św. jest nie znana, wiemy, że w rodzinie Chrzanowskich za religijne wychowanie dzieci odpowiedzialna była matka, która zobowiązała się do tego, zawierając małżeństwo w kościele katolickim⁽¹⁴⁾.

Pisze dalej Hanna Chrzanowska w swoim pamiętniku o rodzicach:

Oboje byli niewierzący: i moja matka (w paszporcie wyznania ewangelicko-augsburskiego), długie lata w mękach ateistycznego pesymizmu i mój ojciec (w paszporcie rzymski katolik) pozytywistyczny wówczas liberał co się zowie! Ale każde z nich straciło inną wiarę i każdemu z nich został po niej inny osad.

Z miłości ojcowskiej (tak niezmiernej do końca życia) do mnie tryskał optymizm, krzepiąca wyrozumiałość na słabości mojej natury. Chociaż i ojciec nie kazał mi być dobrą dla Boga i przez Boga, chociaż i on był fanatykiem obowiązku, przede wszystkim – patriotycznego, nie miał ze mną rozmów „zasadniczych”, od których dostawałam gęsiej skórki.

Zresztą bardzo wczesnie nasze porozumienie i nasza przyjaźń rozkwitła na tle porozumienia w świecie artystycznym, utworów literackich, którymi Ojciec nasycił całe mojego brata i moje dzieciństwo. [...]

Dzieciństwo moje – warszawskie i podwarszawskie – tak bardzo szczęśliwe, było szczęśliwe jeszcze przez to, że obie moje rodziny – ojcowska i macierzysta – miały, każda na swój sposób bardzo wysoki zmysł społeczny i każda realizowała go na swój sposób.

Od dzieciństwa pamiętam, że się mówiło o ochronach, wspomaganych rodzinach, koloniach.

Najważniejsza była Ciocia Zosia (Zofia Szlenkierówna), młodsza siostra mojej matki, która przeszła do historii pielęgniarstwa. [...] Moja babka finansowała w Warszawie szpitalik dziecinny (osobiście wcale tego nie pamiętam) i myśli Ciotki kształtujące się w atmosferze filantropii popłynęły właśnie w kierunku stworzenia dzieła dla dzieci. Myślała o jakimś sanatorium w Wiązownie [...], ale potem postanowiła wybudować szpital w Warszawie⁽¹⁵⁾ – późniejszy szpital Karola i Marii, nazwany od imienia rodziców Zofii Szlenkierówny.

Dzieciństwo Hanna spędzała na domowej nauce, okresowych wyjazdach z babcią Szlenkierową do południowej dzielnicy Francji – Arcachon, na sanatoryjnych kuracjach

¹³ Ibidem, s.6. Pisownia zgodna z oryginałem maszynopisu.

¹⁴ A. Rumun, *op.cit.*, s.349.

¹⁵ H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.6-8.

w Zakopanem, a przede wszystkim, na zabawie i rozwijaniu swojej bujnej dziecięcej fantazji.

Przy tak intensywnej wyobraźni – mówi jej starsza kuzynka – nie była jednak Hania bujającą w obłokach marzycielką, przeciwnie – było to dziecko żywe i przedsiębiorcze. Czynnie uczestniczyła w życiu otoczenia. Wyobrażenia nie tylko jej w tym nie przeszkadzała, lecz sprzyjała później przejawianiu pomysłowości, twórczej inicjatywy i zaradności w prowadzonych przez nią akcjach pomocy społecznej⁽⁷⁾.

Przełomowym momentem w życiu całej rodziny Chrzanowskich była przeprowadzka w 1910 r. do Krakowa, gdzie ojciec, znany już wtedy filolog i historyk literatury, objął katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Początkowo przez rok Hanna uczęszczała w latach 1911 – 1912 do szkoły panny Okołowiczówny. Później w latach 1917 – 1920 kontynuowała naukę w gimnazjum ss. Urszulanek⁽¹⁶⁾.

W Krakowie – opisuje później w swoim pamiętniku – całkowicie pochłonęła mnie Szkoła i wojna, w jej polskim wydaniu – przeżywałam tragedię Legionów, których stałam się zwariowaną (miałam kilkanaście lat) zwolenniczką.

Ale nade wszystko pochłaniała mnie Szkoła, tym bardziej, że dotąd uczyłam się w domu. Wszystko było dla mnie nowe, a nawet egzotyczne ze względu na charakter Szkoły – klasztornej. [...]

Tyle wspomnień! Takie bogactwo wspomnień! Domu moich cudownych Rodziców, oskrobanego z cienia snobizmu, wsączającego we mnie swobodę myśli, rozmach, poszerzającego zainteresowania szkolne. Ojciec dostarczający mi każdej książki na najfantastyczniejsze życzenia, które traktował poważnie i zaspakajał z pasją: kiedy w czwartej klasie pisałam powieść z czasów napoleońskich w lot dostarczył mi monografię o Legionach Dąbrowskiego, abym wiedziała, jak ubrać swego bohatera...

Szkoła pełna niespodzianek. Gmach częściowo zajęty przez wojsko austriackie, stąd wędrówki przez zakonną „klauzurę” i przez jakieś podziemne korytarze...

Olbrzymie bohomyzy święte, pędzła jednej z zakonnice... Szerokie podwórza, klasztorny ogród z częścią zarezerwowaną tylko dla sióstr, a której granice my, niegodne, odważyliśmy się przekraczać jak często się dało...

Profesorowie – cóż za typy! Koleżanki – cała fura precudownych dziewcząt! Wtajemniczenie coraz to głębsze w literaturę, nade wszystko w staropolską! [...]

Nasza klasa była nie tylko w naszych oczach, ale i oczach profesorów pierwszorzędna i wyróżniająca się przez swój charakter jakiegoś uspołecznienia, ducha

¹⁶ M. Czech, *op.cit.*, s.14.

organizacji, patriotyzm. Nie ja byłam motorem. Byłam tylko jednym z kótek, działających sprawnie i – hałaśliwie.

Lubiłam się wyżywać w pracach niezwykłych, np. dźwiganiu tylko we dwie ciężkich podiów dla wybudowania sceny. Zaprzyjaźniłam się tam, u Urszulanek z Zosią Wajdówną, dziewczyną którą pokochałam na całe życie. [...] Byłyśmy zresztą obie dziewczętami rozbuchanymi co się zowie. Wraz z trzecią koleżanką obmyślałyśmy i wprowadzały w czyn najprzemysłniejsze i najbezpieczniejsze kawały szkolne, które legły się u nas w domu, akceptowane przez moją Matkę z podziwem godną wyrozumiałości...⁽¹⁷⁾

Z ostatniego okresu nauki Hanny w gimnazjum (lata 1919 –1920) pozostał napisany przez nią wiersz, w futurystycznym, bardzo modnym w tym czasie stylu, ukazujący emocje i pełne zaangażowanie Hanny w naukę:

*Czyja to lekcja?
cichość szalona
słysząc jak krew czerwona
płyń w korycie żył jak szary opada pył
ze szczytu
sufitu*

*Chwila straszliwa
okropny czyha lew
jagniątek stada
gromada
łękliwa
czeka komu rzuci zew
lew
już*

*Ha! czuję w duszy nóż
idę na gilotynę
wokół twarze przerażone
sine*

*Przymykam oczy
świat się mroczy
nędzny ponury świat
duszy jęk
serca szczęk
i ostry kredowy dźwięk
i kat*

¹⁷ H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.19-20.

*Ciemności w mym umyśle
nic nie wymyśle
lew straszny grzywą wstrząsa
groźnie najeża wąsa
otwiera zęby paszczęki*

*huk
stuk
chwileczka męki zdrętwienie
nic nie czuję
mam dwóje-----⁽¹⁸⁾*

¹⁸ M. Czech, *op.cit.*, s.16.

ROZDZIAŁ CZWARTY

„MŁODOŚCI! TY NAD POZIOMY WYLATUJ”⁽¹⁹⁾

*Młodości! dodaj mi skrzydła [...]
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie:
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię.
(Adam Mickiewicz, Oda do młodości)*

Okres młodości Hanny Chrzanowskiej to czas poszukiwania, „dochodzenia” do prawdy swojego powołania w jego czysto humanitarnym wymiarze. Jest to okres, odnajdywania życiowej drogi, odwagi działania, realizacji marzeń i radykalnych zmian. Wśród młodzieńczych marzeń przyszła pionierka pielęgniarstwa rodzinnego połączyła swoje dziewczęce fantazje, pogodne usposobienie i ogromne poczucie humoru, z konsekwentną samorealizacją, którą widziała zawsze i ponad wszystko w niesieniu pomocy ludziom, szczególnie tym najbardziej cierpiącym.

Czasy klasztornej edukacji powoli dobiegały końca. Pielęgnowana od lat najmłodszych osobowość społecznika zaczęła się ujawniać w charytatywnych działaniach „świeżo upieczonej” maturzystki.

Nadszedł rok 1920 – naszej matury i – wojny, która już całkowicie zadecydowała o kierunku mej przyszłości – opisuje w pamiętniku.

W początku sierpnia zmarła na wsi moja stryjenka, nadjechałam już po jej śmierci. To był początek mojej krzątania koło umierających i zwłok, która stała się potem moim udziałem, odczuwanym z początku jako los, a potem – a teraz – jako specjalny przywilej. [...]

W jesieni znalazłam się w Krakowie i obie z Zosią zaczęłyśmy „pracę” w jakiejś tam sekcji Komitetu Ochrony Polski. Praca polegała na tym, żeśmy zbierały dla Komitetu po domach co się dało. Skład rzeczy i rupieci był w gimnazjum na Studenckiej. [...] Mimo to, żeśmy się bawiły świetnie, zachwycone własnym towarzystwem, traktowałyśmy pracę z jakąś pedantyczną obowiązkowością. Nie omijałyśmy żadnych drzwi w najgorszych oficynach.

¹⁹ Tytuł rozdziału zaczerpnięty z *Ody do młodości* Adama Mickiewicza.

- Jesteśmy z Komitetu Obrony Polski, zbieramy datki w pieniądzech i naturze.

- A cóż my mamy do dania? – padało często jęśliwe zapytanie, wszystko jedno czy we frontowych czy oficynowych progach.

A my dusząc się ze śmiechu: - stare ubranie, stare flaszki, artykuły spożywcze...

I jako szczyt dowcipu: - dewocjonalia, towary kolonialne... [...].

Potem – czy przedtem – była „praca w budce” na stacji, gdzie poiliśmy żołnierzy i cywilów herbatą [...]. Specjalizowaliśmy się tu – zawsze rozmiłowane w nadmiernym wysiłku i szukające w nim wyładowania naszych sił żywotnych – w dźwiganiu olbrzymich kadzi z wodą, przy czym zachowywaliśmy się jak dwa uczniaki a nie panny po maturze, budząc zamieszanie w głowie „niewiasty katolickiej” zawiadującej budką, a która nie wiedziała czy się śmiać, czy gorszyć...

Ale to był tylko początek. Koniecznie chcieliśmy się dostać do szpitala.

Zjawił się wtedy w Krakowie Amerykański Czerwony Krzyż. Zapisaliśmy się na krótkie kursy pielęgniarstwa. Niestety rozdzielono nas: trafiła każda do innej sekcji. [...]

Ja trafiłam do sekcji prowadzonej przez Miss Stellę Tylską. [...] Przede wszystkim uczono nas zabiegów. [...] Doznałam wtajemniczenia w narożniki z prześcieradła, wysokie ułożenie, rozbieranie pod kocem, kładzenie koszuli zawiązywanej z tyłu, zawiązywanej z przodu, ślanie łóżka z chorym leżącym na boku, leżącym na wznak...

Wbito mi w głowę, że odleżyna – to hańba dla pielęgniarki, zapoznano z tajnikami toalety porannej, wieczornej i kąpieli w łóżku... Niektóre zabiegi wykonywałam potem w domu [...] na mojej matce, cierpliwej jak zawsze wobec moich pomysłów i na pewno zadowolonej, że mnie ta praca „bierze”... [...]

Ale wyobraźnia nasza bujała. Wydawało nam się, że na to aby iść do rannych trzeba mieć jakieś żelazne nerwy, nade wszystko nieczułość na krew. [...] Na szczęście przyjaźniłam się z Marynką Rosnerówną, córką znakomitego profesora ginekologii. Zgodził się dopuścić ją i mnie na operację [...] I oto nie tylko pacjentka, ale i ja – o tryumfie! – Zabieg zniosłam doskonale, nie zemdlałam, nie krzyczałam, nie uciekałam⁽²⁰⁾.

Niebawem marzenia o pracy w szpitalu zaczęły się spełniać. Hanna opisuje je w dalszej części pamiętnika:

W listopadzie we dwie z Zosią, zbrojne bądź co bądź w doświadczenie w naszych oczach nie byle jakie, zaoferowałyśmy nasze cztery niewprawne ręce, dwie pstre głowy i nasze żadne poświęcenie serca Klinice Chirurgicznej na ul. Kopernika 40. To było już końcowe stadium wojennej kliniki: październik i listopad. Już nie przywożono nowych chorych, a ci, co leżeli, zmierzali ku zdrowiu, albo czasem ku straszliwemu inwalidztwu.

²⁰ H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.21-23.

Może dobrze się stało, że nie trafiłam na kurs anatomiczno – chirurgiczny, że skończyłam ten właśnie mały kurs typowo pielęgniarski, gdzie nie instrumenty chirurgiczne, ale łóżko chorego było na pierwszym planie. Rany, operacje, opatrunki, poszczególne indywidualności chorych – to wszystko przejęło nas tak dalece, że zupełnie o niczym innym nie mówiliśmy – ani między sobą, ani w domu, ani wśród przyjaciół. Uważano, że mamy bzika. Ale też w tej jednej stronności zainteresowań wyległy się nasze dwa zainteresowania: Zosi – lekarskie i moje – pielęgniarskie⁽²¹⁾.

Praca w Klinice Chirurgicznej to pierwsze zawodowe doświadczenia, których tak bardzo pragnęła i przede wszystkim – opieka nad pacjentami szpitalnymi, o której marzyła. W swoim pamiętniku bohaterka wspomina wiele doświadczeń tamtego okresu. Opisuje ciężkie stany i wielkie cierpienia wojennych pacjentów oraz powszechność śmierci, która bardzo poruszała jej młode, pielęgniarskie serce. Między wierszami jej wspomnień na kartach pamiętnika, na pierwszy plan zawsze wysuwa się troska o pacjenta, czasem zapamiętanego bardzo osobowo z imienia, a nawet nazwiska. Jedno dobre słowo podziękowania z ust pacjenta, uśmiech czy ulga, którą widziała po wykonaniu czynności pielęgnacyjnych, stanowiło dla niej zawsze największą zapłatę, a przede wszystkim radość z niesionej pomocy.

Hanna wspomina także personel szpitalny, zarówno tych, którzy stanowili dla niej wzorzec niemal idealny do naśladowania, jak i tych, z którymi musiała pracować, a którzy niestety, w niesieniu pomocy bliźnim nienajlepiej się sprawdzali. Przy całym nawale ciężkiej pracy, troskach i odpowiedzialnych obowiązkach, Hanna Chrzanowska nie traciła swojego poczucia humoru, psotnych figlów i pogodnego nastawienia, co udzielało się zarówno personelowi, jak i pacjentom, sprzyjając ich szybszym powrotom do zdrowia.

Nie od razu jednak ten życiowy cel Hanny Chrzanowskiej został przez nią jasno odczytany. Wydaje się, że w odnalezieniu pielęgniarskiego powołania Hanny zasadniczą rolę odegrała szkoła pielęgniarska Helen Bridge, jaka w tamtym czasie powstała w Warszawie. Zanim jednak Hanna wstąpiła do Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa, studiowała przez dwa lata polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Decyzję o przerwaniu studiów wspomina w pamiętniku:

Patrzę na białe sieci na morzu i na białe mewy nad siną falą Bałtyku i myślę, dlaczego to poszłam na uniwersytet, gdzieś w grudniu; nie na medycynę, ale na polonistykę? Mimo przeżyć klinicznych i mimo przykładu Zosi – wprost dlatego, żeby być razem! A to „razem” ograniczało się przy naszych zajęciach niebawem tylko do niedzieli i do codziennego przeze mnie odprowadzania Zosi do prosektorium.

²¹ A. Rumun, *op.cit.*, s.350.

Zapisałam się jednak na polonistykę. Nie było nawet dylematu: studia medyczne nie pociągały mnie wcale. Nigdy też w życiu nie żałowałam, że nie jestem lekarzem. Humanistyka była naturalnym przedłużeniem atmosfery domowej. Ale nie czułam się dobrze i raczej wmawiałam sobie zapał⁽²²⁾.

Wkrótce nadeszły upragnione wakacje, podczas których Hania z własnej inicjatywy wyjechała na praktykę na Wielkopolskę, gdzie miała „zglebiać tajniki gospodarstwa domowego”⁽¹⁵⁾. Tam też dotarła do niej wiadomość, która na zawsze zadecydowała o kierunku jej edukacji:

[...] dostałam od Matki – wspomina po latach – zawiadomienie poparte wycinkiem z gazety, że od jesieni 1921 r. rusza warszawska szkoła pielęgniarstwa [...] to oznaczało: radość, swobodę, rodzaj wyzwolenia... Zdecydowałam się od razu: idę do Szkoły Pielęgniarskiej!

Moja decyzja spotkała się z aprobatą nie tylko matki, ale i ojca, który co prawda aprobował nieraz z góry wszelkie inne moje kroki...

Natomiast tzw. opinia publiczna była mocno zdziwiona. Pewna pańcia tłumaczyła mi, że co innego pielęgnować żołnierzy podczas wojny, a co innego iść do zwykłego szpitala, w którym właściwie nie ma co robić. (To znaczyło: nie ma co robić dla przywoitych osób). Inna żeńska osobliwość kiedyś gdzieś utyskiwała ogólnie, że taki jakiś powstał zawód dziwny, głupawy, poniżający... Na to ktoś zareplikował: „no, nie taki znowu głupawy, jeżeli np. profesor Chrzanowski pozwala córce iść do takiej Szkoły”. A ona na to: „to już Chrzanowscy tak podupadli, że córkę dają na pielęgniarkę”?

Mimo to wróciłam jeszcze na uniwersytet. I w październiku znowu zetknęłam się z moją kliniką chirurgiczną – ale jako pacjentka. Wycierałam kurz z wiszącej lampy w pokoju brata. Klosz spadł mi na rękę, przeciął dwa palce lewej ręki. Wskazującego nie mogłam rozprostować – z przeciętym ścięgnem sterczał sztywno [...] ścięgno zostało zszyte, ale – palec pozostał na zawsze krzywy, zgięty... Moja niania biadała: „i jak to Hanusia wyjdzie za mąż z takim palcem”. Prorocze słowa: przeszkoda małżeńska okazała się istotnie niezwalczona. Czemu się nad tym rozwodzę? Bo mnie to zbliżyło do chorych. Po zabiegu, przywieziona do domu, całą noc cierpiałam srodze – i po narkozie i z bólu. I pamiętam, że odczuwałam rodzaj zadowolenia, że teraz ja wiem, co to jest cierpienie. I że będę lepiej wiedziała, jak to jest u innych, więc to dobrze, to bardzo dobrze...⁽²³⁾

Po wyleczeniu urazu palca, który na zawsze zadecydował o jej stanie cywilnym, do marca 1922 r., kiedy to miała rozpocząć upragnioną naukę w Warszawskiej Szkole Pielęgniarstwa, Hanna angażuje się swoim młodzieńczym zapałem w pracę

²² H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.28.

²³ *Ibidem*, s.29-30.

w ambulatorium Pań Ekonomek w Krakowie, przy ulicy Warszawskiej, gdzie skierowała ją sama założycielka Maria Epsteinówna. Praca w ambulatorium nie była jej wymarzoną zadaniem, raczej lekcją pokory, której doświadczyła osobiście i której, jak sama wspomina, starała się potem, już jako instruktorka, nauczyć swoje wychowanki. Tak opisuje, to bardzo ważne dla niej doświadczenie:

Otrzymałam zalecenia naświetlania lampą kwarcową. Odczułam trochę zawodu i jakąś szczyptę uciechy, że to zajęcie takie nikłe... Gorzej, że p. Epstein powierzyła mi prowadzenie rachunków. I tu wpakowała mnie okropnie. Zawsze nie cierpiałam rachowania, a tu po prostu mi się nie chciało. Doświadczyłam na sobie grzechu nie tylko lenistwa ale wynikającego zeń grzechu umykania od rzeczy nieprzyjemnych... Znacznie później miałam się tego oduczyć i teraz, kiedy mówię uczennicom: „to zupełnie wszystko jedno, czy pani to lubi, czy nie – będzie to pani robić” – nie kłamię.

Wtedy zawaliłam. Dopiero moja matka ze swoją anielską (równa się matczyną) cierpliwością wyciągnęła mnie z opresji. Takie to były ułomności przyszłej instruktorki paru pokoleń pielęgniarских...⁽²⁴⁾

Wkrótce nadszedł długo oczekiwany przez Hannę Chrzanowską marzec 1922 r., który otworzył nowy rozdział jej życia, jakim było pielęgniarstwo. Jednak wyjeżdżając do Warszawy Hanna zabrała z sobą wielki żal – żal, rodzący się z nieuniknionej rozłąki ze swoją najwspanialszą przyjaciółką – Zosią⁽¹⁶⁾.

Jadąc do szkoły pielęgniarskiej nigdy nie przypuszczała, że dziełem jej życia będzie propagowanie i tworzenie pielęgniarstwa domowego a potem parafialnego. Wręcz przeciwnie, jeszcze wtedy w ogóle ją to nie pociągało – marzyła o pracy w szpitalu, o służbie w tych najbardziej podstawowych posługach, tym najbardziej chorym pacjentom.

Na stronach swojego pamiętnika wiele miejsca poświęciła wspomnieniom ze szkoły pielęgniarskiej:

Szkoła była na ulicy Smolnej 8 [...] w budynkach PCK. [...] mieściła się w dwóch niewielkich gmachach. Na lewo od schodów – pamiętam – był nasz salon z oknami na parter i przylegające do niego czterolóżkowe sypialnie starszych koleżanek, tajemnicze mieszkanie dyrektorki – a na parterze jadalnia – za nią znowu dwie sypialnie i groźna dość kancelaria.

Nas przyjezdne, tzn cały II kurs skierowali do pierwszego pawilonu. [...] Moją cioteczną siostrę (tj. Fijkę, czy też „Fiola”) i mnie skierowano do ostatniej klatki [...]. Prócz nas zamieszkały w boksie 2 jeszcze koleżanki, nasza równolatka, ogromnie dowcipna Hanka i koleżanka znacznie od nas starsza, męczennica naszej rozbuchanej młodości...

²⁴ A. Rumun, *op.cit.*, s.351.

Na pierwszą kolację była straszliwa potrawa, której Fijoł nie tknął: śledzie w cieście. Ponieważ jako dziecko uważałam, że jedzenie obrzydliwości kształci charakter i [...] jadłam ukradkiem sól z cukrem – kontynuując więc w tymże duchu – pożarłam te śledzie. Od razu przeraziłam kilka starszych koleżanek⁽²⁵⁾. [...] Były to czasy inflacji i bryndzy finansowej w całym kraju. Szkoła znalazła się w warunkach oplakanych. To się odbijało na naszym wikcie. Naprawdę byliśmy głodne. Do tego podawano nam jakieś wykwinne potrawy amerykańskie w homeopatycznych dawkach.

Zamiast pocziwych klusek zastawałyśmy na stole na obiad, po ciężkiej pracy trochę sosiku z orzechami na liściu sałaty, do tego jakąś [...] bułeczkę do herbaty. To wszystko! To też kiedy przychodziły zapasy z domu – to był bal!

Kiedyś moja dawna niania ofiarowała mi pięciolitrowy gar powideł: „będzie Hanusia miała powideł na pół roku” – powiedziała z rozczuleniem. Skrzyknęłam koleżanki, powsadzały łychy i w mgnieniu oka gar został wyskrobany do dna. Ale największą uroczystością były przesyłki dla Fijki ze wsi. Kiedyś Fijka miała wrócić dopiero przed północą. A właśnie nadeszła paczka.

Nie śmiałyśmy jej same otworzyć. Ale nas zmorzył sen. Więc Fijoł skradł się cicho, zapalił lampkę – na stole paczka, a obok ogromny arkusz na którym widać było nasze podpisy i wielkimi literami: „na miłość boską obudź”! Trzeba dodać, że regulamin – zaiste bez sensu – zabraniał nam trzymania zapasów. Więc co było robić? U Jagi Romanowskiej⁽²⁶⁾ [...] ukryłyśmy paczkę. Wisiała między sukniami w szafie⁽²⁷⁾!

We wspomnieniach o Szkole zostało mi dużo dobrego, osad gdzieś osiadł na dnie. I kiedyś ze zdziwieniem, odczytując listy do matki, dowiedziałam się z tych moich listów, że się w szkole nie było jak męczyłam.

Męczyło mnie wiele rzeczy:

Ścisk, nadzór, regulamin. Regulamin był podobny do dzisiejszego, ale znacznie ostrzej przestrzegany. Wylatywało się bardzo łatwo. Nie przestrzegałam go jednak ze strachu, tylko z jakiegoś poczucia obowiązku. Jeśli go przekraczałam, to tylko w jego paragrafach absurdalnych⁽²⁸⁾.

Kiedyś przyszedł dla Fijki [...] olbrzymi garnek bigosu. Trzeba go było odgrzać, ale gaz był w sąsiednim pawilonie obok kuchni. Wydelegowałyśmy Marulę⁽²⁹⁾. Odegrała szopkę. Miałyśmy wszystkie krótkie, ale fałdziste peleryny [...]. Przeszła przez most: już

²⁵ H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.33-34.

²⁶ Jadwiga Romanowska, koleżanka Hanny ze starszego kursu, ciesząca się największym autorytetem wśród wszystkich uczennic.

²⁷ H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.38-39.

²⁸ *Ibidem*, s.35.

²⁹ Maria Ptasińska, koleżanka i przyjaciółka Hanny Chrzanowskiej.

była w przedsionku. I tu spotkała Tylsię⁽³⁰⁾. „Panna Ptaszyńska dziwnie tu kapustą czuć – poszukamy gdzie ona”. Szukają we wszystkich pokojach. „Dziwne, że nigdzie jej nie ma, ale ją wszędzie czuć. Dziękuję panno Ptaszyńska”⁽³¹⁾.

Tak wyglądała sprawa bytu mieszkanek internatu w ciężkich powojennych czasach, która nie rzadko rodziła komediowe wątki, przy pomysłowości uczennic, jaka zdawała się po prostu: nie mieć granic! Trudne warunki mieszkaniowe internatu, przesadny rygor szkolny, szereg niekończących się zakazów, „hartowały” do ciężkiej pracy zawodowej i kształtowały wśród młodych adeptek postawę radzenia sobie z problemami codziennego życia, a przede wszystkim konsolidowały przyjaźnie w nim zawarte, nierzadko na lata, a nawet dogonnie! Warto podkreślić, że mimo zakazów i ograniczeń oraz poważnych sankcji karnych za najmniejsze przewinienia, uczennicom nie brakowało pogodnego ducha, a po latach na pewno i wzruszających wspomnień.

Największe emocje wzbudzały przerażające opowieści starszych koleżanek o wymaganiach instruktorek, zajęciach, zabiegach i pacjentach, tak bardzo przez Hanne wyczekiwanym i tak już bliskim urzeczywistnieniem:

Zaczęłyśmy wykłady i ćwiczenia. – wspomina w pamiętniku. Ćwiczenia, sala ćwiczeń – na pierwszym planie, jak zawsze w szkole. Nas zasad pielęgniarских uczyła panna Stella Tylska, ta która niegdyś prowadziła krakowskie kursistki. Nigdy nie byłam i nie jestem specjalnie zręczna. Gubiłam się. Ale wtedy pracowałam tylko ośmiu palcami. Krzywy był nie do użycia, a drogą jakiegoś odruchu podnosiłam w górę również zdrowy palec wskazujący prawej ręki. Przy czym „zasady” były niestychanie skomplikowane.

Wydają się młodym uczennicom skomplikowane i dziś – ale dziś są nieporównanie prostsze w porównaniu z tym, co się niegdyś działo. Obowiązywała straszliwa sztywność. Stoik tam musiał stać w tym rogu tacy, a drugi koniecznie w tamtym, bez żadnego logicznego uzasadnienia. [...] Bałam się okropnie kiedy na mnie przychodziła kolej. Ale z ćwiczeń i z wykładów prowadzonych przez p. Tylską wyniosłam wartości bezcenne. Oto umiała połączyć na pewno sztywną pedanterię z taką miłością do chorych, że serce we mnie topniało: o pielęgnacji dzieci chorych mówiła z płaczem!

Każdy zabieg był więc celebrowany i otaczany nimbem. Wszystko zmierzało do bezapelacyjnego dobra chorych. To był jakiś obrzęd, jakieś wtajemniczenie⁽³²⁾. [...]

Dyrektorka szkoły miss Helen Bridge była wówczas odgradzona od nas murem niemoty: nie mówiła słowa po polsku. Poznałyśmy ją lepiej dopiero pod koniec szkoły.

³⁰ Uczennice pieszczotliwie nazywały tak bardzo lubianą amerykańską instruktorkę polskiego pochodzenia – panią Stellę Tylską.

³¹ H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.39.

³² *Ibidem*, s.37-38.

Zrazu budziła tylko lęk. Szczupła, surowa, średniego wzrostu, świetnie ubrana, w rogowych okularach – typowa Amerykanka. Porozumiewała się z nami za pomocą tłumaczki, albo listownie. Listy były dystyngowane w długich kopertach, na specjalnym seledynowym papierze. Byłam już na praktyce, kiedy wróciwszy z dyżuru zastałam na komodzie list do mnie adresowany.

„Droga Panno Chrzanowska. Czy są jakieś powody, dla których jesteś pani mniej porządna w swojej szafie, niż w szpitalu?

Szczerze oddana Helen L. Bridge”.

Bywałyśmy w tej szkole strasznie wesole – opisuje w dalszej części swojego pamiętnika. [...] mnie się trzymały różne psie figle, które realizowałam w grupie podobnych pstrych głów, co drażniło starsze koleżanki. [...]

Chodziło się do cukierni i żądało jednej oranżady i czterech słomek. Przebierało się za jakieś babule i latało po Nowym Świecie.[...] Psie figle nie przeszkadzały mi w pracy. Kułam ostro. Teoria była na pewno mniej rozbudowana niż obecnie, ale trudność mi sprawiało przerzucanie się z przedmiotów humanistycznych na przyrodnicze⁽³³⁾. [...]

Na naszym drugim kursie było nas tylko 21. [...] Do dyplomu doszło ledwie czternaście. A i tak – czy wszystkie zasługiwały na zaszczyt otrzymania dyplomu? Na pewno nie! Nie przesadzajmy narzekając na młode pokolenie, że m y w s z y s t k i e byłyśmy zupełnie inne⁽²¹⁾.

Czasy zajęć teoretycznych i ćwiczeń w pracowni powoli dobiegały końca. Wielkimi krokami zbliżała się upragniona praktyka, o której Hanna wiele słyszała od starszych koleżanek. Z radością budziły się uśpione marzenia o pielęgowaniu chorych w szpitalu, aby je teraz spełniać w akompaniamencie młodzieńczego zapału! Ale najpierw, zostały jeszcze „do pokonania” ostatnie egzaminy i... obawy o sprostaniu pielęgniarskiej misji:

Egzaminy – wspomina bohaterka – zdawałyśmy piśmiennie. Nigdy na egzaminach ustnych ani piśmiennych nie miałam tremy, więc szło mi dobrze.

Zbliżała się praktyka. Tu dopiero miałam tremę. Nastrój, który w nas wsączała p. Tyłska był jeszcze potęgowany tym, co opowiadały starsze koleżanki.

Dochodziły nas słuchy o cierpieniu i śmierci, coraz to któraś przylatywała zaaferowana, przejęta – przeczuwałyśmy co nas czeka. Ale też koleżanki drwiły z nas na funty. W ich opowiadaniach najprostsze zabiegi stawały się niewiarygodną sztuką.

O, basen podać? Mało się kiedy uda bez wypadku!

³³ Ibidem, s.39-40.

I stało się tak, że dwie z mojego kursu zamknęły się kiedyś na klucz wieczorem na sali demonstracyjnej. No i jedna wlaźła do łóżka, a druga zaaplikowała jej basen. No i katastrofa! Włosy zjeżyły się na głowie obu adeptkom sztuki pielęgniarstwa. Te dwie, to był Fijoł w roli pielęgniarki a w roli pacjentki – ja⁽³⁴⁾. [...]

W końcu nadszedł dzień, w którym rano na godz. 7³⁰ po raz pierwszy poszłyśmy na dyżur. Miałam trochę teorii w głowie, ale nie wiele umiejętności w bardzo niezręcznych rękach. Całe moje wojenne szpitalne praktyki jakby się ulotniły. Czulałam się zielona, jakbym po raz pierwszy miała dotknąć chorego. Szłyśmy w naszych wysztywnionych mundurach i czepkach, dzierżąc w rękach „koszyczki toaletowe”, w których tkwiło mydło, spirytus, talk, ściereczka, to co najważniejsze. Pod fartuchem, na patce paska munduru zwisały nożyczki i ręczniczek. Pamiętam doskonale poczucie zaszczytu. [...] I czuję rzetelną wdzięczność dla panny Stelli Tyłskiej, [...] że umiała nam wpoić poczucie, że spotyka nas właśnie zaszczyt. Nie znałam wtedy średniowiecznego określenia „nos seigneurs les malades” – nasi panowie chorzy. Ale o to właśnie chodziło. [...]

Dostałam pod opiekę cztery pacjentki w pokoju nr 8 na parterze. Dwie kilkunastoletnie dziewczynki chodzące, jedną trochę starszą, [...] też chodzącą i – panią Dymecką, młodą matkę z ropniem piersi. Otóż ta pani Dymecka świadomie, czy nieświadomie wyciskała mnie jak cytrynę. A że cytryna była jak winogrono zielone, sok z niej płynął mocno niedojrzały. Przetłumaczywszy na język ludzki tę śmiałą metaforę: nie miałam pojęcia o zorganizowaniu sobie pracy, byłam poczciwą gapą obskakującą kobietkę w niegorszym stanie, za to wymagającą, nudną i grymasną, która jednak dla mnie była chorą przez duże „C”. Toaletę robiłam jej bez końca. Potem zagrzewało się śniadanie – jak wahadło poruszane mechanizmem zegara – znajdowałam się to w kredensie, to na sali chorych, to w spiżarni, a nawet dalekiej kuchni. Kaszka, ciasteczko, jajeczko, kawka i w kółko. Obsługiwanie tej jednej chorej zajmowało mi co dzień 3 godziny od 7³⁰ do wpół do jedenastej, o której to porze pani Dymecka spoczywała już czystuśka i syta pod kocami [...]. Ku memu żalowi trzy dziewczynki słały sobie łóżko same, więc cała moja żądza czynu koncentrowała się na porządkach. Ścierałam kurze – widzialne i niewidzialne – z łóżek i stolików nocnych, wyjmując szufladki i docierając do wnętrza. Szorowałam wszędzie jakby życie chorych – a na dobitkę i moje własne – od tego zależało i – nie zapominając, że centrum świata jest moja pani Dymecka – gotowa nogi łamać na każdy jej dzwonek – szłam szukać innych okazji czynu.⁽³⁵⁾ [...]

Z Marulą rozumiałyśmy się najlepiej. Obie nastawione na maximum. Maximum szalejące. Nie dlatego, żeby szukać sensacji – chciałyśmy obie naprawdę jak najwięcej

³⁴ Ibidem, s.40.

³⁵ Ibidem, s.41-42.

służyć. Oczywiście nie bez młodzieńczej egzaltacji... Na słowa współczucia jednej z chorych, że się musimy parać basenami, Marula odpowiedziała płomienną mową na cześć tychże instrumentów: „że pielęgniarstwo jest dla niej czymś takim, że widok basenu (pełnego) jest też itd”... nie wiem czy powiedziała: „piękny”, czy wspaniały – pamięć mnie tu zawodzi, ale treść pochwały była na pewno adekwatna tym pojęciom... [...]

Dużo lat! Ale pamiętam i zarysy, wyraz i jakąś aurę moich pacjentów z roku 1922/24. [...] Pamiętam Ich tak dobrze, bo naprawdę Ich kochałam, sama to sobie nie uświadamiając⁽³⁶⁾. [...]

Pierwsze szkolne praktyki pozostawiły w pamięci Hanny Chrzanowskiej niezatarte wspomnienie. Przyniosły radość, możliwość sprawdzenia teoretycznej wiedzy nabytej w szkole – w środowisku szpitala, nade wszystko, wśród prawdziwie potrzebujących pomocy pacjentów. To było to, co naprawdę chciała w życiu robić, co wpajano jej od dzieciństwa, w czym wznosiła. Hanna Chrzanowska podkreśla w pamiętniku, że doskonale prowadzona z profesjonalną kadrą, szkoła pani Helen Bridge, nie tylko zapewniała dobre podstawy praktyczne i teoretyczne, ale i wsparcie psychiczne dla swoich wychowanek w czasie praktyk w szpitalu, gdzie młodym adeptkom trudno się czasem było pogodzić z losem pacjentów, szczególnie tych na ostatniej drodze życia.

Jest jeszcze – wspomina bohaterka – specjalny krąg pamięci, oznaczony czerwono i czarno – tych, którzy umarli. Pracowałam już wtedy po „męskiej” stronie. To był koniec czerwca, albo lipiec⁽³⁷⁾. [...] Oddział IV na pierwszym piętrze, oddział V – na parterze. Nie przeczuwałam, że tam oto od zachodniej strony, jest skrzydło zwane Czerniakowską – z mrocznym korytarzykiem i separatką, które miały mi dać tyle przerażających doświadczeń...⁽³⁸⁾ [...] Były tam trzy izolatki. Otóż w ostatniej leżał gruźlik – Pawłowski. Nie był mnie przydzielony, ale tego wieczoru kogoś zastępowałam. Schodziłam z dyżuru z głębokim uczuciem zadowolenia i jakiejś nieuświadomionej wdzięczności, bo chory mi ciepło, głęboko podziękował[...]. Rano [...] zachodzę do Pawłowskiego, a on siedzi i nie żyje. Tak, siedział na łóżku i miał obcą sobie czarną brodę. Od zakrzepłej krwi. Mimo, że to nie były pierwsze zwłoki, które widziałam – to był mój pierwszy zmarły. Przeoczono śmierć. Umierał sam. Ale ja byłam z nim związana, ja byłam ostatnia, której tak dziękował.

Ale ta śmierć, te biedne zwłoki zostały wyzyskane w sposób całkowicie niespodziewany. Stały się „kukłą” dla demonstracji toalety pośmiertnej. [...] instruktorka [...] od 7 boleści zwołała nas całą gromadę, z wielkim zadowoleniem. Na zapytanie, która chce robić toaletę – oczywiście zgłosiłyśmy się obie – Marula i ja. Z mej strony była to

³⁶ Ibidem, s.43-44.

³⁷ Ibidem, s. 44.

³⁸ Ibidem, s. 41.

tylko gorliwość. Dla Maruli był to wysiłek nad siły. [...] Wtedy zemdlata. [...] Więc to ja zdawałam egzamin sprawności z furią w sercu, że tak właśnie to można było wyzyskać do takich celów. „To” było dla mnie grozą, tragedią ludzką, wymagającą ciszy, szacunku – i współczucia zahaczającego o rozpacz... [...] Sekcja zwłok jest jak najbardziej dopuszczalna jako ćwiczenie. Jest niezbędna, musi być, bez niej lekarze nie byłiby lekarzami: jest konieczna. Dlatego zanurzenie zwłok w formalinie, krajanie nie hańbi zwłok [...].

Zwłoki i chory = zmarły = człowiek.

Ćwiczenie zbiorowe toalety pośmiertnej jest pogwałceniem zwłok. To wcale nie potrzebne. Toaleta pośmiertna jest dla zmarłego, nie dla uczniów. Robi się ją jako ostatnią postugę choremu. Jako okazanie miłości i szacunku. Pielęgniarka służy do końca. Ćwiczenie również ze względów dydaktycznych nie jest konieczne – i tak każda się nauczy, każda stanie w obliczu śmierci.

Popołudnie tego dnia miałam wolne – było upalnie, niebiesko. Wpadłam gdzieś w zarośla okolicy Wilanowa, szukając odpoczynku, uspokojenia w liściach, w ziemi, szeleście... [...]

Niebawem przyszedł nowy cios. Przywieziono szesnastoletnią siostrę koleżanki Ady z zapaleniem otrzewnej. Chyba jej nawet nie operowano. Położono ją w osobnym pokoju. Robiło się wszystko co wówczas było można: podtrzymywano serce, podawano podskórną sól. Mnie przydzielono na popołudnie – tylko dla niej. Patrzyłam na podwójną mękę: samej dziewczynki i jej ojca. Nie wiem co bardziej mnie rozdzierało. Dziewczyna umarła w jasne, letnie popołudnie.

Teraz muszę opowiedzieć coś najważniejszego. Było już beznadziejnie. Już oddychała przez usta. Już miała ostry nos i była szara. Wtedy nadszedł ksiądz. Nie wiem dlaczego nie lubiliśmy tego księdza. Niestety, mnie wydawał się niepotrzebny w szpitalu, sztuczny. Co było przyczyną? Czy tylko moja buńczuczna, negatywna ówczesna niewiara, czy też także jego sztywność, brak uśmiechu w naszą stronę, brak chęci współpracy? Chętnie się nie tylko niewiarą, ale i tolerancją i mało trzeba było z jego strony abym powiedziała sobie: „w myśl tej tolerancji ja nie wierzę, ale trzeba przyznać, że to bardzo sympatyczny człowiek”. Pamiętam go dobrze nad umierającą, jego natarczywe „czy żałujesz” – raz, drugi powtarzane. Nie myślałam ani chwili o najważniejszym. O rozstrzygnięciach życia. Patrzyłam z przerażeniem i buntem na mękę konającej, która zdawała się skupiać całe ginące siły, aby wyszeptać odpowiedź i to było męką dodatkową [...] Ale na pewno ta jeszcze jedna męka wysiłku ostatnich słów była na dobro, na odkupienie tego, co odbiegało od Boga w życiu tej dziewczyny. Ale o tym nie pomyślałam.

Dodatkowe cierpienia? Picie wody też sprawia cierpienie – a jednak dajemy ją chorym, aby po męce połknięcia odczuli ulgę.

Była tam przy umierającej instruktorka, ale inna niż tamta, p. J. Chludzińska. Kiedy już zrobiliśmy wszystko i zwłoki leżały pod prześcieradłem, a ja skończyłam porządki w pokoju, p. Chl. zapytała bardzo łagodnie: „czy pani była już kiedyś przy śmierci”? Zaprzeczyłam. Dotąd słyszę jej serdeczny głos i widzę dobroć jej uśmiechu: „to pani bardzo współczuję”. Tylko tyle – a było to tak niezmiernie dużo.

Nieraz myślę, że nasze instruktorki za mało opiekują się uczennicami w takich momentach. A dziewczęta są albo załamane i trzeba je podeprzeć, albo tylko bezmyślnie ogłuszone i trzeba w nich pogłębić pojęcie – co to jest śmierć. Niektóre boją się zabobonnie. Czasem, niekiedy nierzadko trafia się cynizm: „czy już odwalila kite”? „Dorobiła się dziś 3 trupów”...

A przecież nasz zawód dlatego ma tyle w sobie godności, że stoimy przy chorym do końca, do śmierci i przy śmierci.

Wyznam, że czuję szczególną wdzięczność dla Pana Boga za to właśnie⁽³⁹⁾.

Takie to były smutne doświadczenia młodej pielęgniarki. Ale nie brakowało też w szpitalu zabawnych sytuacji, którym bez względu na skutek przyświecał cel najwyższy – dobro chorych!

Jaga na pewno mi daruje – pisze Hanna Chrzanowska – jeśli zdradzę pewien fakt. Podczas tych nocy starałyśmy się zachowywać cicho jak koty. Otóż tak się zdarzyło: Jaga skrada się bezszelestnie do kuchenki, otwiera drzwiczki lodówki powoli, żeby nie skrzyphiały i szepce ledwo dostłyszalnie: „daj młotek i ścierkę, potłukę lód”. Po czym rozlega się piekielny hałas i znowu szepce: „już”. [...]

Taki miły rekonwalescent, starszy pan – opisuje – siedział sobie na korytarzu. Ja ganiałam jak szalona, byłam sama na popołudniowym dyżurze. Ciągłe dzwonki – jak to bywa, co zresztą strasznie lubiłam. Wtedy powiedział: „kto by z nas pomyślał, że siostra ma tyle gonitwy. Wcale tego nie znać kiedy siostra coś przy nas robi.” Byłam dumna jak paw. Nie wiedziałam, że udało mi się wypełnić jedną z naczelnych zasad pielęgniarstwa: „pracuj tak, aby chory nie czuł twojego pośpiechu”⁽⁴⁰⁾.

W innym miejscu pamiętnika tak podsumowuje lata szkolnej edukacji:

Kiedy myślę teraz o naszym wychowaniu w szkole – sądzę, że miało ono swoje niedobre, ale i bardzo dobre strony. Niedobre – bo był przesadny, twardy rygor. Ale stroną bardzo dobrą było nastawienie nas od samego początku ku chorym. Ale choć w tej mojej pradawnej szkole uczono nas zaparcia się siebie, ofiarności bez zastrzeżeń, choć na naszej

³⁹ Ibidem, s.44-47.

⁴⁰ Ibidem, s.48-49.

szkolnej broszce wśród innych napisów widniało słowo „służba” – jakże daleko, będąc tak blisko człowieka, któremu służyłam, byłam od ducha służby ewangelicznej. Ani mi nie mignęła myśl o służbie Bogu, dalekie mi było, nie znane pojęcie o życiu na chwałę Bożą, dalekie przez długie lata⁽⁴¹⁾.

Nadszedł moment w życiu Hanny Chrzanowskiej decydujący, moment w którym zaproponowano jej wyjazd do Paryża, gdzie po raz pierwszy zetknęła się z pielęgniarstwem społecznym. Do Paryża wyjechała skuszona pięknem tego miasta. Nie wiedziała jak bardzo ta podróż będzie owocować w całym jej późniejszym życiu i jak nabyte doświadczenia paryskiej instruktorki wykorzysta po powrocie do tworzenia pielęgniarstwa społecznego w Krakowie, a potem także i poza jego granicami...

Któregoś dnia – opowiada Hanna – wiem, że to było przed południem, że dzień był bardzo jasny. Zresztą nawet gdyby się to stało o zmroku gradowych chmur musiałyby mi zapaść w pamięć wspomnieniem radośnie słonecznym.

Miss Bridge wezwała mnie do siebie. Ona też zachowała wspomnienie tej rozmowy – opowiadała, że siedząc naprzeciw niej „tańczyłam na krześle”. Taka była moja reakcja na propozycję nowego stypendium Fundacji Rockefellera – do Paryża.

Do Paryża! To tylko było dla mnie ważne! Nie rodzaj studiów. Nie tylko, że sobie nie zdawałam – bo zdać nie mogłam – sprawy, że ta rozmowa jest punktem zwrotnym, w całym, moim życiu, nie tylko pielęgniarstwu, ale nie zastanawiałam się wcale, że przyjmując stypendium decyduję się na pracę w pielęgniarstwie społecznym, które dotąd tylko liznęłam, które nie było wcale magnesem wciągającym mnie do zawodu. Przyciągał mnie chory człowiek. A nam pokazywano i na wykładach i w praktyce pielęgniarstwo społeczne tylko w świetle medycyny społecznej, higieny zapobiegawczej.

Nie wiedziałam, że obejmuje ono i obłożnie chorego człowieka w domu. Nic nie mówiono nam o tym – co miałam w przyszłości tak bardzo pokochać.

Również nie zawahałam się ani na chwilę przed konsekwencjami wyjazdu. Przyjmując stypendium musiałam się zdecydować na pracę instruktorki po powrocie.

Znowu radość: instruktorki w nowej szkole w Krakowie, gdzie jest mój dom. Już nie będę tęskniła za ciepłem Matki, za roześmianymi oczyma Ojca, za Zosią...

W szkole dyrektorką ma być panna Maria Epsteinówna, którą tak lubiłam. Ale przede wszystkim – Paryż. Zdecydowałam się więc momentalnie, a radość moja była tym większa, że Miss Bridge to samo zaproponowała Zuli Wasilewskiej. [...] Nie chciałam zostać ani chwili dłużej. Wyjechałam na noc w dniu skończenia szkoły...

⁴¹ A. Rumun, *op.cit.*, s.353.

Byłam nareszcie pielęgniarzką. Młoda nie tylko wiekiem, ale i doświadczeniem. Imnie właśnie czekały zagraniczne studia! [...] Bałam się nie wiedzieć czego. Nie pamiętam czy się bałam bezradności, czy rozłąki⁽⁴²⁾? [...]

Po przyjeździe, w styczniu 1925 r. od razu runęło na mnie piękno Paryża. Uskrzydliło, rozszerzyło i uszczęśliwiać miało w te wszystkie wolne niedziele i święta, i wolne popołudnia. Cała moja praktyka pielęgnarska, chociaż brałam ją bardzo poważnie była tylko akompaniamentem do radosnej melodii, ramami do obrazu czy równoległą linią biegnącą wzdłuż bulwarów. Wkrótce zadomowiłam się w olbrzymich galeriach Luwru, zaczęłam wracać do ukochanych obrazów. Dotąd, kiedy nie mogę spać, przebieram w nich pamięcią jak w kasecie... Potem na dobre zanurzyłam się w cotygodniowych, cudnych koncertach w Starym Konserwatorium. W świecie muzycznym żyłam wtedy pod wyłącznym panowaniem Beethovena [...]. Polubiłyśmy bardzo dyrektorkę szkoły, w której nas umieszczono. Kiedyś [...] krótko i węzłowato oznajmiła mi skargi koleżanek na naszą hałaśliwość. Chciałam się bronić... Kazał mi zamilknąć jej hamujący moją wymowę gest... Gest oznaczał to, co po latach sama miałam mówić moim uczennicom: „zostawcie tamte, myślcie o własnych błędach”. Jakże w gruncie rzeczy lubimy wszyscy cudze błędy, w których cieniu można schować własne⁽³⁴⁾.

⁴² H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.50-51.

ROZDZIAŁ PIĄTY

DLACZEGO ZOSTAŁAM PIEŁĘGNIARKĄ ?

*Upięłaś czepek za młodu,
Choć wiedziałaś, że trud czeka.
Bo tajemnicą Twego zawodu
Jest – troska o ciało i godność człowieka.
(Lidia Sierpińska, Tajemnica zawodu)*

Takie i podobne pytania stawiała sobie Hanna Chrzanowska wielokrotnie na drodze swojego życiowego powołania. Można przypuszczać, że to pytanie stało w centrum jej zawodowego życia, gdyż starała się na nie rzetelnie odpowiadać. Pytanie tak ważne – postawione przez nią w pierwszych słowach jej pamiętnika, jakby na straży tego wszystkiego, co w nim opisała. Odpowiedzi można doszukiwać się w świadectwie jej życia, bogatych zbiorach literackich i publicystycznych, jakie po sobie pozostawiła, w opiniach tych, którzy ją znali, a przede wszystkim w pamiętniku, gdzie starała się na nie, czasem nawet humorystycznie, odpowiedzieć.

Jaki był powód, że zostałam pielęgniarką? – pyta bohaterka – Różni mędracy z „dzisiejszej rzeczywistości” mówią tak: dawne pielęgniarki – dawne, to znaczy przedwojenne, burżuazyjne i do tego sanacyjne – to były hrabiny, albo... zawiedzione w miłości.

Że nie jestem hrabiną, powszechnie wiadomo, chociaż hrabiny to też ludzie, a co do tej miłości – to wiercie mi na słowo, że nie! W żywotach świętych, tych zakrystyjnych, czyta się zawsze, że bohater słyszał głos boży już w najwcześniejszym dzieciństwie. Bohaterka niniejszych wspomnień, acz nic nie mająca wspólnego z „wonią świętości” odczuwała coś podobnego [...] nie mając zresztą przeczucia, że to głos boży.

Coś się już działo w dzieciństwie. Jako dziecko, z napiętą uwagą wygrzebywałam listkiem pyłki ziemi z rany na nodze małej towarzyszki zabaw, a potem jako kilkunastoletnia dziewczynka nacięłam sobie kiedyś scyzorykiem kolano, aby je móc opatrywać. Ale w takim razie dlaczego nie poszłam na medycynę? Czemu bawiłam się

lalkami w szpital, nie jako doktor, tylko jako pielęgniarka? Otóż doznałam w dzieciństwie urazu, ale urazu w całym tego słowa znaczeniu – dodatniego⁽⁴³⁾. [...]

Ciotka – Zofia Szlenkierówna, siostra matki Hanny Chrzanowskiej - która mnie bardzo kochała, bawiąc się mną po trochu jako jedną z najzabawniejszych postaci w rodzinie – wzięła mnie kiedyś na Leszno – na budowę swojego szpitala. Kiedy oprowadzał mnie po nim jego naczelny lekarz, dr Józef Brudziński, oświadczył żartobliwie, że się „będzie tłumaczyć” po dziecinnemu – toteż rozumiałam znakomicie wszystkie mądrości osobnych pawilonów obserwacji i izolacji... Nie byłam na otwarciu szpitala, które nastąpiło w pół roku po śmierci babki w 1913 r. na jesieni, podczas gdy mnie wysłano do Zakopanego ze względu na zdrowie. Przeżyłam to mocno, czytając opis otwarcia pióra przyjaciółki ciotki, poetki Bronisławy Ostrowskiej, w jakimś dziecięcym piśmie. Bo to był „mój” szpital! Moje zainteresowanie nim ożywiło się jeszcze w momencie, kiedy ciotka odwiedziła nas w Zakopanem. [...] Kiedyś przyczaiłam się na korytarzu, żeby wyskoczyć i rzucić się na nią z przeprosinami za jakąś przewinę. Ciotka uściskała mnie i powiedziała słowa niezmiernie charakterystyczne i dla siebie, i dla swojego do mnie stosunku: „prawda, że i ty zrobisz kiedyś coś wielkiego”? Odpowiedziałam mętnie i nieobowiązująco [...]. Niebawem już w roku 1914 zostałam ze szpitalem sprzęgnięta jeszcze mocniej. Zachorowałam na czerwonkę [...]. Przyszedł nazajutrz dr Szenajch, oczywiście ordynator „mojego” szpitala i uchwalili, że najlepiej będzie oddać mnie właśnie do szpitala.

Cudowne wspomnienia! [...] To był jakiś ziszczony sen dziecka o ludzkiej dobroci. Byłam wprawdzie chora, ale nie na tyle, by nie móc się delektować opieką nawet pierwszego dnia i pierwszej nocy. Pani Maria Ocetkiewicz zastępowała wówczas przełożoną. Nie zdawałam sobie sprawy, że przez ciemno oprawne binokle patrzy na mnie spokojnymi oczyma arcypielęgniarka, której po latach – jako jej uczennica – tyle miałam do zawdzięczenia! W nocy pielęgnowała mnie pani Aniela [...]. Gdybym miała pisać powieść, a nie pamiętnik, na pewno panna Aniela stałaby się w niej postacią centralną [...].

Czułam się jednak naprawdę chora i troskę panny Anieli odczułam wtedy głęboko. Po wyjściu ze szpitala napisałam dla siebie jego pochwałę. Panna Aniela otrzymała tam wyznanie mojej miłości i mogę sobie doskonale przypomnieć, o co mi wtedy chodziło. Chodziło o jakąś cichość, miękkość jej obejścia, głosu, dotknięcia. O postać w półmroku nocnej lampki, cichą i nieruchomą, a na moje wezwanie szybko, natychmiastowo

⁴³ Ibidem, s.1.

działającą, uprzedzającą prośby. O tak, w powieści byłby wstęp taki: „Ta noc zdecydowała o całym jej życiu”.

W każdym razie była to naprawdę moja pierwsza pielęgniarska noc. Było mi strasznie dobrze, chociaż tęskniłam za matką [...]. Ta moja choroba – jak wiadomo – należała do tych, które wymagają od pielęgniarki ciągłych tzw. postug [...]. Otóż wzruszała mnie gotowość natychmiastowa, z jaką panna Aniela wypełniała „postugi”, wzruszała mnie jej delikatność, bo miałam już swoich lat blisko 12 i byłam dziewczynką aż nadto wstydliwą. Jeszcze jedno wspomnienie: pielęgniarka, p. Terpiłowska, wołała dzieci małe od starszych, a ja przecież kończyłam już 12 lat! Toteż wzruszyła mnie, gdy kiedyś powiedziała z uśmiechem: „takie to duże, a takie miłe”. Ale jeszcze bardziej zapadły mi w pamięci jej słowa: „a ty to powinnaś tu z nami zostać”⁽⁴⁴⁾.

Nie bez znaczenia dla wyboru zawodu okazał się duch dobroczynności w jakim wychowywała się Hanna, radość jaką sprawiało jej niesienie pomocy potrzebującym, którą tak mocno podkreśla na kartach swojego pamiętnika:

„Uraz” trwał. Został mocno pogłębiony, gdy mój brat Dań i ja dostaliśmy na urodziny (przypadające blisko siebie) bodaj po 10 rubli. Oczywiście z sugestią – a może nawet sugestia nie była potrzebna – Dań oddał swój podarunek na jakieś „cele społeczne”, a mnie zasugestionowano inaczej.

W moim szpitalu leżał na oddziale wewnętrznym [...] chłopaczek bardzo ubogi – nie miał po prostu w czym wyjść ze szpitala. A więc matka wzięła mnie na Nowy Świat i pokupowałyśmy wszystko: bieliznę, pończochy, buciki i ubranko. I – o szczęście! Ciocia pozwoliła mi przekroczyć progi rajy! [...] Panna Terpiłowska w moich oczach ubierała malca.

Dziś patrząc na ten fragment mojego dzieciństwa oceniam w nim pierwszorzędną metodę pedagogiczną. Nie chodzi o sam dar (byłam tak obdarowana i tonąca we wszelkich obfitościach), ale o sposób złożenia daru, nie anonimowy, na „jakiś cel”, ale konkretnemu biedakowi i do tego w ramach, które mi dały radość⁽⁴⁵⁾.

W innym miejscu swojego pamiętnika Hanna Chrzanowska pisze o poszukiwaniu „korzeni” pielęgniarskiego powołania:

Szukam nici, która się wywinęła ze szpitala Karola i Marii. Czasem tylko odnajduję jej cienką pajęczynkę: w odwiedzinach chorej koleżanki systematycznych i zorganizowanych przez klasę, w marzeniach, aby być starszą i pracować w Legionach jako sanitariuszka⁽⁴⁶⁾.

⁴⁴ A. Rumun, *op.cit.*, s.347-348.

⁴⁵ *Ibidem*, s.348-349.

⁴⁶ *Ibidem*, *op.cit.*, s.349.

Wielu refleksji nad świadomym wyborem swojego zawodu dostarczył Hannie kontakt, z pewnym pacjentem, jeszcze podczas praktyk szkolnych, którego wspomina w pamiętniku:

Kiedyś pielęgnowałam starszego pana [...]. Wypytywał mnie o szkołę, koleżanki. W końcu padło pytanie: „a po co pani właściwie poszła na pielęgniarstwo”? Odpowiedziałam: „no, bo lubię”. „A co pani lubi? Sam szpital, czy chorych ludzi”? Nie wiedziałam co odpowiedzieć. A pytanie świetnie stawiało sprawę. Często się zdarza, że magnesem przyciągającym nowicjuszek zawodu jest tajemnicza, egzotyczna atmosfera szpitala, operacje, instrumenty, białe chałaty, jakaś sensacyjność! I to nic nie szkodzi – pod warunkiem, żeby potem wśród pracy z tej mgły tajemniczej wystąpiło na pierwszy plan łóżko z cierpiącym człowiekiem. Jeśli się to nie stanie – pielęgniarka będzie siedziała w dyżurce, nie na sali, Nie będzie pielęgniarką przy chorym, najwyżej stanie się pomocnicą lekarza.

Wówczas na to pytanie nie umiałam odpowiedzieć. Chyba nie tylko dlatego, że mnie zaskoczyło, nie tylko dlatego, że byłam zielona i niedoświadczona, lecz dlatego, że nie miałam wtedy pojęcia o istocie mojego powołania. Ale to pytanie utkwiło we mnie na zawsze⁽⁴⁷⁾.

⁴⁷ Ibidem, s.352-353.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W POSZUKIWANIU KLUCZA

*Dwie podróże czekają na ciebie.
Jedna – z duszy w wir świata,
druga – powrót do siebie.*
(Adam Mickiewicz)

Roczny pobyt Hanny w Paryżu dobiegł końca. Nadszedł czas pożegnania z kulturą paryską i powrotu do kraju, do rodziny, do ukochanego Krakowa! Po powrocie z początkiem 1926 roku bohaterka obejmuje posadę instruktorki pielęgniarstwa społecznego w nowopowstałej Uniwersyteckiej Szkole Pielęgniarek i Higienistek w Krakowie. Niebawem udaje się w kolejną podróż, na stypendium Fundacji Rockefellera, tym razem do Belgii, aby przypatrzeć się pracy pielęgniarek – higienistek szkolnych⁽⁴⁸⁾. Powróciwszy ze stypendium, wzbogacona o nowe doświadczenia tej dopiero „kiefkującej” w Polsce dyscypliny pielęgniarstwa, oddaje się bezgranicznie pracy pedagogicznej w szkole.

Ci, którzy pamiętają ją z tych pierwszych lat instruktorskich – opisuje jej koleżanka – *wspominają jej rozmach w pracy, humor, upór, a także... niechętny i krytyczny stosunek do praktykowanych w szkole corocznych rekolekcji dla uczennic...*⁽⁴⁹⁾ Były to jeszcze te czasy, w których młodej, energicznej i początkującej instruktorce zawodu pielęgniarstwa daleko było do odkrywania prawd ewangelicznych i odnalezienia w chorych autentycznego oblicza cierpiącego Chrystusa. W swoich wspomnieniach sama bohaterka wielokrotnie ubolewa nad tym faktem, podkreślając tym samym znaczenie wiary, w której trwała po nawróceniu już do końca swojego „ziemskiego pielgrzymowania” do Boga. W życiu niedoświadczonej pielęgniarki wśród idei, które starała się przekazać swoim wychowankom, czasem dało zauważyć się braki, które w szkole Helen Bridge niewątpliwie były karane. Były to braki, a raczej drobne ułomności, dalekie od błędów, dokonywanych na pacjentach, mogące zaszkodzić chorym. Nie! Na takie błędy sumienie pielęgniarstwa Hanny Chrzanowskiej nie mogłoby sobie pozwolić. To byłoby wbrew jej

⁴⁸ M. Czech, *op.cit.*, s.17.

⁴⁹ A. Rumun, *op.cit.*, s. 354.

naturze. To były niedociągnięcia bardziej o charakterze biurokratycznym, do których bohaterka ani sympatii, ani pasji nigdy nie przejawiała.

Miss Helen Bridge – opisuje współpracownica Hanny – *miałaby długo jeszcze niejedną okazję, aby zwracać uwagę swojej uczennicy. Dużo czasu minęło, zanim Hanna wyzbyła się skłonności do bałaganiarstwa. Często czegoś nie kładła na miejsce, potem szukała nie bez zdenerwowania. Bywało, że po prostu zgarniała różne papierki i rzeczy z biurka prosto do szuflady czy szafki, bez uporządkowania. Ale nad wszystkimi wadami i słabościami górował zapał do pracy i duma zawodowa, która cechowała ją do końca życia*⁽⁴²⁾.

Dwudziestolecie międzywojenne w Polsce to okres kryzysu, ale i rozwoju gospodarczego i kulturalnego kraju, co swoje intensywne odbicie miało również w pielęgniarstwie. Powstają szkoły pielęgniarstwie na wzór amerykańskich, mające na celu wykształcenie profesjonalnych pielęgniarek. Geneza tej nowej grupy zawodowej rodzi problemy związane z organizacją, a także podstawami prawnymi zawodu pielęgniarki. Wysokie aspiracje zawodowe polskich pielęgniarek sprawiają, że już w 1925 roku zawiązuje się Polskie Stowarzyszenie Pielęgniarek Zawodowych, którego Hanna staje się aktywną uczestniczką, a w rok później PSPZ zostaje przyjęte do Międzynarodowej Rady Pielęgniarskiej. Stowarzyszenie staje się organizacją wizytową pielęgniarek w Polsce jak i poza jej granicami. Reprezentuje interesy zawodowe, założenia pracy, a przede wszystkim opracowuje długoletni projekt ustawy o pielęgniarstwie, który po latach starań został przyjęty i zatwierdzony przez władze. W pracach nad ustawą o pielęgniarstwie duży wkład miała Hanna Chrzanowska. Pełniła również okresowo różne funkcje w Zarządzie PZPZ. Niestety ustawa weszła w życie bardzo późno, bo dopiero po dziesięciu latach działalności Stowarzyszenia, dnia 21 lutego 1935 r.⁽⁵⁰⁾. Uwieńczeniem prac nad ustawą była jej ocena przez kompetentne czynniki zagraniczne, jako najlepszej na świecie! Ustawa regulowała kwestię uprawnień zawodowych wykwalifikowanych pielęgniarek i szkolnictwa pielęgniarstwie podobnie jak inne ustawy za granicą, ale załatwiała również sprawę licznej rzeszy pielęgniarek, głównie zakonnych, nie posiadających kwalifikacji zawodowych, pozwalając im uzyskać uprawnienia⁽⁴²⁾.

Problemy zdrowotne przerwały życie zawodowe Hanny. W 1929 roku zmuszona złym stanem zdrowia na kilka miesięcy wyjeżdża do sanatorium. Po powrocie Hanna oddaje się działalności publicystycznej, obejmując posadę redaktora naczelnego nowego czasopisma pielęgniarstwie pt. *Pielęgniarka Polska*. Od lipca 1939 r. nieprzerwanie redaguje czasopismo aż do wybuchu II wojny światowej, która przerywa jej działalność.

⁵⁰ *Dziennik Ustaw RP*, 1935, poz.109, art.1.

Przy oglądaniu kolejnych numerów *Pielęgniarki Polskiej* uderza bezstronność polityczna tego pisma, a nawet swoisty patriotyzm pomimo zawodowej tematyki pisma. Niewielkie rozmiary czasopisma mieszczą w sobie niesamowicie wiele treści, przede wszystkim zawodowych. Nie trudno się domyślić, dlaczego wśród wielu zagadnień poruszanych w *Pielęgniarkę Polskiej* tak dużo z nich tematycznie poświęconych jest pielęgniarstwu społecznemu. Redaktorka naczelna tego pisma miała świadomość, że ta dziedzina pielęgniarstwa jest jeszcze nieznaną polskim pielęgniarcom. Sama kończąc warszawską szkołę jako dyplomowana pielęgniarka przyznaje, że nie miała pojęcia o zadaniach pielęgniarstwa społecznego, które poznała bliżej na zagranicznych stypendiach, a potem tak bardzo pokochała. Dlatego na łamach swojego pisma Hanna publikuje wiedzę nabytą na zagranicznych praktykach, a także w oparciu o wydawany w tamtych czasach *Międzynarodowy Przegląd Pielęgniarski*⁽⁵¹⁾. Publikuje również swój referat pt. *Prace zagraniczne stowarzyszeń pielęgniarskich*⁽⁵²⁾, wygłoszony na X Walnym Zjeździe PSPZ w Krakowie, a także artykuł pt. *Szpitalne londyńskie*⁽⁵³⁾. Jeszcze szerszej Hanna Chrzanowska regularnie publikuje, w swoim czasopiśmie, artykuły dotyczące polskiej działalności pielęgniarstwa społecznego. Zagadnienia te odnajdujemy w artykułach pt.: *Z pracy przeciwgruźliczej*⁽⁵⁴⁾, *O odwiedzinach w rodzinie gruźliczej*⁽⁵⁵⁾, *Pielęgniarka w walce z alkoholizmem*⁽⁵⁶⁾, *Schronisko Towarzystwa „Ratujmy Niemowlęta” w Warszawie*⁽⁵⁷⁾, *Początki pielęgnowania obłożnie chorych*⁽⁵⁸⁾, *Pielęgniarstwo przyszpitalne*⁽⁵⁹⁾, *Zakres pracy pielęgniarki społecznej na prowincji*⁽⁶⁰⁾, *Pielęgnowanie ubogich chorych w domach*⁽⁶¹⁾. Wymienione powyżej tytuły to tylko przykłady zagadnień społecznych poruszanych w *Pielęgniarkę Polskiej*. Szerokim zagadnieniem omawianym w kolejnych numerach pisma jest szpitalnictwo i szkolnictwo pielęgniarskie, których problematykę bohaterka poruszyła w artykułach: *Szpitalne i pielęgniarstwo szpitalne*

⁵¹ H. Chrzanowska, *Pielęgniarstwo za granicą*, „Pielęgniarka Polska”, lipiec-sierpień 1935, nr 7-8.

⁵² H. Chrzanowska, *Prace zagraniczne stowarzyszeń pielęgniarskich*, „Pielęgniarka Polska”, styczeń-luty 1936, nr 1-2.

⁵³ H. Chrzanowska, *Szpitalne londyńskie*, „Pielęgniarka Polska”, luty 1938, nr 2.

⁵⁴ H. Chrzanowska, *Z pracy przeciwgruźliczej*, „Pielęgniarka Polska”, lipiec 1930, nr 7.

⁵⁵ H. Chrzanowska, *O odwiedzinach w rodzinie gruźliczej*, „Pielęgniarka Polska”, maj-czerwiec 1930, nr 5-6.

⁵⁶ H. Chrzanowska, *Pielęgniarka w walce z alkoholizmem*, „Pielęgniarka Polska”, październik 1931, nr 10.

⁵⁷ H. Chrzanowska, *Schronisko Towarzystwa „Ratujmy Niemowlęta” w Warszawie*, „Pielęgniarka Polska”, lipiec-sierpień-wrzesień 1933, nr 7-8-9.

⁵⁸ A. Iżycka, *Początki pielęgnowania obłożnie chorych*, „Pielęgniarka Polska”, styczeń-luty 1934, nr 1-2.

⁵⁹ S. Orzechowska, *Pielęgniarstwo przyszpitalne*, „Pielęgniarka Polska”, styczeń-luty 1934, nr 1-2.

⁶⁰ M. Kohenowa, *Zakres pracy pielęgniarki społecznej na prowincji*, „Pielęgniarka Polska”, styczeń-luty 1934, nr 1-2.

⁶¹ A. Iżycka, *Pielęgnowanie ubogich chorych w domach*, „Pielęgniarka Polska”, styczeń-luty 1935, nr 1-2.

w Polsce⁽⁶²⁾, *Szpitalnictwo dziecięce*⁽⁶³⁾, *O pielęgniarstwie i szkolnictwie pielęgniarstwie*⁽⁶⁴⁾, *O organizacji szkół pielęgniarstwa w Polsce*⁽⁶⁵⁾. W tych wszystkich kwestiach pismo spełniało nie tylko obszerne funkcje informacyjne, ale także edukacyjne. W czasopiśmie nie brak też było stałych kącików takich jak *Przegląd pism* czy *Książki*. Nie trudno się domyślić, że ten ostatni kącik, podyktowany zapewne miłością do książek już od lat młodzieńczych, prowadzony był przez Hannę Chrzanowską. W czasopiśmie umieszczane były również przedruki ciekawych artykułów z innych, godnych uwagi pism oraz regularne i szczegółowe sprawozdania z walnych zjazdów PSPZ. W *Pielęgniarce Polskiej* jej naczelna redaktorka poruszała bieżące sprawy pielęgniarek, a także problemy związane z pracami nad nowelizacją ustawy o pielęgniarstwie z 1935 r.⁽⁶⁶⁾ Nie brak też było mowy o wielkich ludziach zasłużonych w pielęgniarstwie i medycynie, czego dowiadujemy się z artykułów zatytułowanych: *Marja Epsteinówna*⁽⁶⁷⁾, *Miłosierdzie Skargi*⁽⁶⁸⁾ czy *Książd Baudouin*⁽⁶⁹⁾. Godnym przeczytania jest artykuł Hanny Chrzanowskiej pt. *Jaka powinna być pielęgniarka?*⁽⁷⁰⁾, gdzie autorka polemizuje z ks. Michałem Rękasem o jego przekonaniach o ówczesnych pielęgniarkach.

Pod tym tytułem – pisze – ks. Michał Rękas zamieścił artykuł w 9-tym numerze poznańskiego „Ruchu Charytatywnego” z r.b. Tytuł wielce obiecujący! Niestety z treścią artykułu zgodzić się nie sposób. [...] „W [...] systemie – cytuje ks. Michała Rękasa – pielęgniarka ma wykonywać przy chorym pewną ilość zabiegów i czynności, spisać odpowiedzi, udzielić najkonieczniejszych wskazówek, wykonać to wszystko „fachowo, postępowo, naukowo” możliwie szybko, bez żadnych zbędnych wysiłków i zbytnich kosztów. Poza swojemi „fachowemi” czynnościami, a do fachu zalicza się tylko stronę techniczną pielęgnacji, pielęgniarka nie interesuje się chorym. Jest pracownicą zawodową, jak robotnik w fabryce. A „zawodowość” ta wyklucza niejako jej człowieczeństwo, jej osobowość własną. Słowem „zawodowość” usiłuje się wykluczyć z pielęgnowania chorego pracę duchową, kontakt wewnętrzny, religijny społeczny. To ma być nowoczesne pielęgniarstwo zawodowe, wyzwolone jakoby z błędów dawnego pielęgniarstwa, wyzwolone od wszelkiej ideologii, niezależnie od wszelkiego światopoglądu...

⁶² H. Chrzanowska, *Szpitale i pielęgniarstwo szpitalne w Polsce*, „Pielęgniarka Polska”, grudzień 1938, nr 12.

⁶³ H. Chrzanowska, *Szpitalnictwo dziecięce*, „Pielęgniarka Polska”, lipiec-sierpień 1938, nr 7-8.

⁶⁴ H. Chrzanowska, *O pielęgniarstwie i szkolnictwie pielęgniarstwie*, „Pielęgniarka Polska”, styczeń i luty 1938, nr 1 i 2.

⁶⁵ H. Chrzanowska, *O organizacji szkół pielęgniarstwa w Polsce*, „Pielęgniarka Polska”, lipiec 1929, nr 1.

⁶⁶ H. Chrzanowska, *Od redakcji*, „Pielęgniarka Polska”, czerwiec 1939, nr 6.

⁶⁷ H. Chrzanowska, *Marja Epsteinówna*, „Pielęgniarka Polska”, marzec 1931, nr 3.

⁶⁸ H. Chrzanowska, *Miłosierdzie Skargi*, „Pielęgniarka Polska”, czerwiec 1936, nr 12.

⁶⁹ H. Chrzanowska, *Książd Baudouin*, „Pielęgniarka Polska”, wrzesień-październik 1938, nr 9-10.

⁷⁰ H. Chrzanowska, *Jaka powinna być pielęgniarka?*, „Pielęgniarka Polska”, październik-listopad 1933, nr 10-11.

Te uwagi wydają się może paradoksalne, ale niestety wprost są z życia wzięte. Te uwagi wynikają ze zbadania programu szkół pielęgniarских, podręczników i pism specjalnych. Takie nastawienie jest niemal obowiązujące oficjalnie.”

Wynikałoby z tego, – komentuje Hanna Chrzanowska – że pielęgniarki starają się zrzucić z siebie ciężące im kajdany ideologii, że pragnieniem ich jest zamienić się w maszyny tego naoliwione, mocno w śruby ujęte, żeby się móc przystosować do innych maszyn – chorych.

Skąd, z jakiego to „programu szkół pielęgniarских”, z jakich to „podręczników i pism specjalnych” ks. Rękas snuje takie wnioski? Co mianowicie w „systemach oficjalnych szkolenia” nasuwa Autorowi myśl, że „zawodowość” wyklucza z pielęgnowania chorego „pracę duchową, kontakt wewnętrzny, religijny, społeczny”? [...] Że się rzecz ma przeciwnie, o tem wszystkie wiemy.

Daleką jestem od twierdzenia, żeby wszystkie w czambuł pielęgniarki c a ł k o w i c i e odpowiadały swoim zadaniom. Ależ bo te zadania są zbyt wzniosłe i nadto trudne, aby słabi ludzie mogli im podołać. Podobnie, jak podołały im nie w s z y s t k i e z naszych poprzedniczek w ciągu 20 wieków pracy charytatywnej. Ale czyż znajdzie się pielęgniarka, która, pracując w duchu miłości bliźniego, powie, że idzie wbrew „oficjalnemu systemowi”? I kto ośmieli się powiedzieć, że jeśli pielęgniarka zboczy z naszej drogi, to będzie to z winy „oficjalnego systemu”? [...]

Pielęgniarki dyplomowane – raz jeszcze – nie uważają się za ideały. Wdzięcznie przyjmują uwagi od każdego, kto należycie poznał ich pracę. Ale nie zgodzą się nigdy na zarzut, że są materialistyczną twierdzą, opasana podwójnym murem szablonu i mechanizacji, z którego zwisa sztandar zawodowości, wykluczający „z pielęgnowania chorego prace duchową, kontakt wewnętrzny, religijny, społeczny”

Z całego serca należy życzyć ks. Rękasowi, aby się zechciał zapoznać z naszym pielęgniarstwem. Może wówczas przekona się, że jego szczytne pojęcia nie są dla nas czemś nieznanym i obcym. Może rozpozna w duchu naszych szkół i naszej pracy – właśnie te swoje pojęcia.

A wtenczas z wolna zanikać w nim będą mocno spóźnione, doktrynerskie uprzedzenia⁽⁶³⁾.

Przytoczony wyżej fragment artykułu Hanny dowodzi jak skromną była osobą. Nie było w niej miejsca na jakąś dziennikarską wyższość, ale też za nic w świecie nie była w stanie obojętności wobec braku kompetencji innych, którzy tego braku wydawali się nie dostrzegać, tym bardziej, że na szali wagi położono morale pielęgniarek, które tak bardzo osobiście praktykowała. Nie była to jedyna krytyczna wypowiedź Hanny. Swoje zdanie

wyrażała zawsze wtedy, ilekroć była taka potrzeba. W artykule pt. [...] „Niepotrzebna książka” – komentuje jej koleżanka – na temat polskiego przekładu „Etyki w zawodzie pielęgniarstwa” Amerykanina, ks. H. Spaldinga [...] przytacza szereg wypowiedzi autora świadczących o nieznanym problemom pielęgniarstwa, jak również cytuje różne dziwaczne „przykłady” z pracy i życia pielęgniarki, obce zarówno wymogom etyki, jak i tradycjom polskim (np. że pielęgniarka może odmówić pielęgnowania chorego innej rasy, a uczennica pielęgniarstwa nie może).

Nie wiemy na pewno jakie poglądy religijne miała Hanna w r.1931, [W tym roku Hanna napisała artykuł, o którym mowa powyżej.] wydaje się jednak, że ta krytyka nie jest wyrazem wrogości Hanny do religii czy księży katolickich, a tylko krytyką niekompetencji i nieprzemyślanych opinii. W ciągu całego swojego życia nie zabierała nigdy głosu w sprawach nie znanych sobie i nie godziła się również na własne ustępstwa wobec tych, którzy nie znając się na pielęgniarstwie, chcieli o jego sprawach decydować⁽⁷¹⁾ – pisze o Hannie Chrzanowskiej jej bliska współpracownica.

Większość problemów poruszanych na stronach *Pielęgniarki Polskiej*, związana była z ich odbiciem w pracy ówczesnych pielęgniarek. W powojennej Polsce pielęgniarstwo społeczne dopiero się tworzyło podobnie jak profesjonalne szkoły zawodu. Natomiast opieka szpitalna, sięgająca swoimi korzeniami tradycji była z reguły prowadzona przez siostry zakonne, które zaczynały dopiero, w myśl ustawy z 1935 r., zdobywać kompetencje zawodowe. Wraz z rozwojem szkolnictwa na pierwszy plan wysunął się brak podręczników do nauki zawodu. *Zasady pielęgniarstwa* wykładane w szkołach i demonstrowane w salach ćwiczeń znajdowały się tylko w notatnikach instruktorek i zawodnej często pamięci adeptek zawodu. Hanna Chrzanowska na podstawie notatek wytrawnej instruktorki pielęgniarstwa p. Terasy Kulczyńskiej zredagowała i umieszczała w kolejnych numerach swego pisma w 1937 r., pierwsze w Polsce, tak potrzebne i wyczekiwane „Zabiegi pielęgniarstwa”. Doczekały się one dwóch wydań w 1938 r. i kilku następnych, w czasie wojny, w Anglii i powojennej Polsce⁽⁶⁴⁾.

W latach powojennych Hanna już nigdy nie wróciła do redagowania *Pielęgniarki Polskiej*. Nie znaczy to, że jej dziennikarski duch przeminął. Wielokrotnie pisała do *Pielęgniarki i Położnej*, a w *Myśli Narodowej* umieszczono jej kilka utworów poetyckich⁽⁶⁴⁾. Największymi z jej dzieł literackich są trzy powieści, które napisała w okresie międzywojennym. Dwie z nich *Niebieski klucz* (wyd. Marchoń 1934) i *Krzyż na piaskach* (Biblioteka Narodowa, Warszawa 1938) ukazały się pod pseudonimem Agnieszki

⁷¹ A. Rumun, *op.cit.*, s.355.

Osieckiej. Na ujawnienie tego faktu autorka pozwoliła w liście, który zgodnie z jej wolą otworzono dopiero po śmierci⁽⁷²⁾. Trzecia, *Płonący śnieg*, nigdy nie doczekała się wydania.

Dwie pierwsze powieści są ze sobą ściśle powiązane. W *Krzyżu na piaskach* autorka przedstawia bohaterkę Marię, która zakochuje się w pewnym żydowskim poecie i wbrew rozterkom serca decyduje się go poślubić. Po ślubie okazuje się, że oboje żyją w dwóch, zupełnie różnych światach, a ich ślub miał być tylko środkiem do zawładnięcia jej osobą i rozbudzenia nowych natchnień uprawianej przez Żyda mrocznej poezji, która nigdy nie podobała się Marii. Maria nie jest osobą wierzącą, ale ma swoje zasady, nacechowane dużym szacunkiem i godnością, które mąż stara się jej wyperswadować. Z czasem zaczyna podejrzewać męża o zdradę, ale miarka przebiera się dopiero wówczas, gdy na pewnym przyjęciu kobieta, którą podejrzewała o romans z mężem, deklamuje wiersz wyśmiewający dziewictwo św. Agnieszki i Klary, obrażając tym samym jej wewnętrzne przekonania. Ale najbardziej boli ją złamana przez męża obietnica, że nie będzie drwił ze świętych w swoich utworach. Pełna goryczy odchodzi od męża. W tym czasie wychodzą na jaw inne bolesne prawdy z życia Żyda uwiecznione w rezultacie rozwodem i wyjazdem Marii do Paryża⁽⁶⁹⁾.

Dalszy ciąg losów Marii znajdujemy w wydanym cztery lata wcześniej *Niebieskim kluczu*. Bohaterkę poznajemy w Paryżu, gdzie próbuje zachwycić się pięknem tego miasta i odnaleźć siebie sprzed lat, ale niestety bezskutecznie. Dostrzega, że utraciła percepcję piękna Paryża, która kiedyś dawała jej tyle radości. Pewnego razu próbuje odgadnąć piękno, wpatrując się w katedrę Notre-Dame. Intryguje ją pewien niewidomy, który wydaje się kontemplować katedrę. Zawierają znajomość. Okazuje się, że ociemniały jest malarzem i że wielokrotnie w przeszłości malował katedrę. W czasie rozmów z malarzem Maria ma wrażenie, że to ona, nie on jest ślepcem. Ma nadzieję, że malarz pomoże jej odnaleźć „klucz do katedry” i wywiedzie ją z ciemności. Marii nie chodzi jednak o względy religijne, ale o przywrócenie odczucia piękna, które jest jej jedynym bogiem. Swoją postawę do wiary najlepiej charakteryzuje jej wypowiedź: *Nie mam żadnej wiary i wiem, że nigdy nie będę jej miała. Chociaż zazdroszczę prostej babie, przed figurą klepiącej różaniec*⁽⁶⁹⁾. Na ostatnim spotkaniu mężczyzna wyznaje jej, że jest wierzącym katolikiem i że się za nią modlił, co wzbudza bunt bohaterki, przed próbą zmiany jej przekonań. Niewidomy tłumaczy, że nie chce jej nawracać, opowiada o tym jak doszło do jego nawrócenia i że wiara daje mu dużo radości. Wyjaśnia jej, że piękno powinno prowadzić ją wzwyż, do odkrycia głębszych prawd, a „klucz do katedry” nie leży w jej zewnętrznych obrysach lecz w środku. Wymusza na niej obietnicę pójścia do kościoła

⁷² <http://www.zrodlo.krakow.pl/archiwum/2003/17/08.html> . Dane z dn. 09.02.2004.

i spojrzenia na szczerze modlących się wiernych. Bohaterce wydaje się, że trzeba by cudu, aby coś się w niej zmieniło, nie kościoła. Wbrew sobie po nocy duchowych zmagani udaje się do kościoła. Dostrzega tam tabliczki wotywnie, szczególnie jedna zwraca jej uwagę: *Dziękuję Matce Bożej za zwycięstwo nad moją wolą zbuntowaną*⁽⁶⁵⁾. Zasłona buntu pęka – Maria zaczyna przeżywać nawrócenie: *Rozdarłam się we dwoje. I odczepił się, odpadł i w nicość potoczył kamień – zaporą*⁽⁶⁹⁾. Rano pisze list do malarza, ale nie może znaleźć słów na odzwierciedlenie stanu swojej duszy. Przecież to „coś” zdarzyło się „tak spokojnie, nad wyraz naturalnie”⁽⁶⁹⁾, żadnego cudu nie było...

Z Paryża wraca odmieniona. Tli się w niej jakiś maleńki płomyk wiary. Dalsze losy wzrastania w wierze Marii odnajdujemy w końcowych fragmentach *Krzyża na piaskach*. *Tytułowy krzyż stojący na mazowieckich piaskach* – komentuje autor artykułu *Marii droga do Boga – staje się dla niej źródłem łaski. Wpada w otwarte ramiona Tego, który kocha ją naprawdę – miłością czystą i wieczną – Boga. To sam Bóg daje jej w końcu „klucz niebieski” do zatrzęsniętych wrót piękna*⁽⁶⁹⁾. Maria nie rezygnuje choć jej droga wiary nie jest usłana różami, co wyraża w słowach: *Ty wiesz, że Twój dar bezcenny, kwieciami pokryty i świergotem, na głębinach swoich jest krzyżem, który mi dałeś, abym go niosła, idąc za Tobą! [...] Daj mi być odbłaskiem uśmiechu nieba! Daj być mchem, zieleńjącym u Twych stóp, pszczołą brzęczącą Twoją chwałą*⁽⁶⁹⁾.

Trzecia powieść, *Płonący Śnieg*, opowiada o procesie rodzenia się powołania kapłańskiego. Możemy zaobserwować w niej kształtowanie się osobowości głównego bohatera, który zostaje poddany próbie utraty czystości i wiary. Szereg perypetii głównego bohatera uwieńcza zwycięstwo nad cielesnymi pokusami. Miłość zmysłowa doznaje przemiany w miłość czystą. Eros zamienia się w „caritas” i „agape”. Bohater odnajduje swoje powołanie⁽⁶⁹⁾.

W ocenie dwóch pierwszych powieści dopełniających się wzajemnie, można odnieść wrażenie, że w postać Marii mogła się wcielić sama autorka. Możliwe, że jest to tylko wrażenie. Faktem jest, że Hanna Chrzanowska mieszkała jakiś czas w Warszawie, która jest również miejscem akcji powieści oraz odbyła w swoim życiu podróż do Paryża i była niewątpliwie oczarowana pięknem tego miasta, a poszukiwania piękna przez Marię przypadają właśnie na jej paryski okres. Prawdą jest również fakt, że przez długi okres życia Hannę cechowały altruistyczne ideały pozbawione wątku religijnego, podobnie jak bohaterkę powieści. Kulminacyjnym momentem utworów jest nawrócenie Marii – początek nowej drogi, którą zaczyna kroczyć, co również ma realne odbicie w życiu autorki, gdyż Hanna ubolewa i często podkreśla w swoim pamiętniku lata niewiary, a także jak wielkie znaczenie w jej życiu miało nawrócenie. Nie można jednak interpretować powieści zbyt dosłownie. Faktem jest, że Hanna Chrzanowska nigdy nie była zamężna⁽⁶⁹⁾.

Płonący śnieg odbiega zasadniczo od dwóch pozostałych powieści i jest jakby odzwierciedleniem procesu pogłębiania się wiary autorki. Dzieło stanowi swojego rodzaju pochwałę czystości i niewinności⁽⁶⁹⁾.

Gdzie leży granica między literackim odzwierciedleniem doświadczeń i wewnętrznych przeżyć Hanny Chrzanowskiej, a pisarską fantazją? Tego nie wiemy i nigdy wiedzieć nie będziemy. Być może to jedyna część jej wnętrza, w całej jej otwartości na bliźnich, którego nie otworzyła przed nikim. Pozostają spekulacje, domysły... I dużym nietaktem byłoby się w nie zagłębiać. Hanna nigdy nie upowszechniała swoich wewnętrznych przeżyć, pod tym względem bardzo chroniła swoją prywatność. O sprawach wiary rozmawiała chętnie, ale bez uzewnętrzniania swojego wnętrza. Nikt z osób, które ją znały nie potrafi powiedzieć, kiedy nastąpił w jej życiu zwrot ku Bogu. Możemy jedynie snuć domysły, że musiało się to stać najpóźniej do początku lat trzydziestych, kiedy to wydawała swoje powieści. Jej dyskrecja, którą potrafiła wzbudzić zaufanie niejednego człowieka, obejmowała także, a może przede wszystkim, ten najważniejszy dla niej dialog – relację z Bogiem⁽⁶⁹⁾.

Wydaje się, że na tej „drodze do Boga” Hanny Chrzanowskiej, duże znaczenie mogła mieć jej serdeczna przyjaciółka – Maria Starowiejska. Była to osoba bardzo lubiana przez Hannę, niezwykle religijna, a przy tym pełna ciepła, poczucia humoru i tolerancji. Razem przez szereg lat redagowały *Pielęgniarkę Polską*, a potem w czasie wojny, pracowały w krakowskiej Radzie Głównej Opiekuńczej.

Ważnym podkreślenia jest fakt, że gdy matka i brat Hanny zwracali swe myśli ku antropozofii (kierunek oparty na wierze w reinkarnację i ćwiczeniach duchowego wtajemniczenia i poznawania świata), Hanna w tym czasie zbliżała się do katolicyzmu i nigdy nie podzieliła skłonności ani nie wykazała zainteresowań matki i brata.

W roku 1931 Hanna Chrzanowska znów próbuje wrócić do pracy pedagogicznej. Niestety na krótko. Obejmuje posadę asystentki dyrektorki Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa, którą przed laty ukończyła. W 1933 roku, z powodu pogorszenia stanu zdrowia przerywa pracę i wyjeżdża na kurację do Zakopanego.

Tuż przed 1939 rokiem Hanna wraz z ojcem udaje się w podróż do słonecznej Italii. Włoska kultura, dzieła sztuki, miejsca znane dotąd tylko z literatury napępiały ją wielkim wzruszeniem, ale najbardziej w pamięci i w sercu pozostał jej Asyż i duch jego odwiecznego mieszkańca, po dziś dzień tak bardzo tam odczuwany. Jej zmysł piękna w przyrodzie i sztuce obecny od dzieciństwa, a przede wszystkim głęboka wrażliwość na ludzi i Boga odnalazły się w tym pięknym i skromnym mieście włoskiego Biedaczyny. Hanna miała bardzo szeroko rozwinięty zmysł piękna, zapewne przyczynił się do tego jej ojciec, który od lat najmłodszych, „zarażał” ją swoją miłością do literatury i sztuki.

Rozmiłowanie w *Boskiej komedii*, jakie zrodziło się w niej już w młodości przetrwało całe życie. *Przynajmniej w czasie wakacji* – wspomina pani Alina Rumun – *zapuszczała się „w ciemne lasy, szmaragdowe łąki i grające przestrzenie dantejskie”, jak sama to wyraziła pisząc do prof. Folkierskiego „w serdecznej wdzięczności za to, że ją – z niemałym trudem – tego nauczył”*⁽⁷³⁾. Z wielkim zapałem czytywała również *Fausta*. Największym dla niej skarbem była jednak literatura polska, przede wszystkim staropolska, którą nasiąkała od najmłodszych lat. W bibliotece jej ojca zawsze obecne były tak bardzo ukochane przez nią *Kazania Skargi* wydane w 1609 r., które przenosiła w wir własnego życia, wielokrotnie cytując fragmenty o miłosierdziu, gdy mówiła o chorych. *Gdy po latach przygotowaliśmy album z pielęgniarstwa domowego, pod każdym zdjęciem umieściła przepiękne słowa Skargi*⁽⁶⁶⁾ – wspomina współpracownica Hanny Chrzanowskiej.

Nie można chyba zrozumieć życia Hanny Chrzanowskiej bez zagłębienia się w jego fundamenty, w jej szeroko pojętą duchowość. Nie można traktować jej działalności dla chorych jak próbę zabicia czasu w życiu samotnego społecznika. Hanna nigdy nie była samotna, zawsze otaczał ją tłum ludzi znajomych, przyjaciół, uczennic i umiłowanych przez nią chorych. Jeśli oddalała się na ciche pustynie samotności to tylko dlatego, że człowiek czasem musi być sam, by nie zatracić swojego jestestwa, by odnaleźć Boga, ludzi i siebie.

⁷³ A. Rumun, *op.cit.*, s.356.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

OKUPACJA

Podczas wojny [...] linia frontu przebiega w poprzek ludzkich serc.
(Antoine de Saint-Exupéry)

Nadszedł wrzesień 1939 r., czas kształtowania i deformacji charakteru Polaków, czas próby i prawdy, czas walki o własne człowieczeństwo, które tak łatwo było stracić w okresie ciągłych zagrożeń ludzkiego istnienia. Wojna zastaje Hannę Chrzanowską w Warszawie i od samego początku ukazuje swoje najgorsze oblicze, jakim jest śmierć bliskich. Już na początku wojny traci prawie całą najbliższą rodzinę. Jako pierwsza odchodzi do wieczności Zofia Szlenkierówna, ukochana ciocia Hanny i najbliższy jej pielęgniarstwu sercu członek rodziny. *Wybuch wojny* – czytamy na stronie internetowej poświęconej wielkim polskim pielęgniarkom – *zastał „polską Florence Nightingale” ciężko chorą w jednym z warszawskich sanatoriów. Umiera w płonącej stolicy, wśród odgłosów bombardowania, w szpitalu pozbawionym prądu i wody, bez należytej opieki, którą przez całe życie zawodowe starała się zapewnić innym*⁽⁷⁴⁾.

Bogdan, brat Hanny, 31 sierpnia staje w obliczu powszechnej mobilizacji rezerw wojskowych⁽⁷⁵⁾, a następnie jako porucznik walczy w kampanii wrześniowej, gdzie dostaje się do niewoli radzieckiej. W wigilię 1939 r. Hanna z matką otrzymują od niego pierwszy i jedyny list. O Bogdanie nie było więcej żadnej informacji i nigdy też do domu nie wrócił. Jedyne co udało się później ustalić to miejsce jego mordu – Katyń.

Hanna wraca do rodzinnego Krakowa, gdzie włącza się w pracę Obywatelskiego Komitetu Pomocy Społecznej, któremu przewodniczy Ks. Abp Adam Stefan Sapiecha⁽⁷⁶⁾.

Niebawem 6.11.1939 r. Gestapo przeprowadza historyczną akcję pod kryptonimem *Sonderaktion „Krakau”*, wymierzoną w polską elitę naukową. Tego dnia Niemcy aresztowali 183 pracowników UJ i AGH w Krakowie. Wśród jeńców znalazł się także

⁷⁴ <http://www.sluzbazdrowia.com.pl/html/more2931b.html> . Dane z dnia 09.02.2004.

⁷⁵ A. Rumun, *op.cit.*, s.357.

⁷⁶ <http://www.zms.tarnow.pl/opatroni.htm> . Dane z dnia 09.02.2004.

Ignacy Chrzanowski⁽⁷⁷⁾. Więźniów przewieziono do koszar przy ul. Mazowieckiej, które nazajutrz były tłumnie oblegane przez rodziny aresztowanych. *Hanna z matką stojąc na ulicy dostrzegła ojca w oknie. Uśmiechają się do siebie po raz ostatni...* – podaje pani Alina Rumun w biografii Hanny Chrzanowskiej⁽⁶⁸⁾. Ojciec Hanny więziony był najpierw w Krakowie, potem przewieziono go do Wrocławia, a następnie do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen w Oranienburgu. W cztery dni po aresztowaniu, 10 listopada, Niemcy w ciągu dwóch godzin pozbawili dachu nad głową rodziny pojmanych, wyrzucając je z mieszkań w domu profesorskim. Wraz z nastaniem styczniowych mrozów zaczęły się obawy o sędziwego już wtedy ojca Hanny. Ale niestety na krótko... 23 stycznia 1940 roku Hanna wraz z matką otrzymują wiadomość z Sachsenhausen o śmierci prof. Ignacego Chrzanowskiego. Ze spisanych przez matkę Hanny wspomnień, dowiadujemy się o załatwianiu dwudniowych formalności w celu opóźnienia spalenia zwłok i uzyskania pozwolenia Gestapo na wyjazd do Berlina. Cel zastał osiągnięty. 25 stycznia Hanna i jej matka znalazły się w obozie Sachsenhausen w Oranienburgu. Po sześciogodzinnym oczekiwaniu, jak wspomina to zdarzenie Wanda Chrzanowska:

Wchodzi młody żołnierz, wywołuje nas. (O Jezus, Maria! Wspomnienie tej chwili!) Prowadzi nas przez wielkie podwórze do drugiego baraku. (...) Jest już zupełnie ciemno. Odsuwa wielkie drzwi. Odkręca elektryczność. W tej jaskrawej jasności Ignas w czarnej drewnianej prostej trumnie, wieko oparte o ścianę. Ignas?! Ten starzec dziewięćdziesięcioletni najmniej... Ten Ignas, już 74-letni, ale tak silny, krzepki! Czy bym Cię była od razu poznała, gdybyś leżał w szeregu z innymi, a nie sam jeden w tym małym garażu? Nic – że króciutka czupryna, że wąsy zgolone odstaniają zapadniętą wargę, ale te kości wystające na zapadłych policzkach, nos wyostrzony, usta wpólotwarte w ostatnim bolesnym wydechu.

Nic Ignas nie był zmieniony przez to, że widziałam go na szósty dzień po śmierci (był to pierwszy dzień małego mrozu po szeregu dni wielkich mrozów), ale widać było na tej biednej twarzy wszystko, co przeszedł i cierpiał. Nie płakałam ani ja, ani Hania (teraz płaczę...). Niewypowiedziane jakieś uczucie grozy, już wyjść, pożegnać Ignasia... A przecież dla tej właśnie chwili odbyłyśmy tę pielgrzymkę. Pogłaskałam po zmarszczonych rękach. Hania je gładzi: „Tatusiu, Tatusiu...” Pogłaskałam po krótko ostrzyżonej, mięciuchnej, gęstej siwej czuprynie, musnęłam ją pocałunkiem...

Leżał Ignas w białej papierowej koszuli, z białym papierowym krawatem, po pas przykryty papierowym prześcieradłem. Nieznośne uczucie męki niewypowiedzianej.

⁷⁷ *Kronika Polski, Reader's Digest Przegląd, Warszawa 2000, s.693.*

Ja, która nie mam cienia lęku wobec zwłok (...). Może to atmosfera straszliwa całego obozu, może obecność tego młodego żołnierza, opartego niedbale o drzwi... Ja z moim przytępionym słuchem tego nie słyszałam, ale Hania powiedziała mi później, że ten żołnierz cały czas, prowadząc nas przez podwórze, cały czas, gdyśmy stały przy trumnie – gwizdał... (Biedna duszo ludzka, coś do takiego doszła upodlenia!)

Stanęłam u nóg trumny. Co to? Wieniec? Z jedliny i suchych liści dębu? „Wer hat das gebracht”⁽⁷⁸⁾? „Das geben wir für Alle”⁽⁷⁹⁾. Wzdrygnęłam się na ten cynizm. „Haniu, już wyjdźmy”. Ostatnie pożegnalne spojrzenie... Ale już nie w tej trumnie trzeba było Cię szukać, Ignasiu!

Teraz inny żołnierz prowadzi nas do biura, gdzie urzędnik w mundurze pyta się naprzód, czy mój mąż miał jakieś kosztowności. „Tylko obrączkę i stalowy zegarek”. Wtedy z najwyraźniejszym poczuciem wyższej kultury i nieposzlakowanej uczciwości niemieckiej podchodzi do półki z mnóstwem przegródek, bierze torebkę, rozrywa i oddaje mi jedno i drugie. „Wiele pani przysłała pieniędzy”? „40 marek” [...] i wręcza mi 120 marek. „Co to za pieniądze”? „To te, które nieboszczyk miał przy sobie przybywszy tutaj”. Uczciwość niemiecka mnie dusi. Więc miał tyle pieniędzy, z czego nic nie dostawał, a czekał z niecierpliwością, abym mu przysłała pierwsze 15 M... Żołnierz prowadzi nas do drugiego biura – aby odebrać ubranie. Wraca z więźniem niosącym wielki karton. Wydobywają całe ubranie, grube palto, kapelusz, bieliznę, buty. (...) „Jest wszystko” – mówi żołnierz, podkreślając skrupulatną uczciwość. (Ach, gdyby Ignas był stał na tych rozpaczliwych apelach przy 30^o mrozie – w swym grubym palcie...)⁽⁸⁰⁾.

Hanna i Wanda Chrzanowskie na zawsze zachowały w pamięci podróż, którą musiały odbyć aby ostatni raz pożegnać ojca i męża. Po opuszczeniu obozu, pomimo tych tragicznych przeżyć, czekała ich jeszcze długa wędrówka po berlińskich urzędach w celu załatwienia przysłania prochów zmarłego do Krakowa. Wreszcie, po dokonaniu wszystkich koniecznych formalności, mogły powrócić do domu – do domu, gdzie rozpoczęło się oczekiwanie na urnę, a także choroba matki Hanny.

Przysłano wreszcie urnę z obozu – komentuje koleżanka Hanny Chrzanowskiej. – 7 marca cichy pogrzeb. Na cmentarzu tylko 14 osób. Nadszedł ksiądz; wtedy Hania wzięła trumienkę, a potem razem z matką niosły ją do grobowca. Obcy ludzie myśleli na pewno, że to matka i babka niosą małe dzieciątko do grobu⁽⁸¹⁾.

⁷⁸ *Kto to przyniósł?*

⁷⁹ *To dajemy wszystkim.*

⁸⁰ A. Rumun, *op.cit.*, s.357-358.

⁸¹ *Ibidem*, s.358.

Szczególnie ciężko tę nacechowaną niemieckim cynizmem wizytę w obozie przeżyła matka Hanny. Odbiło się to na jej stanie zdrowia.

To chorowanie – wspomina Wanda Chrzanowska – dlatego było tak ciężkie, że nic mnie nie odводziło od moich rozpaczliwych myśli (...) wciąż od nowa szarpiące widzenie tej całej naszej pielgrzymki, niewypowiedziana zmora tego skoncentrowanego Zła w Sachsenhausen. Dzięki Ci, Boże, że była we mnie bezgraniczna groza wobec tego Zła, że nie było nienawiści do tych ludzi, tylko litość nad ich upadkiem, nad ich odejściem od człowieczeństwa (...) Podczas choroby współczuwanie z Hanią całego naszego nieszczęścia, wspólny krótki szloch, pełna miłości cierpliwość i oddanie córki-pielegniarki.

Był też u mnie dobry ks. M.⁽⁸²⁾ Był w oddzielnym baraku (...) i nie mógł Ignasia w Sachsenhausen widywać, ale mi powiedział jedno, że na mocy kilku dawniejszych rozmów może mnie zapewnić, że mogę być spokojna, bo Ignas na pewno umierał w Chrystusie...⁽⁷⁴⁾

Hanna z matką dotkliwie odczuły utratę swej najbliższej rodziny. Mimo osobistych przeżyć Hanna nie poddaje się. Wszystkimi swoimi siłami angażuje się w społeczno-opiekuńczą pracę w Sekcji Opieki nad Przesiedlonymi Polskiego Komitetu Opiekuńczego w Krakowie, który z czasem wchodzi w skład Rady Głównej Opiekuńczej. Sekcja Opieki nad Przesiedlonymi była oficjalnym organem akceptowanym przez Niemców, choć zakres jej pracy był obwarowany mnóstwem ograniczeń i zakazów. Szczególnie „delikatną” kwestią była opieka nad dziećmi, którą okupanci bardzo utrudniali. Hanna Chrzanowska starała się sprostać i tym problemom. Organizowała rodziny zastępcze dla osieroconych i zagubionych w czasie wojny dzieci. Niosła pomoc organizując dożywianie i kolonie letnie dla dzieci. Do tworzenia letniego wypoczynku dla dzieci w dużej mierze przyczyniła się serdeczna przyjaciółka Hanny, Maria Starowiejska, która posiadała szerokie znajomości w kręgach ziemiaństwa, gdzie w niektórych dworach organizowano nawet dwudziesto-osobowe kolonie. Oprócz tego w ciągu roku dożywiano dzieci w domach prywatnych.

Przydziały żywności i zapomogi pieniężne – pisze o sumienności pracowników Sekcji pani Alina Rumun – były rozdzielane co do deka i grosza. Raz zdarzyła się jakaś niezwykła gradka w postaci kilku puszek czekolady dla dzieci: żadna z opiekunek nawet jej nie spróbowała⁽⁸³⁾.

W czasie gdy przyjeżdżały transporty ze wschodu Hanna Chrzanowska obejmowała podstawową opieką sanitarną dzieci, które niejednokrotnie przyjeżdżały

⁸² Ks. Konstanty Michalski.

⁸³ A. Rumun, *op.cit.*, s. 359.

brudne i zawszone. Kapała je i czyściła, choć często po tych „sanitarnych akcjach” cała jej odzież była niestety zawszona.

Hanna Chrzanowska bardzo szybko awansuje i staje na czele Działu Opieki Domowej Sekcji Opieki nad Przesiedlonymi i Uchodźcami. Kieruje pracą wielu ochotniczek z różnych sfer społecznych, które zgłaszają się do pomocy. Większość z nich nie ma żadnego przygotowania. Przeszkala ochotniczki i przydziela im pod opiekę odpowiednie dzielnice Krakowa. Przeprowadza również, tak bardzo ważną dla zachowania porządku i sumienności pracy, ewidencję wszystkich przybyłych wysiedleńców. Hanna wysyła swoje opiekunki na wizyty domowe, pozwalające na rozpoznanie rzeczywistych potrzeb ich mieszkańców. Organizuje również poszukiwania tych, którzy nie zgłaszali się sami po pomoc, a którzy jak to często ukazywały realia znajdowali się w rozpaczliwej nędzy.

Jedna z wojennych współpracownic Hanny wspominała, że najtrudniejszym zadaniem było utrzymanie porządku i zarządzanie pracą ok. trzystu opiekunek-ochotniczek, ale Hanna Chrzanowska znakomicie sprostała i temu zadaniu⁽⁷⁹⁾.

Na początku wojny podczas srogich mrozów zimy 1939/40 obejmowano opieką transporty z wysiedlonymi, które masowo przyjeżdżały z Poznańskiego, Bydgoskiego i Śląska. Przesiedleńcy przyjeżdżali w strasznym stanie bez żadnego zaopatrzenia pomimo srogiej zimy. Organizowano także izby chorych a potem przychodnie lekarskie w obozach przejściowych. Cała praca miała charakter ciągłej improwizacji w zależności od wynikających na bieżąco potrzeb i problemów w okupowanym Krakowie.

W latach 1941-43 rozwinięto akcję nad ukrywającymi się dziećmi żydowskimi i Żydami, a po upadku powstania warszawskiego w 1944 r. znów objęto opieką kolejne ogromne „fale” transportów bezdomnych. Nie obca była też Hannie działalność konspiracyjna. Szukano tymczasowych pomieszczeń dla ukrywających się przed wywozem do Rzeszy ludzi. Niejednokrotnie posuwano się do różnych forteli, aby ustrzec przed transportem osoby wywożone na przymusowe roboty do Niemiec oraz starano się o zatrudnienie dla osób zagrożonych takim wywozem⁽⁷⁹⁾.

Hanna współpracowała także z więźniami z Patronatem Opieki nad Więźniami. *Przygotowała kiedyś – wspomina jej koleżanka – dla więźniów na Montelupich kluski z makiem na wigilię. Nie kosztowała podarowanego na ten cel maku, który okazał się gorzki, a kluski potem – niestety – niejadalne⁽⁷⁶⁾.*

Po wieloletnim okresie okupacji nadchodzi wreszcie długo oczekiwane wyzwolenie. Kraków odzyskuje niepodległość w styczniu 1945 r., ale Hanna, jako przewodnicząca Sekcji Pomocy Przesiedleńcom, pracuje aż do końca marca, udzielając pomocy powracającym z Rzeszy przymusowym robotnikom i repatriantom.

Nie ma dokładnych szczegółów o życiu Hanny w czasie okupacji. Wiadomo, że przez cały ten czas bohaterka niezmiernie i bezinteresownie pracowała wszędzie tam, gdzie w potrzebie był człowiek, do którego miała możliwość dotarcia. Nienormowana godzinowo praca, często, gdy wymagała tego sytuacja, także nocami, pochłonęła całkowicie jej życie również osobiste.

Nie trudno [...] się domyślić, – wspomina Hannę jej koleżanka – ile też musiała otrzeć, ilu potrzebom zaradzić, ilu zrozpaczonym dać promyk nadziei! [...] lata wojny wpłynęły decydująco na jej postawę wewnętrzną. Cierpienia własne i całego narodu pogłębiły jej wiarę i bardziej jeszcze zbliżyły do Boga⁽⁸⁴⁾.

⁸⁴ Ibidem, s. 360.

ROZDZIAŁ ÓSMY

NARODZINY PIELĘGNIARSTWA DOMOWEGO

Pielęgniarstwo domowe stawia nas najbliżej chorego takiego, jakim jest i ta prosta, a nieraz tak bardzo trudna praca przy nim, to właśnie ta, która mi daje coś jakby szczęście.
(Hanna Chrzanowska)

Czas okupacji pozostawia po sobie duże spustoszenie we wszystkich dziedzinach życia Polaków. Już w kwietniu 1945 r. reaktywacji ulega Uniwersytecka Szkoła Pielęgniarek i Higienistek w Krakowie. Hanna niezwłocznie zgłasza się do przygotowania szkoły do zajęć. A zadanie to było nie lada trudnością. Ze szkoły pozostał tylko budynek, który wymagał całkowitej adaptacji. Nie było ani mebli, ani planów szkolenia, ani pomocy naukowych, tak potrzebnych do nauki zawodu⁽⁷⁷⁾. Tak o tym trudnym okresie pisała po latach Hanna Chrzanowska:

W kwietniu 1945 r. zgłosiłam się do pracy w Uniwersyteckiej Szkole Pielęgniarek w Krakowie, która wkrótce przekształciła się w trzyletnią szkołę Pielęgniarsko-Położniczą. Jej dyrektorka p. Anna Rydlówna dała mi pełną swobodę w organizowaniu działu szkolenia w zakresie pielęgniarstwa przed wojną zwanego „społecznym”, a po wojnie „otwartym” w odróżnieniu od pielęgniarstwa w szpitalach i innych tzw. zakładach zamkniętych. Praktyka uczennic obejmowała prócz tradycyjnych działów profilaktycznych dwa działy nowe: opiekę przyszpitalną i wkrótce, bo już od roku 1946 pielęgniarstwo domowe. Była to zresztą wymarzona gałąź pracy p. Rydlówny. Min. Zdrowia nie robiło nam w koncepcji szkolenia żadnych trudności i pielęgniarstwo domowe szybko weszło do oficjalnego programu. Prowadząc całokształt szkolenia i bardzo zajęta w samej szkole, nie mogłam oczywiście tego pasjonującego mnie działu prowadzić osobiście. Pierwsza instruktorka Chaczewska zatrudniona była bardzo krótko, bo musiała wyjechać z Krakowa. Musiałam kierować pracą domową czasem od biurka, ale zaczęła się ona rozwijać dopiero wtedy, gdy ją objęła na wiosnę 1948 r. instruktorka Janina Kotecka, świeża absolwentka ale wyrobiona w okupacyjnej działalności – pracownica społeczna, a poza tym pielęgniarka z Bożej łaski⁽⁸⁵⁾.

⁸⁵ H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.57-58.

W lecie 1946 r. Hanna wyjeżdża z grupą koleżanek na stypendium UNRRA do USA, gdzie ma okazję przypatrzeć się jak działa nowojorskie pielęgniarstwo domowe. *Poza ogólnym pogłębieniem wiedzy – komentuje Hanna – wyniosłam stamtąd utwierdzające mnie w przyszłych walkach pewniki: że pielęgniarstwo domowe jest pracą bardzo mądrą, bardzo szeroką, że są potrzebne tak jak w innych działach wysokie kwalifikacje. Tamtejsze pielęgniarki domowe to kwiat pielęgniarstwa amerykańskiego. Mnie obwoziła od domu do domu wspaniała, mądra Murzynka.*

Powróciwszy do Krakowa – wspomina dalej – (I 1947 r.) pchałam moją placówkę dalej. Zrazu – rzecz dziś niepojęta – o chorych nie było łatwo. Lekarze nie rozumieli o co nam chodzi. Kierowali nas do środowisk bardzo ubogich, albo bardzo brudnych nie umiając długo wychwytać chorych chronicznie – wymagających pielęgnowania. Starłam się o zdobycie chorych, głównie wyzyskując szerokie znajomości z czasów prac okupacyjnych. Oczywiście najlepiej, a raczej całkowicie rozumiały moje starania pielęgniarki – moja dyrektorka p. Anna Rydlówna i przełożona pielęgniarek naszego Ośrodka Zdrowia – Wanda Fliska – wojenny kompan. Wielką pomoc okazał nam naczelny lekarz poradni – dr Żabiński⁽⁸⁶⁾.

Początki były trudne. W Polsce nikt wcześniej nie wychodził z pomocą naprzeciw pacjentom domowym do ich rodzinnych środowisk życia, tak jak to było w Europie, Kanadzie i USA. Wszystkie wizyty domowe miały raczej charakter patronażowy, a cel ich był skierowany na prewencję.

W warszawskich przedwojennych wzorowych Ośrodkach Zdrowia – relacjonuje Hanna Chrzanowska – prace szły przede wszystkim w kierunku profilaktycznym i pielęgniarstwie odwiedzin domowe miały przez długie lata ten właśnie charakter. Uczyliśmy matki, dzieci, chorych na gruźlicę i inne choroby zakaźne – ale obłożnie chorych w domu zrazu nikt nie pielęgnował. Było to rażące. Indywidualna inicjatywa zapalonych pionierek w Warszawie i we Lwowie, choć nie rzadka nie wystarczała, ale coraz głośniej było w ówczesnym PSPZ (Polskie Stowarzyszenie Pielęgniarek Zawodowych) o konieczności stworzenia tego niezbędnego działu pracy. [...] Konieczność tę znał i Wydział Zdrowia i Ubezpieczeń Społecznych.

Uderzyło mnie to osobiście kiedy w ramach przeprowadzonej przez nas z ramienia Miejskiego Wydziału Zdrowia (w Warszawie) – ankiety mającej na celu przedstawienie pracy pielęgniarek społecznych, chodziłam z nimi po domach. Pamiętam chorego na gruźlicę – bodaj kostną – wymagającego koniecznie pielęgnacji, której mu nikt nie zapewnił. To był dla mnie silny wstrząs⁽⁸⁷⁾.

⁸⁶ Ibidem, s.58-59.

⁸⁷ Ibidem, s.56-57.

Hanna Chrzanowska jako pionierka pielęgniarstwa domowego rozpoczęła od zdefiniowania tej zupełnie nowej w Polsce dyscypliny pielęgniarstwa:

[...] pielęgniarstwo domowe – pisze w swoich założeniach – nie było nigdy u nas rozwinięte na szerszą skalę. Od razu określłam to, co stanowi jego cechy: pielęgniarka pełni określone funkcje przy chorym; przede wszystkim zabiegi higieniczne. Ma pod opieką kilku chorych dziennie, a więc nie pełni stałych dyżurów, tylko w poszczególnych domach spędza przeciętnie 1-1,5 godziny: pielęgnuje przede wszystkim chorych chronicznie. Przyjmuje ich pod opiekę w razie rzeczywistej potrzeby, niezależnie od stopnia zamożności (jest to aktualne zwłaszcza teraz, po wojnie, kiedy niedostatek materialny nie jest u nas największą bolączką). Pielęgowanie w domu nie jest zajęciem pobocznym, ale głównym. Pielęgniarka otrzymuje pobory od instytucji, z ramienia której pracuje, a ewentualne opłaty zamożniejszych chorych pobiera dana instytucja⁽⁸⁸⁾.

Mimo tak dokładnego sprecyzowania pielęgniarstwa domowego jego charakter był na początku po prostu nie wyczuwalny. Na szczęście – nie na długo!

Kiedyś na początku – wspomina Hanna – Janka Kotecka oświadczyła mi – siedząc na stole w Przychodni na Skawińskiej, że właściwie to nie ma co robić, a ja na to: „pani rzeczą jest, aby pani nie mogła zipnąć”. Wkrótce istotnie nie mogła zipnąć i nie mogąc nastarczyć uczennic, sama w tajemnicy przede mną – po godzinach pracy – rzecz prosta, podejmowała się dodatkowych pielęgnacji, a gdy jej chciano tę pracę honorować mawiała: „czyż wam nie przyjemnie, że to robię z serca”⁽⁸⁹⁾?

Takie to były, wręcz heroiczne czyny instruktorek i uczennic w ówczesnych ciężkich, może nie w stosunku do wojny, ale na pewno do dzisiejszej rzeczywistości, czasach. Ale heroiczna była też praca! Problemy pacjentów na pewno były inne, zasadniczo odbiegające od dzisiejszych, ale świetnie rozpoznawane i rozwiązywane.

Pierwszą pacjentką na domowym – opisuje Hanna w swym pamiętniku – była prywatnie wytropiona staruszka, gdzieś chyba na Pędzichowie i druga przy Siemiradzkiego 25 [...]. Potworny przypadek przy ul. Topolowej. Brud, paraliż, płasawica, smród, głód. Z uczennicą moją, jedną z najmilszych – Marysią Czarnowską, woziliśmy do niej zimą 1945/46 węgiel na saneczkach od Karmelitów Bosych – to była chyba pierwsza furta klasztorna, do której zadzwoniłam z prośbą o pomoc. Chorych nie brakowało. Uczennice ciągle świetne. Dojrzałe, wiedzące czego chcą idąc na pielęgniarki, kulturalne, mądre. Wyjątki rzadkie. Przyzwyczajona do naszej pracy okupacyjnej, w której nie liczyło się godzin, w której ciągle trzeba było przeskakiwać przegrody dla wyścigowców –

⁸⁸ Ibidem, s.56.

⁸⁹ Ibidem, s.59.

wymagałam od uczennic tego samego. Jeśli myśmy mogły podolać, czemu one nie mają moc?

Zaczęły nam wpadać w ręce „potworne przypadki”. Stwora w płaszczu, na nagim ciele, rozkudłana, siedząca w kuchennej alkwie od kilku miesięcy, dosłownie zasypiana śmieciem, z nogami opuchniętymi jak konwie... Reumatyczka (gdzieś na dalekiej Olszy), której się obierało ziemniaki, paliło w piecu i Bóg wie co – poza pielęgniarzką obsługą. Bo uczennice ówczesne nie miały przewrócone i stale przewracane w głowie. Sypnęły się przypadki z całego Krakowa. Uczennice mogły ciągle jeszcze przechodzić miesięczne praktyki w naszym „domowym”. Ciągłe jeszcze nie bały się pracy. I można było obsługiwać czasem aż 50 chorych...⁽⁹⁰⁾

Ten wielki duch pomocy chorym w domach trwał, choć kadra instruktorek pielęgniarstwa domowego się zmieniała. Po Janinie Koteckiej w 1950 r. instruktorką pielęgniarstwa domowego została Wiesława Francik, a po niej Maria Podgórska i Zofia Szlendak, która pełniła tę funkcję przez długie lata. Hanna była bardzo zadowolona z kadry instruktorskiej, a także uczennic, które stawały na wysokości nawet najtrudniejszych zadań⁽⁹¹⁾.

Moje uznanie – Hanna komentuje pracę swoich współpracownic i uczennic – nie może się ograniczyć tylko do instruktorek. Należy się i uczennicom. Ogromna większość ich powojennych zespołów składała się z młodych kobiet, które – choć niektóre w bardzo młodym wieku – przeszły okupację. Znały życie trudne i twarde, wiedziały co to jest nieszczęście. Nie trzeba im było deptać po piętach, ani prowadzić za rączkę. Były odpowiedzialne, samodzielne, nie bały się zmęczenia, bez mrugnięcia okiem przyjmowały i wykonywały polecenia najtrudniejsze⁽⁹²⁾.

Najtrudniejszych do rozwiązania problemów niestety nie brakowało. Nie były to jednak problemy, jak się może wydawać, techniczne czy związane z brakami kadry do pracy. Problemy najtrudniejsze, zdaniem Hanny, leżały w niesieniu pomocy, nie odbierającej chorym poczucia bezpieczeństwa – pomocy, która nie pozbawi pacjentów wieloletnich przyzwyczajzeń, „skarbów” tak materialnych jak i fizycznych, które na starość czasem stają się dla nich największym dorobkiem życia, a przez obcych często postrzegane są tylko w kontekście materialistycznym, jako niegodne warunki bytu. Hanna Chrzanowska, w swojej ideologii niesienia pomocy chorym, zwróciła uwagę przede wszystkim na sposób odbierania tej pomocy przez pacjentów. W całej jej pracy na pierwszy plan wysuwało się holistyczne spojrzenie na chorego, tak często pomijane nawet

⁹⁰ Ibidem, s.59-60.

⁹¹ Ibidem, s.60-61.

⁹² Ibidem, s.61.

w dzisiejszej pracy z pacjentami. Jej postawa niejednokrotnie zawstydzona nawet w obliczu obecnego, szeroko rozwiniętego holizmu w medycynie i pielęgniarstwie. Hanna nie stwarzała nowych teorii, nie wprowadzała nowelizacji zasad w postępowaniu z chorym. Zaproponowała coś zupełnie nowego, co narzucało konieczność dokładnego omówienia pojęcia indywidualnego dobra dla chorego w jego konkretnej, specyficznej tylko dla niego sytuacji życiowej. Uczyła swoje uczennice zwykłej, autentycznej empatii, pozwalającej na odczuwanie i zrozumienie świata chorych, tak bardzo trudnego do zrozumienia przez zdrowych młodych ludzi. We wspomnieniach Hanny Chrzanowskiej można odnaleźć obszerny fragment, przepięknie charakteryzujący jej holistyczną postawę wobec chorych:

Zostawiałam uczennicom – opisuje w pamiętniku – dużą samodzielność i ufalam im. Ale każda sprawa przeniesienia chorego z domu do zakładu wymagała omówienia i bardzo dokładnego rozpatrzenia sytuacji domowej. To punkt zasadniczy, który pakowałam im do głów już na wykładach. Z uporem, topatologicznie. Tylko wtedy, gdy istotnie choremu będzie tam lepiej. Lepiej – szeroko ujętym. Jeśli chce, to najważniejsze. Sprawę należy traktować jak najbardziej subiektywnie, z punktu widzenia, z punktu poczucia woli chorego, czy starca. Także – czasem mniej czasem więcej – z punktu widzenia rzeczywistości przez rodzinę chorego. Nasz osąd obiektywny, to czasem pseudo osąd. Zasadniczy błąd, który niestety często popełniają różni pracownicy społeczni świeccy i nieświeccy (np. siostry zakonne) to szybka, nieprzemyślana propozycja umieszczenia w zakładzie, gdzie „będzie ciepło”, „czysto i syto”. Ale nie będzie ciepło pod własną pierzyną, pod ulubionymi kołderkami, szalikami, futerkami, które klnąc często w duchu, cierpliwie, systematycznie układa według zlecenia mąż, żona, córka, lub pielęgniarka domowa. Co z tego, że będzie czysto, skoro nie będzie nad łóżkiem ulubionych obrazków, ani starego kilimka z zatkniętymi palmami z wielu palmowych niedziel, ani starych gratów, tyle przypominających. „Syto” zapewne. W domu z tym gorzej i niekoniecznie dlatego, że nie ma co włożyć do garnka, tylko dlatego, że tegoż garnka godzinami nie ma kto podać. Ale – byle coś zjeść, zanim pójda do pracy, potem termos, maszynka elektryczna. Czasem nic z tego. Ręce bezwładne, wszystko boli. Ale i tak tu lepiej. Bo jestem u siebie.

Prawo człowieka do własnego kąta, tu – w świecie chorych – znajduje kategoryczne potwierdzenie. Kąt „mój”, nie ograniczony tylko do łóżka, stolika nocnego i krzesła, jak w zakładzie, urządzonym u nas na modłę szpitalną. Chodzi o coś więcej, o swobodę. Brak rygoru, narzuconego porządku godzin, gaszeniu światła, w domu – owszem, chcę domagam się porządku dnia. Ale i on jest mój.

Jednak największym straszakiem jest konieczne, przymusowe towarzystwo w zakładzie. „Jak ja sobie pomyślę, że będę ze wstrętnymi babami”... zachnęła się któraś z... bab, która mogłaby sama innych odstraszyć od powzięcia decyzji. W tym okrzyku

mieści się cały, najistotniejszy opór przed opuszczeniem domu, chociaż mniej drastycznie nieraz odczuwany i wyrażany. [...] Do tego dochodzi – u osób samotnych – konieczność decyzji na zawsze. Nie ma powrotu. Pogrzebany jest na zawsze własny kąt z miłym wyrkiem i rozwalonym może piecem, albo miłymi pamiątkowymi meblami kupionymi kosztem wielu wyrzeczeń, o nowoczesnej prostocie i wdzięku. To wszystko – w ten, czy inny sposób ulega likwidacji, ku kłopotowi rodzin, znajomych i sąsiadów, albo ku ich szalonej radości.

Raz jeden zmusiłam chorą – wzięłam ją do zakładu niemal przemocą. Janka odkryła ją gdzieś w Podgórzu, w kilkunastostopniowym mrozie. Chodziło o ratowanie życia. Chora psychicznie, reumatyczka leżała na jakimś wyrku, na podłodze. Nie było stołu, ani krzesła. Do dziś mam w pamięci widok Janki, jej profilu, ślicznych włosów leżących na kołnierzyku kurtki, małej główki nachylonej nad deską, na której położyła arkusz papieru i pisała podanie klęcząc na podłodze... Tę nieszczęśnicę odwiedziłyśmy potem w zakładzie. Ponieważ krzyczała po nocach, z ogromnej sali przeniesiono ją do małej, właściwie agonarium. „I gdzie mnie panie umieścić? Przecież tu ciągle umierają”. Nie ma już tej ogromnej sali. Zakład przebudowano. Ale skarga rozbrzmiewa ciągle – ciągle śmierć na oczach tych, którzy czekają na swoją kolej⁽⁹³⁾.

Takie to przykre wspomnienia zachowała Hanna Chrzanowska, gdy kierowała się bez wątpienia dobrem chorego, ale dobrem, w którym chodziło przede wszystkim o byt, nie o jego duchowe samopoczucie. Decyzji, którą wtedy podjęła, bez wątpienia przyznamy rację, gdyż nie można zostawić chorego w lodowatym mieszkaniu na czymś, czego nie można nazwać nawet łóżkiem. Ale dla Hanny dobry wybór znaczył daleko więcej niż zapewnienie materialnej egzystencji pacjenta. To, co zrozumiała w kontaktach z chorymi, co starała się przekazać w swojej pedagogicznej pracy, to zapewnienie choremu takiego dobra, które przez niego sugestywnie będzie odczuwane właśnie jako dobro. Wydaje się, że w całym jej życiu liczył się dla niej chory, ale chory przez duże „C”. Jeśli jakaś maksyma wytyczała jej zawodowe życie to na pewno ta, która czyniła z człowieka cierpiącego niemal dostojnika, któremu należy służyć z szacunkiem miłością i wszelkim dobrem. Owa maksyma: *nos seigneurs les malades* – nasi panowie chorzy, realizowana przez nią każdego dnia, wytyczała porządek jej życia, jak zegar zawieszony w cieniu ściany, na który co jakiś czas zwracamy uwagę, aby nie stracić z oczu celu, który zamierzamy osiągnąć – jak zegar, który żegna spokojnym tonem swego serca każdą minioną godzinę a wita nową, w której wytyczamy swój szlak długiej wędrówki do osiągnięcia naszych planów.

⁹³ Ibidem, s.61-63.

Czy uczennice Hanny Chrzanowskiej, podzielały poglądy swojej instruktorki? Niektóre były na pewno oddane sprawie do końca, ale praca była trudna, warunki ciężkie i męczące więc zdania, jak to zwykle bywa, były podzielone:

Czy uczennice lubiły ten rodzaj pracy? – zadaje sobie pytanie bohaterka – Chyba ich większość wolała szpital. Ale miały życzliwość dla chorych w ogóle, stąd z pełnym zrozumieniem służyły im i w domach. Mimo to, kiedy z tablicy ogłoszeń dowiadywały się o przydziałach pracy, przeczytały „pielęgniarstwo domowe” – mawiały „idziemy na dziady”. Czy dlatego, że większość chorych była starych i ubogich, że mieszkania – jakże często – były nędzne i brudne? Ale przyczyniały się do tego określenia i torby pielęgniarskie i brzydkie, czarne amerykańskie płaszcze gumowe (chyba z demobilu) i byle sukieneczyny, a potem i mundury niechętnie noszone na ulicy. Niektóre jeździły na rowerach na dalekie przedmieścia, bo nie istniała wówczas „dzielnica szkoleniowa”.

Kiedys jeszcze na wykładach poprzedzających praktykę, któraś z uczennic zapytała buńczucznie: „a czy do naszej pracy należy sprzątanie”? Odpowiedziałam: „nie, do pracy pielęgniarskiej nie należy, ale należy do zwykłych usług wykonywanych przez każdego człowiekowi potrzebującemu”. Podczas praktyk od tych usług trzeba było dziewczęta raczej wstrzymywać...⁽⁹⁴⁾

Zdarzały się jednak czasem takie sytuacje, które zaskakiwały uczennice puszczone od razu na głębokie wody praktyk w pielęgniarstwie domowym, gdzie nie zawsze mogły liczyć na pomoc i dobrą radę instruktorki. Realia tej pracy budziły w młodych adeptkach niejednokrotnie przerażenie i lęk przed sprostaniem odpowiedzialnemu zadaniu.

Któregoś przedpołudnia – wspomina Hanna – wpadła do kancelarii w mojej Szkole przerażona, zdyszana uczenniczka. Była na praktyce pielęgniarstwa domowego. Jej obecność o tej porze w szkole po prostu zdumiała mnie.

– Ja nie wiem co mam robić, pani Grasicka ciągle śpi i śpi. Nic się nie rusza. Ja się boję. A nasza pani instruktorka gdzieś lata po innych chorych. I co ja zrobię? [...]
Co prawda, to ja się znowu tak bardzo nie bałam; na pewno p. Grasicka po prostu zaśpiła się według swego zwyczaju nadmiarem leków. Ale jak nie współczuć przerażeniu tego dziecka, dla którego opieka nad chorym w domu, bez stałego oparcia o lekarzy i pielęgniarki jest czymś niekiedy nad siły?

Jedziemy więc razem na Kazimierz [...]. Wieczorem trudno bez strachu byłoby się w nią zapuścić może nawet i mnie, mimo moich siwiejących włosów i tylu lat włóczęg po takich właśnie zakamarkach. Dostać łomem można i w siwą głowę.

⁹⁴ Ibidem, s.63-64.

No ale jest dzień. [...] Wejście do izby wprost ze schodów. Piec obstawiony wiadrami; na ławie znany mi dobrze granatowy dzbanek do moczenia kikuta pani Grasickej. Przed kilku laty po pijanemu wpadła pod pociąg i nie ma stopy i lewej ręki. Między oknami radio dziś milczące. Trzy wyrka – jedno naszej chorej, drugie sublokatorce, coraz to innej i trzecie „na którym nikt nie sypia, takie zapasowe” jak z naciskiem niejednokrotnie zapewnia Grasiccka. Na podłodze niedawno szorowanej, porozrzucane wielkie arkusze papieru – trzeba przyznać, że mieszkanie jest zazwyczaj czyste, bo stara pijaczka nie byle jak komenderuje z łóżka swymi zmiennymi lokatorami. Naprawdę mam do tych kątów rodzaj przywiązania. Znam je zresztą już od tylu lat. Od drzwi spostrzegam, że łóżko chorej jest puste. Ona sama – blada, rozdzielona, zwisa z tapczanu naprzeciw – tu zawędrowała idąc widać nieprzytomnie. Zimna, sztywna, otwiera nieprzytomne oczy i gada coś, że umiera. Wiem, że nie umiera. Zbliżając się do niej – włączę w coś... Aj, te wszystkie papiery są gęsto zanieczyszczone – teraz tłumaczy się tą wędrowną nieprzytomnej. Myjemy, zmieniamy bieliznę, taszczymy, okrywamy. Przelewa się nam przez ręce. Tętno marne, ale chora nie chce pić cardiamidu. – To ja jestem, to pani Chrzanowska. A ze mną nie ma żartów. Musi pani wypić. Pije i pyta: gdzie jest pani Chrzanowska? – Tu jestem przecież – lubię ją bardzo, dlatego mówię łagodnie, serdecznie, nie tylko dlatego, że to chora. Łypnęła okiem, zawsze chytrym, choć dziś przymglonym. – To nie pani Chrzanowska – i zasnęła.

Małe zapuchłe oczka, niskie czoło, tępy nos, ziemista cera, gęsta rozczochrana czupryna. Moja mała bandażuje zawsze zziębnięte kikuty, a ja ostrożnie zwijam i zbieram te papiery... Co za takt – myślę sobie – tej kobiety (chciałam pisać baby, ale nie pozwalałam tak mówić o chorych moim uczennicom), co za takt, że wycelowała za każdym razem właśnie na te arkusze i teraz nie trzeba czyścić podłogi⁽⁹⁵⁾.

Tak wyglądały realia opieki domowej, realia szkolenia w pielęgniarstwie otwartym. Taka była rzeczywistość, z którą zmierzyć się musiały uczennice w praktyce domowej, bo taka niestety była rzeczywistość życia ich pacjentów. Pełna niecodziennej wyrozumiałości Hanna Chrzanowska rozumiała te realia zarówno pacjentów jak i uczennic nad wyraz doskonale.

Nad łóżkiem chorej sześć obrazków – pisze dalej o tej samej pacjentce. Matka Boska Nieustającej Pomocy, cztery Matki Boskie Częstochowskie i straszliwie wylalkowana Matka Boska Karmiąca Solaria – taka przecież ładna w swoim geście i zieleni płaszczu, w Wielkiej Galerii Louvre'u w dalekim Paryżu. Matka Boska, tu właśnie, w tej speluncie. Jakich modlitw wysłuchuje Advocata nostra, co z nich może przekazać

⁹⁵ Ibidem, s.73-75.

Synowi? Jakie są modlitwy starej pijaczki? Co się w niej dzieje? Tylko pijatyki, po których skrzętnie chowa się flaszki, żeby panie pielęgniarki nie widziały? Czy tylko pijatyki? Kim jest ta Grasicka? Poza tym, że jest naszą chorą, przedmiotem naszych starań, naszej troski – od tylu lat? Nie wiem, czy ją skrzywdzi podejrzenie, że się utrzymuje po prostu z wynajmowania kątów na rozpustę? Jest kaleką, a ta druga cała ręka wykazuje reumatyzm. Wszystko jedno.

A to jest przecież moja siostra. Dlaczego? Bo Bóg dał do rozwiązania równania pozornie tylko skomplikowane, pozornie tylko zjeżone niewiadomymi. Pod ikсы tego równania trzeba tylko podstawić słowa Boga samego: „byłem chory i nawiedziliście mnie”, i „ktokolwiek poda szklanę wody w imię moje”. Co prostszego? A zarazem o co łatwiej, jak o stawanie między głosem Boga a własnym uchem całego aparatu megafonów, które sprawiają, że głos ten dochodzi do nas przełamany, zmieniony, niezależnie od tego czy raczymy, czy nie raczymy pocisnąć odpowiedni guziczek? Może też słuchamy jednym uchem, robiąc tysiąc innych rzeczy? Czytając głupie książki, albo pisząc listy? Dźwięki brzęczą jak daleki wtór i w końcu ktoś wpada w depresję: krzyczy – a może my same krzyczymy: po co ta muzyka, przeszkadza nam – i czym prędzej zamykamy aparat.

Tyle nas jest, starych i młodych, nie widzących, nie czujących. Dlatego tyle z nas załamuje się pod ciężarem chorych i klnie w zaduchu sal i z furią zdziera drogie podeszwy w biegu na ulicach na te głupie zastrzyki. Dlatego skarżymy się „już dłużej nie mogę” i „żadnej za to wdzięczności”, „a cóż to za psi zawód”!

Albo gorzej: wcale nie dźwigamy, wcale nie biegamy, tylko wyszukujemy jak najbliższe prace, albo tak zwane prace „mądre”, albo przy lekarzu – a jak się to skończy – kurzymy papierosy, albo robimy swetry w dyżurce. Bo na sali niby spokój. A chorzy daremno czekają na nas.

I niewiele jest takich, co przejrzały i wiedzą – co to jest właściwie ten nasz zawód.

Spytacie: jaką mam legitymację, żeby pisać? Z jakiego tytułu? I jakim prawem?

Legitymacja: pielęgniarska, jak każdej z was. Tytuł taki: był czas, że – chociaż zawsze naprawdę lubiłam ten zawód, to właściwie nie rozumiałam go nic, nie tylko mniej niż każda z was, ale nic. Jakim prawem? Poczciwy papier na szczęście o prawo nie pyta⁽⁹⁶⁾.

Życie u boku takiego wzoru pielęgniarki, jakim była Hanna Chrzanowska było niewątpliwie jakimś rachunkiem sumienia, rekolekcjami na co dzień. Jej podejście do pacjentów, do ludzi, do każdego było wzorcowe, jej nauka zakorzeniona w głębokiej wierze – prosta i autentyczna, pozbawiona jakiegoś nadzwyczajnego mesjanizmu. Jako chrześcijanka, jak zasadnicza część naszego społeczeństwa, praktycznie i najzupełniej

⁹⁶ Ibidem, s.75-77.

w świecie stawiała w centrum swego życia słowa Chrystusowych błogosławieństw z Kazania na Górze, o których my tak często zapominamy.

Opieka nad chorymi sprawowana była tylko i wyłącznie przez szkołę, co stanowiło poważny nie rozwiązany dotąd problem. Kierowały nią instruktorki, a organem wykonawczym były uczennice, którym także należały się przecież dni wolne, przerwy zimowe i wakacyjne. Hanna Chrzanowska bardzo ubolewała, że pielęgniarstwo domowe nie weszło w zakres organizacji Służby Zdrowia i że zawsze była to tylko jak to nazwała „ impreza szkolna ”:

Przypuszczam na pewno – nie bez słuszności, – pisze Hanna – że gdyby Służba Zdrowia zorganizowała placówki pielęgniarstwa domowego, szereg absolwentek ochotnie by się do nich zgłosiło. Niestety, była to ciągle tylko impreza szkolna, która musiała się stopniowo kurczyć wobec zmian programu. Z trzyletniej szkoły pielęgniarско-położniczej, przekształcono ją na dwuletnią – pielęgniarską. Stąd konieczność skrócenia praktyki i na domowym i zmniejszenie liczby uczennic z 6-7 na 2-3.

Co począć z chorymi? Już nie myślałam o nowych zgłoszeniach. Ale znając tyle ognisk cierpienia, konfliktów rodzinnych, brudów fizycznych i moralnych – wśród których wedle sił łagodzące miotałyśmy się tyle lat – jak było nie myśleć o tych w ogóle pozbawionych opieki?⁽⁹⁷⁾

Wreszcie zrodziła się myśl, która dawała możliwość zapewnienia chorym opieki. Pomysł był zwłaszcza jak na tamte czasy oryginalny, ale budził wiele realistycznych nadziei. Oto jak bohaterka wspomina ten okres w swoim pamiętniku:

Było to jakoś – opisuje – w roku 1953 lub 1954. Po raz pierwszy wtedy przyszło mi do głowy, aby sięgnąć do pomocy zakonnicy.

Udałyśmy się z Wiesią⁽⁹⁸⁾ do biskupa Jopa. Przyjął nas bardzo serdecznie, okazał zrozumienie. Po jakimś czasie z jego polecenia miałam rozmowę z siostrą Urszulanką, której to zlecił. Ta była już po rozmowach z poszczególnymi Zgromadzeniami, o których zresztą wówczas nie miałam wiele pojęcia. Chodziło mi o to, aby poszczególne zgromadzenia wzięły po jednym chorym. Nic. Nic z tego nie wynikło. Nie bardzo wiem dlaczego. Gdybym osobiście zapukała do zgromadzeń, w niejednym wypadku na pewno uzyskałabym zgodę. Ale wówczas poza Siostrami Miłosierdzia i Urszulankami nie rozróżniałam habitów. Droga urzędowa zawiodła. No i trzeba było zredukować pielęgnację. [...] Tam, gdzie to było możliwe, chorych codziennych wzięłyśmy co drugi dzień. Nadrabiał braki zapał i osobisty wkład pracy instruktorek, które wówczas jeszcze czuły się pielęgniarzkami. Zmienił się na gorsze typ uczennicy, choć ciągle były między nimi

⁹⁷ Ibidem, s.63.

⁹⁸ Wiesława Francik.

wspaniałe wyjątki. Ale już się zaczęło trochę szemrania, krytyka. Zaczął zanikać duch służenia, przez pewien czas przyjmowano bardzo młode, z niskim cenżusem, mniej niż dawniej przesiewano. Potem – maturzystki, często zawiedzione, że się nie dostały na wyższe studia⁽⁹⁹⁾.

Ten bardzo dobry pomysł, okazał się tym razem niestety niezrealizowany. Braki kadrowe zaczęły dyktować warunki pracy. Hanna, pomimo przeciwności losu nie poddawała się. Miała świadomość, że podnoszenie kwalifikacji instruktorek i uczennic zaowocuje w opiece nad chorymi, dlatego podejmowała się różnych funkcji. Kierowana przez Ministerstwo Zdrowia do różnych miast Polski, wykładała często na kursach organizowanych dla doksztalcania pielęgniarek. W Szkole Instruktoerek w Warszawie prowadziła wykłady z metodyki nauczania w otwartej opiece zdrowotnej. Począwszy od roku 1957, w którym to powstało Polskie Towarzystwo Pielęgniarskie, Hanna przez pewien czas pracowała w jego Zarządzie Głównym, a następnie aż do dnia swojej śmierci w Komisji Historycznej PTP. Ponadto przez wiele lat powoływana przez Ministerstwo Zdrowia pełniła okresowo funkcję zastępcy rzecznika dobra służby zdrowia przy Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej w Krakowie. Niestety jej zadaniem było rozpatrywanie różnych przestępstw zawodowych popełnianych w służbie zdrowia, co bardzo ją wyczerpywało. Często wracała z tych posiedzeń zmęczona i przygnębiona z powodu poważnych wykroczeń pielęgniarek i lekarzy, które musiała rozpatrywać i sądzić. Na co dzień pełna wyrozumiałości i współczucia wobec przypadkowych pomyłek swoich uczennic, zgłaszanych jednak bezzwłocznie i ze skruchą, tu – jako zastępca rzecznika – musiała surowo sankcjonować nieuczciwość, jawne niedbalstwo i lekceważenie obowiązków zawodowych⁽¹⁰⁰⁾.

W dorobku pedagogicznej pracy Hanny Chrzanowskiej znalazł się także podręcznik pt. *Pielęgniarstwo w otwartej opiece zdrowotnej*, które doczekało się łącznie czterech wydań w latach: 1960, 1964, 1965. Ostatnie zmienione i pisane razem z koleżanką Kazimierą Skobyłko, ukazało się już po jej śmierci⁽⁹²⁾.

W 1957 r. Hanna Chrzanowska otrzymała swoje pierwsze wyróżnienie. Została odznaczona *Za wzorową pracę w Służbie Zdrowia*⁽⁹²⁾. W niespełna dziesięć lat później, w 1965 r., z inicjatywy Ks. Abp. Karola Wojtyły otrzymała od Ojca św. Pawła VI, za zasługi dla Kościoła i Papieża, order *Pro Ecclesia et Pontifice*⁽¹⁰¹⁾. W 1971 r. przyznano jej także *Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski*⁽¹⁰²⁾.

⁹⁹ H. Chrzanowska, *Pamiętnik*, s.64-65.

¹⁰⁰ A. Rumun, *op.cit.*, s. 363.

¹⁰¹ A. Rumun, *Hanna Chrzanowska w Duszpasterstwie Chorych Archidiecezji Krakowskiej*, w: *Promieniowanie postługi* Oprac. K. Kubik, Kraków 1999, s.36.

¹⁰² M. Czech, *op.cit.*, s.20.

Jednak nie odznaki i medale były bliskie jej pielęgniarskiemu sercu lecz chorzy, cierpiący, osamotnieni w swej chorobie, bez pomocy z nikąd. Hanna chciała za wszelką cenę zapewnić im opiekę. Wiedziała, że od osobistego morale pielęgniarek zależy jakość opieki, którą pacjenci są otaczani tak w szpitalach jak i w domach. Dlatego ta, która niegdyś, w latach swojej buntowniczej młodości sama była zagorzałą przeciwniczką rekolekcji szkolnych, odważnie w czasach ateistycznych rządów organizowała począwszy od 1955 r. okresowe konferencje i coroczne rekolekcje dla pielęgniarek. Świetnie przygotowane tematycznie, prowadzone przez kapłana, konferencje cieszyły się dużą frekwencją i zainteresowaniem, choć zawiadomienia o miejscu i czasie ich odbycia pielęgniarki rozprawdzały między sobą tzw. *pocztą pantoflową* ze względu na agresywną w stosunku do Kościoła politykę ówczesnej PRL. [...] *pielęgniarstwo jako powołanie; wartość pracy; cierpienie; ubóstwo; śmierć; sakrament chrztu; sakrament chorych; afirmacja życia; „zły człowiek”; indywidualny stosunek do chorych; prawda w pracy pielęgniarki; człowiek „niepotrzebny”; rodzina chorego; wiara w życiu pielęgniarki; modlitwa pielęgniarki; Matka Boża – pielęgniarka; pielęgniarka – apostołka; „światopogląd naukowy”; świętość macierzyństwa; Ewangelie o chorych; szukanie Chrystusa [...] – to tylko niektóre zagadnienia rekolekcyjne, wspomniane w biografii Hanny Chrzanowskiej przez Alinę Rumun⁽¹⁰³⁾.*

W niezwykłej rzetelności i obowiązkowości, które cechowały ją w stosunku do wykonywania zawodu pielęgniarskiego, napisała wnikliwy a nawet restrykcyjny *Rachunek sumienia pielęgniarki*, który był potem rozdawany uczestnikom rekolekcji dla pielęgniarek⁽⁹³⁾.

Należy podkreślić, że bohaterka nie poprzestała na rekolekcjach. Dbając o kult Matki Bożej organizowała w latach 50. wycieczki do Częstochowy na zjazdy Służby Zdrowia na Jasnej Górze, mimo iż w tamtych czasach było to zabronione przez władze polskie⁽¹⁰⁴⁾. *W r. 1957 – wspomina przyjaciółka Hanny Chrzanowskiej – z jej inicjatywy odbyliśmy do sanktuarium maryjnego w Kalwarii Zebrzydowskiej pieszą pielgrzymkę, podczas to której surowo przestrzegane było skupienie i milczenie, przeplatane wspólną modlitwą⁽¹⁰⁵⁾.*

Ale przeciwności losu nie brakowało. Z początkiem nowego roku szkolnego 1957/58 Hanna została przeniesiona do Kobierzyna, by tam objąć stanowisko dyrektorki Szkoły Pielęgniarstwa Psychiatrycznego. Stanowisko instruktorki pielęgniarstwa

¹⁰³ A. Rumun, *Hanna Chrzanowska*, w: *Chrześcijanie* pod red. B. Bejze, Akademia Teologii Katolickiej, Warszawa 1978, t.3, s.378.

¹⁰⁴ Irena Iżycka, Wypowiedź wygłoszona na Sympozjum w 25-lecie Śmierci Hanny Chrzanowskiej, w: *Promieniowanie postugi* Oprac. K. Kubik, Kraków 1999, s.86.

¹⁰⁵ A. Rumun, *op.cit.*, s.384.

domowego objęła po niej pani Zofia Szlendak, a nad całością szkolenia w pielęgniarstwie otwartym oraz nad nadzorem praktyk czuwała Kazimiera Skobyłko. Zarówno pani Zofia Szlendak jak i Kazimiera Skobyłko były wychowankami Hanny Chrzanowskiej, a potem współpracownicami więc bohaterka mogła odejść do Kobierzyna jak sama to określiła z *czystym sumieniem*⁽¹⁰⁶⁾.

Pani Zofia Szlendak wspomina, że *cioteczka*, jak pieśczośliwie nazywali ją wszyscy, którym Hanna była bliska, pomimo swojego wyjazdu do Kobierzyna, nigdy nie straciła kontaktu z działalnością pielęgniarstwa domowego w Krakowie. Zamiast regularnych spotkań co sobotę, które dotąd prowadziła na placu św. Ducha w Krakowie, gdzie zdawało się raporty z całego tygodnia, *cioteczka* była w stałym kontakcie telefonicznym z panią Zofią Szlendak. Ten telefoniczny kontakt zapewniał jej orientację, w ukochanym przez nią, nawet pomimo odległości, pielęgniarstwie domowym.

Rozłąka nie trwała jednak długo. Po rocznej pracy w Kobierzynie w 1958 r. Hanna wróciła do Krakowa, ponieważ Ministerstwo Zdrowia rozwiązało Szkołę Pielęgniarstwa Psychiatrycznego. Czym kierowało się Ministerstwo w swojej decyzji? Na ten temat można by długo spekulować, dochodząc do prawdy ze względu na skorumpowaną ówczesną politykę komunistycznych władz Polski. Wiele faktów, o których w tamtych czasach po prostu się nie mówiło, przemawia za tym, że dyrektorka szkoły, która otwarcie wskazywała swoim wychowankom prawdy ewangeliczne pielęgniarstwa zawodu, była dla ówczesnych władz co najmniej nieporęczna. Niewątpliwie dla Hanny był to trudny okres, który boleśnie przeżyła, gdyż przynajmniej częściowo stała się powodem likwidacji kobierzyńskiej szkoły. Jednym z powodów rozwiązania szkoły było celowe odsunięcie Hanny od działalności pedagogicznej. Z momentem utraty pracy w Kobierzynie dla Hanny Chrzanowskiej rozpoczął się okres emerytalny^(107 108).

Czy dzieło pielęgniarstwa domowego upadło? Myślę, że to zbyt odważne i pochopne określenie. Przecież i dziś edukacja przyszłych pielęgniarek obejmuje także zajęcia z pacjentami domowymi, choć bez wątpienia niestety, jest to znikoma ilość godzin. Pielęgniarstwo domowe nie spełniło oczekiwań Hanny Chrzanowskiej, nie weszło w zakres Służby Zdrowia, a przecież chodziło przede wszystkim o opiekę stałą, którą można by było zapewnić w każdym czasie. Pielęgniarstwo domowe było raczej wprowadzeniem

¹⁰⁶ H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.66.

¹⁰⁷ K. Kubik, Wypowiedź wygłoszona na Sympozjum w 25-lecie Śmierci Hanny Chrzanowskiej, w: *Promieniowanie postugi* Oprac. K. Kubik, Kraków 1999, s.90.

¹⁰⁸ A. Ginalska, Wypowiedź wygłoszona na Sympozjum w 25-lecie Śmierci Hanny Chrzanowskiej, w: *Promieniowanie postugi* Oprac. K. Kubik, Kraków 1999, s.76-77.

do rozwinięcia wielkiego dzieła pielęgniarstwa parafialnego. W jednym z wielu fragmentów pamiętnika, bohaterka chyba najpełniej oddaje swój cel zawodowy, jakąś pewnego rodzaju pasję, pełne oddanie w służbie, które cechowało jej codzienne pochylanie się nad chorym:

To wszystko – ocenia – to tylko w skrócie: organizacja, rozwój, upadek. Nie upadek szkolenia – każda uczennica nadal przechodziła praktykę w pracy pielęgniarstwie po domach. Ale – jak się rzekło – mnie zawsze bardziej chodziło o chorych, niż o szkolenie... Dlatego ten właśnie rodzaj pracy był mi i jest tak bliski.

Są takie wśród nas osoby, które lubują się samą pracą, tą przede wszystkim, która wymaga zręczności, szybkiej orientacji, obsługi zawitych aparatów, znajomości instrumentów. Do takiej nie miałam pociągu.

Pielęgniarstwo domowe stawia nas najbliżej chorego takiego, jakim jest i ta prosta, a nieraz tak bardzo trudna praca przy nim, to właśnie ta, która mi daje coś jakby szczęście⁽⁹⁵⁾.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

PIELĘGNIARSTWO PARAFIALNE

*Uczę się ciebie człowieku
Powoli się uczyć, powoli
Od tego uczenia trudnego
Raduje się serce i boli.
O świcie nadzieją zakwita,
Pod wieczór niczemu nie wierzy.
Czy wątpi, czy ufa – jednak –
Do ciebie człowieku należy.
Uczę się ciebie i uczyć
I wciąż jednak nie umiem –
A twe ranne wesele,
Twą troskę wieczorną rozumiem.
(Jerzy Libert, *Uczę się ciebie człowieku*)*

Jak zrodziła się idea pielęgniarstwa parafialnego? Hanna Chrzanowska próbowała wcześniej włączyć do pielęgniarstwa domowego siostry zakonne, ale próby okazały się bezowocne. Odpowiedź na powyższe pytanie odnajdujemy w pamiętniku bohaterki, gdzie podkreśla jak ogromną rolę w tym dziele tworzenia pielęgniarstwa parafialnego odegrała po prostu Łaska Boża:

Muszę dodać, – wspomina Hanna – że choć w tej mojej pradowanej szkole uczono nas zaparcia się siebie, ofiarności bez zastrzeżeń, choć na naszej szkolnej broszce wśród innych napisów widniał napis: „służba” – jakże daleko, będąc tak blisko człowieka, któremu służyłam, byłam od ducha służby ewangelicznej. Ani mi nie mignęła myśl o służbie Bogu, dalekie mi było nieznane pojęcie o życiu na chwałę Bożą, dalekie przez długie lata.

Minęło wiele lat. Zastępując którąś instruktorkę, czy może sprawdzając pracę uczennic szłam, chyba jakoś o zmroku ulicą Krowoderską [...] – i wtedy: „my pomagamy nieść krzyż Chrystusowi”. Nie myślałam: „Chrystusowi w chorych”. Chrystusowi wprost. [...]

Są cierpienia tak ostre, – wyznaje w dalszej części pamiętnika – że na szczęście dla człowieka już się całej ich ostrości nie odczuwa, jak się nie słyszy ultradźwięków. Widzi je, słyszy i ocenia jeden tylko Bóg na szlakach swej własnej, dla nas niedostępnej, absolutnej sprawiedliwości⁽¹⁰⁹⁾. [...]

¹⁰⁹ H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.66-67.

Oto myśl, co zaświtała mi w głowie: oprzeć opieką nad chorymi o Kościół. Odtąd zaczęłam gwałtownie w sobie i na zewnątrz domagać się i walczyć o urzeczywistnienie tej myśli⁽¹¹⁰⁾.

Nie można omawiać pielęgniarstwa parafialnego bez oparcia się o Ewangelię, którą Hanna perfekcyjnie odnajdywała na swej pielęgniarstwiej drodze. To właśnie dzięki prawdzie Ewangelii, na które bohaterka wewnętrznie się otworzyła, zrodziła się myśl pielęgniarstwa parafialnego. Ideą była pomoc niesiona każdemu choremu w jego domowym środowisku, bez względu na jego wyznanie, ale korzenie tego bezinteresownego służenia chorym osadzone były w Kościele – Mistycznym Ciele Chrystusa.

Nie wylewna, skryta w swoich religijnych przekonaniach, chowała swoje ziarno prawdy ewangelicznej na dnie serca, gdzie kształtowane przez duchowość benedyktyńską i ciągle pogłębianą wiarę wzrastało i wydawało owoce. Takim właśnie owocem wewnętrznej przemiany bohaterki było pielęgniarstwo parafialne. Nie było w niej miejsca nawet na szczytę dewocji. Połączyła to, w co całym sercem wierzyła, z bogatym doświadczeniem zawodowym w pielęgniarstwie otwartym.

Rok 1958 i 1959 – jak sama bohaterka podkreśla w swoim pamiętniku – to był dla mnie okres przelomu. Wiem, że ani za mego życia, ani po mojej śmierci nikt z tych, co go znają nic nie wyjawia⁽¹¹¹⁾.

Znałam na wylot organizację pracy w Służbie Zdrowia – pisze o trudach realizacji swojego pomysłu. Wiedziałam, że nic w niej nie wskóram. Owszem – placówka szkolna pielęgniarstwa domowego oceniana była dobrze – ale nie było mowy o potraktowaniu jej jako wzór do naśladowania przez pielęgniarki Służby Zdrowia. Pierwsze punkty PCK opieki nad chorymi w domu, zaczęły działać w Krakowie kilka lat później (ok. 1964 r.). Nie miałam naturalnie pojęcia o jakiegokolwiek organizacji charytatywnej w Kurii. Znałam pracę w kilku parafiach – w jednej z nich nawet krótko brałam udział i odnosiłam się do niej bardzo krytycznie. W którejś parafii zrobiłam nawet awanturę, stając w obronie nieszczęsnej, głodnej chorej, którą chciano opuścić, bo nie godziła się na przeniesienie do Zakładu. Po rozmowie z biskupem Jopem nieopatrznie nie poszłam już do ks. Arcybiskupa Baziaka. Moja niewiedza obejmowała i fakt, że stał on właśnie wówczas na czele akcji Miłosierdzia Episkopatu. Nie myślałam wtedy wcale o siostrach zakonnych. Próba tak bardzo nieudana z mojej strony – zraziła mnie. Nie myślałam o pielęgniarkach, moich dawnych uczennicach. Nigdy żadnej nie namawiałam. Wiedziałam, że nie wolno ich odciągać z zakładów otwartych i zamkniętych Społecznej Służby Zdrowia. Przecież nie

¹¹⁰ Ibidem, s.68.

¹¹¹ Ibidem, s.67.

chodziło mi o jakąś pracę na marginesie stałych zajęć, tylko o potraktowanie pracy po domach jako zajęcia stałego, płatnego. Liczyłam na zdobycie chętnych kobiet, nie pielęgniarek, któreby można przyuczyć do pełnienia najprostszych czynności, tak jak się przyucza salowe. Byle chorzy nie cierpieli więcej niż muszą, byle nie leżeli w brudzie, zaduchu, odleżynach, w samotności, zaniedbania ciała i duszy. Opisałam szereg przeraźliwych wypadków i opisy rozdałam tu i ówdzie kilku księżom.

Ale przede wszystkim zdobyć jakąś parafię, zdobyć rozumiejącego proboszcza. Zosia Szlendak, która była wtedy instruktorką na okrojonej naszej placówce szkoleniowej i całkowicie rozumiała konieczność przyjscia chorym z pomocą, rozstrzygnęła sprawę: „pójdziemy do Wujka”. To znaczy – do ks. Karola Wojtyły, którego znałam tylko z opowiadania.

Był czerwiec 1957 roku. Poszliśmy.

Spóźnił się. Czekałyśmy w jego dość dużym i dość zagraconym pokoju, w którymś z księżowskich domów na Kanoniczej. Rozmowa była krótka. We mnie się paliło: musisz dopomóc! Słuchał z tym swoim dowcipnym uśmiechem, jakby lekko drwiącym. Nie wiedziałam jeszcze, że mam przed sobą najwspanialszego słuchacza wszelkich spraw. Polecił nam przyjść za kilka dni o godzinie 12-tej do kościoła Mariackiego – tam będzie czekał i zaprowadzi nas do ks. Machaya. Spotkałyśmy się z ks. Wojtyłą przed ołtarzem Chrystusa Ukrzyżowanego i we troje poszliśmy do prałatówki. Ks. Machaya znałam trochę z kościoła. Byłam u niego podczas okupacji z czyjąś prośbą. Wypadek był nie tylko tragiczny, ale i trudny. Uderzyła mnie wtedy prostota i mądrość księdza, który na spełnienie tej prośby zgodził się natychmiast. Ale tego czerwcowego popołudnia o tym nie pamiętałam... On tym bardziej mnie nie poznał. (Ks. Machay wspominał po latach tę chwilę: „pamiętam – siedziała pani na tej kanapie z Księdzem Arcybiskupem i zorientowałem się zaraz, że to coś poważnego”).

Nie mogę określić inaczej mojego uczucia jak: wściekła pasja. Niechby odmówił! Niechby nie pojął! Przygotowałam w sobie na ten wypadek mnóstwo strzał – zamieniłam się cała w kołczan.

Przedstawiłam mu krótko i węzłowato sytuację chorych. Brak istnienia pielęgniarstwa domowego w ramach Służby Zdrowia. Okaleczoną placówkę szkoleniową. Konieczność zaangażowania przez proboszcza stałej, płatnej opiekunki chorych. Wielki, siwy, patrzył na mnie spokojnie oczyma, które potem były tak bardzo biedne a wtedy jeszcze zdrowe.

- Tak! Zagadnienie chorych jest mu znane jeszcze z parafii Najświętszego Salwatora. Rozumie. Potem rzeczowo: – 1000 zł miesięcznie wystarczy?

- Wystarczy, potaknęłam olśniona, przecież to była wówczas płaca wyższa niż początkującej pielęgniarki. (W rękopisie 9.8.67: przerwałam! Anioł Pański w południe. Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie! Ks. Infułat dr Ferdynand Machay zmarł 31.VII.1967 r.). I wówczas powiedział te znamienne słowa, które od razu dały nam wolną rękę i okazały, jak dalece ks. Machay rozumie o co nam chodzi.

- Tylko pamiętajcie, ja z tym nie chcę mieć kłopotów.

Wy jesteście fachowcy, a nie ja.

Odeszłam – mimo triumfu – jak zmyta. Głupie strzały, z której ani jednej nie musiałam wypuścić...⁽¹¹²⁾

Przez najbliższe dziesięciolecie, Hanna miała mocnego protektora w osobie Ks. Machaya. Ks. Ferdynand był szczerze zainteresowany i przejęty opieką nad chorymi, którą nazywał *koroną swojego życia*. Udzielał wsparcia na różne sposoby, zarówno moralnie i duchowo jak i finansowo. Daleki był od podziałów administracyjnych parafii, co było bardzo ważne szczególnie w początkowym okresie rozwoju pielęgniarstwa parafialnego, gdy chorych było niewielu, ale za to z różnych dzielnic Krakowa. W jednej z rozmów powiedział na taki temat powiedział kiedyś: *Granice parafii? Przecież miłość Chrystusa nie zna granic*⁽¹¹³⁾. Wielkoduszność księdza była wielka, ale z biegiem czasu chodziło o osiągnięcie zamierzonego celu, którym było związanie opieki nad chorymi z poszczególnymi parafiami i przede wszystkim przekonanie proboszczów do tego pomysłu.

Oddanie sprawie, wewnętrzna siła na drodze do celu i szczerza wiara *Cioteczki* odniosły niemałe zwycięstwo. Problemów do pokonania został jeszcze ogrom, ale był już mocny fundament – finanse na zatrudnienie pełnoetatowej opiekunki dla chorych.

Mamy podstawę, mocną, szeroką, w osobie naszego protektora – kontynuuje w pamiętniku. Ale Jak tu zacząć. Kto ma zacząć? I oto wkrótce ks. Machay skierował do mnie, do domu Siostrę Darię ze zgromadzenia Duszy Chrystusowej. Zaczęłam ją objaśniać jak analfabetkę, a ona tylko się śmiała. Widać bawiła się tą sytuacją, bo dopiero gdy się wygadałam, przedstawiła mi się jako... dyplomowana pielęgniarka. Znów piorun radości! Ale pracowałam przecież jako dyrektorka w kobierzyńskiej szkole. Siostra Daria zaczęła sama, tylko z pomocą Zosi Szlendak, która była instruktorką pielęgniarstwa domowego w szkole krakowskiej. Ale chorzy byli. Od czerwca do końca 1957 roku było pielęgowanych 25 chorych z 8 parafii Krakowa. Zaczęłyśmy z 10-ma palcami, bez inwentarza, bez żadnej "bazy materialnej". Pierwsze spotkania Zosi z Siostrą Darią odbywały się w sklepiu Sióstr na Małym Rynku!

¹¹² Ibidem, s.68-70.

¹¹³ A. Rumun, *op.cit.* s.370.

Niestety! Siostrę Darię szybko wycofały jej władze i skierowały poza Kraków. Na jej miejsce przystały jednak siostrę Martę, która pracowała z nami aż do śmierci, w początkach 1965 r. Niebawem przystała do nas Maria Skobylko, która z pielęgniarstwem nie miała do tej pory nic wspólnego, ale która szybko się nauczyła najprostszych funkcji, przy pomocy zarówno Zosi Szlendak jak i własnej Siostry – pielęgniarce.

Zrazu myślałam o oparciu o osoby świeckie. O pielęgniarce dyplomowanych nie mogłam i marzyć i żadnej spośród gromady moich dawnych i świeżych uczennic w ogóle tego nie proponowałam. Nie myślałam wówczas jeszcze o zwerbowaniu większej ilości sióstr zakonnych. Wprawdzie przystanie mi do pracy s. Darii i s. Marty mogło mi nasunąć tę myśl, ale to była sprawa ks. Machaya, mającego z ich zgromadzeniem szczególne powiązania. Zdecydowana odmowa SS. Szarytek nastawiła mnie tym bardziej w kierunku pracownic świeckich.

W styczniu 1960 r. ciężko chorych pacjentów było 35, a nas tylko 4. Alina (która pracowała u nas od lutego 1958 r.) powzięła wówczas myśl szaloną: pracy na dwa fronty, w szpitalu i u nas. Zrobiła to z najlepszą wolą, pewna, że da radę. Nie chciałam jej tego bronić, pamiętam, że powiedziała tylko – to jeszcze za wcześnie, przecież to dopiero początki, no i że ja nie mam sił. Ale chciała spróbować. Wówczas zaczęło się szaleństwo jej i moje. (Pracowała w szpitalu przez dwa miesiące). Nadciśnienie dawało mi się we znaki, a musiałam pracować przy chorych całe dni, do późnego wieczora. Nie wiem skąd brałam siły. Bóg mi je dał, tak że przeżyłam chyba najcięższy okres w całym naszym zwariowanym interesie.

Miałyśmy pod opieką – do spółki z Aliną – tę cudną pacjentkę... Sikorę. Gnało się do niej dwa razy dziennie w świątki i piątki, bo trzeba ją było cewnikować. Miałam chorych w zupełnie różnych dzielnicach, ciężkich, trudnych. Pielęgnowałam około 7-miu chorych dziennie. Do tego ciągle starania o nowe siły do pracy – bezowocne.

Wykańczałyśmy się obie. Wtedy, kiedy byłam już u kresu sił, wezwał mnie do siebie ks. Arcybiskup Baziak. Nie tylko zaproponował, ale wprost nakazał mi zaprząć do pracy niedawno przybyłe do Krakowa SS. Józefitki.

Nigdy nie zapomnę pierwszego naszego spotkania w ich małej, przytulnej rozmównicy. To było spotkanie pełne, prawdziwe. Zrozumiłyśmy się od razu. Tego mroźnego wieczora nie wróciłam zaraz do domu. Pognałam na Smoleńsk, do kościoła SS. Felicjanek, w którym jest stale wystawiony Najśw. Sakrament.

Ale już było późno, kościółek już był zamknięty. Oddziela go od ulicy mur. Ukłękłam u zamkniętych drzwi⁽¹¹⁴⁾.

¹¹⁴ H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.71-73.

Hanna bez zbędnej przenośni rozumiała dosłownie słowa Chrystusa: *Nie przyszedłem, aby mi służono, ale abym służył..* Taką wyznawała postawę i takim przykładem skromnie, ale wyraźnie świeciła wśród swoich koleżanek, sióstr zakonnych i uczennic.

Walczyła z kompleksem niższości, – wspomina jej koleżanka – tak częstym u współczesnych pielęgniarek, a który wynika z zupełnego niezrozumienia istoty ich pracy. Śmiała się często, że jeżeli ma jakiś kompleks, to właśnie „wyższości”, z tego że jest pielęgniarzką. W 1961 r. mówiła do sióstr szarytek w Warszawie: „długie lata byłam instruktorką, dyrektorką. Kierowałam rządziłam, egzaminowałam. Co za radość na stare lata dorwać się do chorych: myć, szorować, otrząsać pchły. Prostota, zwyczajność zabiegów – to najważniejsze dla chorego. Wycofać siebie, puścić się na szerokie wody miłości, nie z zaciśniętymi zębami, nie dla umartwienia, nie dla przymusu, nie traktować chorego jako „drabiny do nieba”. Chyba tylko wtedy, kiedy jesteśmy wolne od siebie, naprawdę służymy Chrystusowi w chorych”.

To nie były puste słowa. Pamiętamy, jak – dopóki siły jej dopisywały – biegała do chorych, pielęgnowała ich, załatwiała im dziesiątki przeróżnych spraw, taszczyła pościel, sprzątała istne stajnie Augiasza. Pewnego razu zgłoszono chorą samotną, w ciężkim stanie, do której nie można się było dostać mimo otwartych drzwi. Cały pokój był dosłownie za-barykadowany meblami, pudłami, śmieciami. Hanna pospieszyła z pomocą siostrze zakonnej, która tylko dzięki drobnej i szczupłej budowie zdołała wślizgnąć się przez drzwi i potem po trochu podawać rzeczy do wyrzucenia na zewnątrz. Po paru godzinach takiej pracy i wyniesieniu mnóstwa wiader śmieci, udało się zrobić wąski „przekop” do łóżka chorej.

Kiedy indziej do pokoju chorego trzeba było przejść przez okno od ganku...

Trudności nie tylko jej nie zrażały, ale wręcz fascynowały ją. Ze szczególnie ciężkiej harówki wracała tym bardziej wewnętrznie rozradowana, bolejąc jednocześnie nad ludzkimi biedami. Smutek i radość razem, bo taka jest tajemnica prawdziwego miłosierdzia. „Kto czyni miłosierdzie, niech robi to z weselem...” Umiiała wnieść w tę pracę tyle zapału i pogody, że „zarażała” nawet te siostry, które przyszły bez przekonania, tylko na polecenie przełożonych, a po pewnym czasie odnajdywały przy chorych radość i swoje miejsce. Przez swą wytrwałość, a nawet upór, takt i dyplomację potrafiła zjednać dla swej idei wielu kapłanów, sióstr zakonnych, pielęgniarek, kobiet i mężczyzn, i młodzieży⁽¹¹⁵⁾.

¹¹⁵ A. Rumun, *op.cit.* s.371.

W powyższych wspomnieniach Hanny wynika wyraźnie, że praca, której się podjęła była nie lada wyczynem. Przeciwności losu nie brakowało. Początkowo brak było po prostu wszystkiego. Nie było środków, finansów, wystarczającej liczby rąk do pracy, jak na tak wielu osamotnionych w cieniu własnych, domowych kątów, chorych. Praktyki z pielęgniarstwa domowego wraz z okrojeniem programu szkoły uległy redukcji a pracy przybywało. Warto podkreślić, że gdy w czerwcu 1957 roku, wreszcie znalazł się sposób, finanse, przychylność parafii na organizację opieki dla domowych pacjentów, Hanna w okresie tych trudnych początków musiała opuścić Kraków, wyjeżdżając na jesień do pracy w Kobierzynie. Przez rok tylko „śledziła” rozwój pielęgniarstwa parafialnego, a po powrocie włączyła się czynnie w tę heroiczną i wykańczającą, czasem do reszty sił, pracę. Szukała pracownic do pielęgnowania chorych w domach, szukała doraźnych zastępstw, w sytuacjach choroby. Opracowywała formy, metody, schematy pracy, szukała wolontariuszy do pracy, aby sprostać ciągle rosnącym potrzebom. Hanna Chrzanowska zajmowała się również szkoleniem pracownic bez przygotowania zawodowego do opieki nad chorymi. Prowadziła dla nich ok. 3-miesięczne kursy, liczące sobie ok. 300 godzin wykładów i ćwiczeń, zakończonych kilkudniową praktyką u boku siostry parafialnej. *Program kursu – pisze współpracownica Hanny – obejmował anatomię, pierwszą pomoc, opatrunki, naukę o chorobach, lekach i różne ćwiczenia pielęgniarstwa. W ten sposób przeszkoliliśmy ok. 500 sióstr i nowicjuszek, a także kilku braci zakonnych i kilka osób świeckich na 23 takich kursach [...]. Dobrze sobie potem radzili w pracy, a wiele sióstr wyjeżdżających na misje ze świadectwem takiego kursu, opatrzonym pieczęcią Kurii i podpisem biskupa, a potem kard. Wojtyły (a następnie kard. Macharskiego) – było od razu przyjmowanych do pracy w szpitalach⁽¹¹⁶⁾.*

Przekonywała proboszczów do rozszerzania opieki nad chorymi w domu w swoich parafiach, a siostry zakonne do współpracy. Wprowadziła do wspólnoty Kościoła nowy rodzaj niesionej przez niego pomocy. Odtąd oprócz pomocy duchowej i materialnej chory mógł oczekiwać od Kościoła także pomocy w domu⁽¹⁰⁵⁾. A wszystko po to, by chory w domu nie był sam w swoim ubóstwie ciała, ducha i podstawowych potrzeb, których żadna pomocna dłoń do tej pory nie potrafiła mu zapewnić, bo nikt dotąd bezinteresownie żadnej pomocnej dłoni do niego nie wyciągał.

¹¹⁶ A. Rumun, *Hanna Chrzanowska w Duszpasterstwie Chorych Archidiecezji Krakowskiej*, w: *Promieniowanie posługi* Oprac. K. Kubik, Kraków 1999, s.38.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

CICHE BOHATERSTWO

*Błogosławieni miłosierni,
albowiem oni miłosierdzia dostąpią.
(Mt 5,7)*

Opieka niesiona pacjentom domowym to nie tylko trudna i czasochłonna, pełna wyrzeczeń i ofiarności serca służba chorym. To nie tylko trud, przemęczenie, bieganina po domach. To także całe bogactwo wspomnień, wymagających opieki chorych, a nie rzadko ciche, heroiczne bohaterstwo ich opiekunów. O takich bohaterach codzienności się nie mówi. Nikt nie wie, że żyją u boku, chorego gotowi o każdej porze dnia i nocy nieść pomoc. Z takim heroizmem spotykają się czasem pielęgniarce rodzinne, gdy pukają do drzwi domów swoich często wieloletnich pacjentów. Hanna z takich odwiedzin zachowała i przedstawiła w *Pacjentach domowych* wiele złotych wspomnień, z których niejedno to prawdziwa „dobroć w kolorze płomienia”.

Pamiętam – pisze na kartach pamiętnika – [...] sytuacje „jak z powieści”., Właściwie to o najdziwniejszych sytuacjach powieściowych powinno się mówić „niemal jak w życiu”... W rogu wielkiego pokoju pod czerwoną kołdrą, najczęściej nieobleczoną, leżała przez wiele lat na szerokim, starodawnym łożu 60-letnia kobieta, sparaliżowana, nic nie mówiąca, bez kontaktu z otoczeniem. Może i nie cierpiała.

W przeciwnym rogu stała kanapka przykryta jakimś starym futrem, kocykami i różnymi gazetami, gdyż z chorą mieszkał pewien pan emeryt - i tam właśnie od lat sypiał. Pielęgnował chorą własnymi metodami – podkładał pod nią całe stosy arkuszy papieru, które w razie potrzeby – a te zdarzały się co chwile – zmieniał a brudne moczył i suszył. Nie pomagały prośby aby je palił, ani obietnice dostarczenia mu ile chceć, „Przekrojów” i „Przyjaciółek” – dzienniki rozdzierały się z wilgoci. Ale miał swoje dziwactwo: „wolę to prać”. Trudno. Chora nie miała nigdy najmniejszej odleżyny. Zawdzięczała to zapewne i temu, że była przez nas codzień myta – ale przede wszystkim swojemu pielęgniarzowi. To trwało nie dni, nie miesiące ale lata. Od tej nieszczęsnej postaci o bezbarwnej twarzy i oczach bez wyrazu przeniosłam wzrok na portret młodej, pięknej kobiety, wiszący obok.

*„Tak, to właśnie ona przed czterdziestu laty. Ja się w niej kochałem, ale wyszła za mąż za mojego przyjaciela. On już nie żyje. Więc ja się tu przeniosłem po prostu”⁽¹¹⁷⁾.
[...]*

W innym miejscu wspomina:

Przez dwa zimowe miesiące miałyśmy zaszczyt pielęgnować we dwie na zmianę – panią Józefę. Tak, zaszczyt. Była wdową po ogniomistrzu, którego wielki portret wisiał naprzeciw jej łóżka. Pani Józefa pochodziła ze wsi – stąd jej otwarta prostota, z którą powitała mnie zaraz pierwszego dnia. Oświadczyła, że ma raka. „To może się ciągnąć jeszcze parę miesięcy. Boli jeszcze mało, ale już bardzo trudno wygramolić się z łóżka”. Na onkologii już jej nie chcieli, powiedzieli, że mogą wystać do szpitala gdzieś na prowincję, ale nie chciała... „I Staszek też nie chciał. To mój syn. I pasierbowie nie chcieli. Niech tu umieram”. [...]

Pani Józefa ze spokojem w swoich czarnych oczach mówiła, że: – mam raka i umrę jak Pan Bóg zechce. Wkrótce musiała dodać: – będę cierpieć, póki Pan zechce.

Jeszcze później kiedy cierpiała straszliwie: „jak to jeszcze długo? Niechby mnie już Pan Bóg zabrał”!

Cierpiała nie tylko z powodu choroby, czyniącej postępy w jakichś potwornych susach. Drżała o przyszłość słabowitego syna. [...]

Pozostanie w domu pociągało za sobą niemałe trudności. Mieszkał z nią tylko Staszek, student i jego kolega. Żadnej kobiety. A tu pielęgnacja stawała się coraz bardziej skomplikowana.

Wkrótce biegałyśmy tam już dwa razy dziennie, rano i późnym wieczorem i pozostawałyśmy coraz dłużej. To nie wystarczało. I wówczas wybuchła wokół chorej wprost mobilizacja dobroci. Zapewne, dobroć syna, to rzecz powinna matce. Tu jednak było coś więcej. Bardzo wąty i bardzo niepraktyczny chłopak przeskakiwał samego siebie. Latał na wykłady, kuł, zdawał egzaminy i – zawzięcie pielęgnował matkę. Jeden z jego racjonalizatorskich pomysłów na pewno był świetny, ale w pierwszej chwili ścierpłam z przerażenia, na widok biednej, opadającej głowy, umocowanej do wezgłowia czarnym krawatem.

Do niektórych zabiegów konieczne były przynajmniej dwie osoby, do układania cztery, a najlepiej pięć, żeby oszczędzić chorej dodatkowych cierpień. Rano punktualnie zjawiali się pasierbowie. Jeden pracował po południu, ale drugi musiał się zwalniać i stracony czas odrabiać wieczorami. Godzinami siadywała przy łóżku staruszka, matka dozorczyńni a nade wszystko nieoceniona była dozorczyńni sama, pani Zosia. Rosta, silna,

¹¹⁷ H. Chrzanowska, *op.cit.*, s.77-78.

uśmiechnięta, niezmiernie pojęta, niestychanie szybka – iskra nie kobieta. Co miało tę złą stronę, że kiedyś, biorąc swoje tempo, spadła z oblodzonych schodów i srodze się potłukła, a raz szpetnie się poparzyła wrzątkiem – zarabiała praniem po nocach. Więc po kilka dni jej się nie widywało, ale po przerwie zjawiała się znowu, rześka, mocna, mądra.

„Możesz mnie pani wypukać zawsze, w dzień i w nocy – ja miałabym pani Józi nie pomóc?” A pani Józefa oświadczała rzeczowo: „jakem była zdrowa, to też byłam dla ludzi”. Całe to bractwo było karne, pracowało na komendę. Bez czułości, bez niepotrzebnej gadaniny. Byle ulżyć.

Gotowi by tak harować do wiosny, o której mówiła chora, i do jesieni i dłużej, ale pani Józefa zmarła w zimowe popołudnie. Kiedy leżała już pięknie przyodziana z różańcem w rękach, pani Zosia podbiegła do mnie szybko po swojemu. Powiedziała: „bardzo dobrze mi się z panią pracowało”. Nauczyłyśmy się nie przejmować pochwałami. Ale tę zachowuję w pamięci z wdzięczności dla pani Zosi, jej matki, dla Staszka, jego braci i kolegi i nade wszystko dla samej zmarłej⁽¹¹⁸⁾. [...]

Chorą jest – opisuje w innym miejscu – nie żadna „stara sługa” wobec której ma się szczególne zobowiązania, tylko niedawno przyjęta gospoia. Przez ten krótki okres zdążyła być już dwukrotnie w szpitalu, raz nawet – w psychiatrycznym. Teraz znowu leży w domu, kapryśna, wymagająca. Do szpitala iść nie chce. Obcych jeszcze słucha jako tako, ale swoją „panią” bierze do galopu cały dzień i podrywa ją jeszcze w nocy. No i „pani” galopuje z uśmiechem [...]. Mogłaby być babką swojej pacjentki. Ma dziewięćdziesiąt pięć lat...⁽¹¹⁹⁾ [...]

Młody człowiek całkowicie unieruchomiony – wspomina w Pacjentach domowych. Bóle nieustanne. Rodzice najtroskliwsi, ale i oni i brat – pół dnia poza domem, A chory nie mógł być sam. W swym bezwładzie, w niepojętym dla kogoś zdrowego – usztywnieniu, mimo swej łagodności, słodczy, płynącej z jego charakteru, ale z pewnością wspieranej przez łaskę stanu choroby – bał się, okrutnie bał się samotności. Więc nie był sam. Różni ludzie, starzy i młodzi zorganizowali plan odwiedzin z precyzją przestrzeganą latami. Co prawda chłopak był tak ujmujący przez swój uśmiech, cierpliwość, umiejętność rozmowy, szerokość myśli, że to jemu należy się podziękować. Tak mówią wszyscy do tej pory, chociaż minęło już kilka lat od jego śmierci. [...]

„A iż cię nie opuszczę aż do śmierci” – cytuje fragment przysięgi małżeńskiej w swoich wspomnieniach. Jakże często danym mi było oglądać spełnienie przyrzeczenia sprzed kilkudziesięciu lat! Siła uczciwości wobec raz przyjętego zobowiązania, niczym nie

¹¹⁸ Ibidem, s.79-81.

¹¹⁹ Ibidem, s.82.

zwyciężona miłość starych ludzi – na pewno gdzieś wysoko zadośćczyni za tych wielu młodych, sprzeniewierzających się tej samej przysiędze.

On ledwo widział, ale chodził koło żony umiejętnie, nie tylko czule. Ona była cichutka, czasem – z rzadka popłakiwała. Stary pan pilnował jej codziennej przechadzki po pokoju: „moja Maryniu, przecież cię trzymamy, jeszcze tylko drzwi, a teraz do stołu, tylko się nie garb i podnoś wyżej nogi – może jeszcze raz?”

Niedowidząc mył naczynia, sprzątał. Nawiasem powiedziawszy lubił gawędzić. Kiedyś – a znałam ich już od dłuższego czasu – zaczął się zastanawiać nad źródłostwem czyjgoś nazwiska. Jakby błyskawica rozdarła moją pamięć. Zerwałam się na równe nogi: „panie profesorze, to pan mnie uczył w czwartej gimnazjalnej”! Jak mogłam go nie poznać? Już wówczas, przed tylu laty nosił czarne okulary! Potem kiedyś powiedział: „wie pani, co było najmiłsze? Że pani rozpoznałszy mnie wstała jak uczennica w ławce”! Ofiarował mi „Księgę psalmów” w tłumaczeniu Staffa, wówczas nie do nabycia. Po mieszkaniu poruszał się swobodnie, tak samo po ulicy w pobliżu domu. Ale nie dostrzegł zasadzki, potknął się na rozkopanym chodniku i wpadł w rów głową naprzód. Nazajutrz miał twarz jak maska sino-krwawa, głowę, ręce – w opatrunkach.

– Czy pani wie, jaki Bóg dobry?

Zaniemówiłam. Po czym zaczęłam bełkotać: „tak, wiadomo. Ale czemu w tym wypadku...?”

Bo kiedy mnie opatrywali na Pogotowiu, a to wszystko bez końca trwało, wciąż się modliłem, żeby się Marynia nie bała, żeby nie była sama! No i proszę pomyśleć! Wracam i zastaję tę panią z sąsiedztwa, która siedziała przy niej przez te całe trzy godziny!

Głos drżał mu uniesieniem, jak głos psalmisty: „Wielbić będę Pana każdego czasu”! [...]

Jakież bywają próby! – podsumowuje codzienne ciche bohaterstwo chorych i ich opiekunów na kartach swoich wspomnień. Zmęczenie, wstręt. Pokusa ucieczki. Jeśli się tym próbom i pokusom ktoś oprze i wyjdzie z nich nawet ze skazą – cóż za zwycięstwo!

W jednym pokoju otepiała staruszka i młoda robotnica. Żadna krewna. Dziewczyna zrywa się co dzień o piątej, aby zdążyć do pracy. „Myję jędzunię wieczorem czy chce czy nie chce. Rano ledwo mam czas przygotować jej kawę w termosie i chleb pokroić, nasmarować i diabli mnie biorą, jak ona jeszcze narzeka. W nocy nie da mi okna otworzyć, a zaduch. Czasem całe noce potrafi mruzczyć „Serdeczna Matko”, jakby Matce Najświętszej takie coś było potrzebne. [...] Już powiadam sobie, że rzucę jędzunię i pójdę do koleżanki, choć byłabym tam czwartą na kupie. Ale co? Żal mi. Też żal, jak na nią krzyczę. Już taka jestem – jak nie dośpię, tom zła. Co? Ona chora umysłowo? Chciałabym być tak zdrowa! Rozmyślnie chowa łachy po kątach, a potem mówi, żem je wzięła. Nawet

bym się brzydziła... No i mam dwa dni na Wielkanoc. Chcę wyjechać do mamusi. Przygotuję jędzuni na święta kawał kury, będzie miała. Odgrzeje sobie na elektryce, bo gazu mogłaby nie zakręcić, zresztą do kuchni nie zalezie. Upiekę ciasto. Ta pani z naprzeciwka zajrzy w pierwsze święto, ale na drugie i ona wyjeżdża. To mnie cholera trzepie, bo jakże zostawić samą tę jędzę? Muszę wracać! Co mamusia powie? Wścieknę się czy co? Na szczęście nie pękła nazbyt już napięta struna dobrej woli: udało się zdobyć zastępstwo.

Tak, tylu jest nieszczęśników, którzy mogą wołać „Nie mam człowieka”, jak ów paralityk z Betsaidy... [...]

Ale naprawdę jest mnóstwo ludzi dobrych. I to właśnie nieszczęście – choroba wyzwala, niejednokrotnie konkretyzuje – dobroć.

Nie myślmy tylko o walce ze złem. Być może, że zło jest bardziej frapujące – nie tylko jako literacki temat. Trzeba o nim mówić, a nawet krzyczeć. Ale czy o dobroci też nie należy krzyczeć? O dobroci zrodzonej przez nieszczęście, wysnuwanej z miłości, dzień po dniu.

To, co napisałam, to chyba nie jarmarczne kolory.

JA TO WIDZĘ W KOLORZE PŁOMIENIA!⁽¹²⁰⁾

¹²⁰ Ibidem, s.83-86.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

„NIE SAMYM CHLEBEM ŻYJE CZŁOWIEK”

*Wiara jest obcowaniem z Bogiem
na co dzień.*

(Ks. Jan Twardowski)

Chrystusowa prawda zawarta w tytule rozdziału była Hannie szczególnie bliska, nie tylko w stosunku do siebie samej, ale również chorych, pielęgniarek i wszystkich ludzi. Przejawiało się to na różne sposoby, wplatało w jej cudowne, choć tak proste pielęgniarskie życie. Sama przed laty doznawszy uzdrowienia swojej duszy, teraz jak drogowskaz, niezwykle taktownie wskazywała innym właściwą drogę, prowadzącą do tego uzdrowienia. Wiedziała, że zdrowie tylko wtedy jest pełnią, gdy obejmuje tak ciało jak i duszę człowieka. Społeczeństwo pielęgniarskie najwcześniej poznało jej ewangeliczną działalność w organizowaniu, już wcześniej omawianych, rekolekcji dla pielęgniarek.

Ale przede wszystkim poznali ją chorzy. W 1958 r. Hanna wprowadziła zwyczaj zanoszenia wigilii (znakomitej kuchni ss. Prezentek) i skromnych paczek świątecznych do domów ubogich chorych, a także symbolicznych prezentów imieninowych, które niejednokrotnie napełniały chorych wielkim wzruszeniem i radością. W roznoszeniu paczek niezawodni byli studenci i młodzież akademicka, których Hanna bardzo łatwo pozyskiwała swoją osobowością do charytatywnej działalności na rzecz chorych. Ponadto szukała również chętnych, którzy mogliby spędzić z chorymi ich samotne wieczory wigilijne⁽¹²¹⁾. W 1960 r. Ks. Karol Wojtyła już wtedy jako biskup krakowski odwiedził w Wielkim Poście razem z Hanną Chrzanowską 35 chorych, co później stało się corocznym wręcz rytuałem wielkopostnym, a potem stałym punktem programu podczas każdej wizytacji w terenie⁽¹²²⁾. *W osobie ks. Karola Wojtyły – pisze Alina Rumun – [...] miała Hanna zawsze sprzymierzeńca i protektora rozwijającej się pracy. Ks. kardynał rozumiał jej potrzebę i aktualność, cieszył się z inicjatywy laikatu, doceniał i podkreślał*

¹²¹ A. Rumun, *op.cit.*, s.38-39.

¹²² *Ibidem*, s.35.

często wkład chorych w życie i zadania Kościoła. [...] Do stałego zwyczaju ks. kardynała należą odwiedziny chorych w czasie corocznych rekolekcji i wczasów chorych⁽¹²³⁾.

Dużą zasługą Hanny było wprowadzenie mszy św. w domach chorych, o co bardzo walczyła u władz kościelnych, a co kiedyś bywało uprzywilejowaną rzadkością. Z czasem msze te stały się dużo bardziej dostępne dla chorych, szczególnie chronicznych, gdyż wystarczyło pozwolenie biskupa, a potem już tylko proboszcza⁽¹¹³⁾.

Hanna pokazała chorym, że nie muszą żyć na marginesie społeczeństwa, że są ludzie którzy chcą im pomagać. *Wciągała do pracy – wspomina jej koleżanka – różnych ludzi dobrej woli, znajomych i nieznajomych, z których wielu stawało się wiernymi sympatykami i przyjaciółmi jej dzieła – służąc w potrzebie radą i pomocą, przede wszystkim zaś nawiązała współpracę z młodzieżą akademicką, co miało w przyszłości przynieść tak piękne owoce. Studenci zaczęli systematycznie pomagać chorym i starym: odwiedzają ich, rozmawiają, czytają, piszą im listy, robią zakupy, noszą obiady, załatwiają różne sprawy i naprawy w domu, sprzątają (a nawet malują) mieszkania, pomagają młodym inwalidom w nauce, prowadzą lub wożą na spacer i do kościoła, w zimie noszą węgiel z piwnicy do mieszkania. [...]*

Korzyści odnoszą obie strony. Jak bardzo obecność i pomoc młodych ożywia smutną egzystencję chroników, a jednocześnie jak rozszerza i pogłębia znajomość życia i poczucie odpowiedzialności u młodzieży⁽¹²⁴⁾!

Wielkim marzeniem *Cioteczki* było stworzenie rekolekcji dla chorych. Chciała aby i oni mogli pokrzepić swego ducha, a przy tym byłaby to dla chorych możliwość spotkania się ze światem, odpoczynku od starych domowych kątów, z których często nigdy nie wychodzili. Rekolekcje w Trzebini, które po raz pierwszy udało się zrealizować w 1964 r., dawały pewne poczucie bezpieczeństwa, a przede wszystkim odsuwały daleko od lat towarzyszącą chorym samotność. Dla rodzin, codziennych opiekunów chorych była to okazja do odpoczynku od stałych obowiązków opiekuńczych.

Pracy przy organizacji rekolekcji było dużo, ale *Cioteczka* nigdy się jej nie bała i poradziła sobie z nią doskonale. *Hanna – komentuje Alina Rumun – od początku umiała nadać rekolekcjom w Trzebini specyficzny styl i nastrój pogody, ogólnej miłości i życzliwości, radości i odprężenia. Udział doskonałych rekolekjonistów [...] pogłębiał tę atmosferę. Stopniowo wciągała Hanna do akcji w tych rekolekcjach nie tylko właściciele aut, którzy bezinteresownie i ochotnie przewożą chorych, nie tylko studentów, ale i kleryków seminariów duchownych diecezjalnych i zakonnych do pomocy w transporcie,*

¹²³ A. Rumun, *Hanna Chrzanowska*, w: *Chrześcijanizm* pod red. B. Bejze, Akademia Teologii Katolickiej, Warszawa 1978, t.3, s.371-372.

¹²⁴ *Ibidem*, s.372.

jak również ochotników świeckich i siostry zakonne oraz pielęgniarki świeckie do opieki nad chorymi⁽¹²⁵⁾.

Ojciec Leon Knabit, mnich tyniecki, wspomina Hannę i jej ducha organizacji:

Trzebinia i rekolekcje chorych... Widzę Cioteczkę, jak stoi z jakimś papierami w drzwiach wejściowych Domu Rekolekcyjnego i z pewną pogodną szorstkością, a jednocześnie ze słońcem na twarzy i w sercu kieruje rozwożeniem, przyjmowaniem czy rozmieszczaniem coraz to nowego turnusu chorych. Spokojnie przedziera się przez gąszcz adresów i nazwisk chorych, kierowców, dyżurnych, pomocników, nie widząc oczu wpatrzonych w nią z podziwem czy ze łzami wdzięczności, nie słysząc szczerych szeptów chorych: „nasza opiekunka, nasz anioł, nasza matka”⁽¹²⁶⁾.

Problem pojawił się jednak z samymi chorymi. Okazało się, że zasiedzieli w domach przewlekle chorzy boją się wyjścia ze swoich starych kątów. Niejednokrotnie trzeba było użyć dużo perswazji, motywacji i argumentów, aby w końcu dali się przekonać. Ale o swoich obawach i o tym jak bardzo się co do nich mylili bardzo pięknie pisali potem w listach sami chorzy:

Nie dziwi mnie to wcale – pisał w liście jeden z uczestników rekolekcji – że są osoby, które się boją Trzebini, a może nie tyle boją, co mają pewne wątpliwości, opory i zastrzeżenia co do takiej imprezy. Ja sam, gdy mi w r. 1966 zaproponowano wyjazd na rekolekcje, to pomimo że poinformowano mnie dokładnie jak tam jest, powiedziałem, że „nie mogę”, że „rada by dusza do raju, lecz...” Wydawało mi się niemożliwe, abym ja, taka kłoda drewna, mógł tam egzystować, mógł brać udział w jakichś rekolekcjach. [...] Jestem przecież znacznie zaawansowanym esemowcem (S.M. – sclerosis multiplex [...]), a moje – pożałuj Boże – funkcje fizjologiczne to istna makabra. W warunkach domowych jako tako to wszystko grało, ale tam – myślę sobie – to byłby taki kram, że chyba zaraz po pierwszym dniu musiałbym wracać.

Mimo tych obaw – pojechałem, powiedziałem sobie „raz kozie śmierć” i pojechałem. To, co zobaczyłem, przeszło moje najśmielsze oczekiwania, oczywiście najbardziej pozytywne. Wróciłem tak pełny wrażeń, że długo jeszcze nie mogłem się myślami oderwać od trzebińskich przeżyć. Tych wrażeń nie da się opisać. Bo czy da się opisać tę atmosferę, która tam panowała? Nadzwyczajna cierpliwość, najautentyczniejsza miłość bliźniego, pielęgniarskie złote ręce – to tylko blade określenie tego, co się tam widziało. Weźmy chociaż taką rzecz: nam chorym przykro jest, gdy musimy korzystać z pomocy innych osób. Świadomość – ta jest w zasadzie i na ogół przykra. W zasadzie, ogólnie rzecz biorąc, bo na pewno nie w Trzebini. Tam wszyscy, którzy się koło nas

¹²⁵ Ibidem, s. 373.

¹²⁶ Ibidem, s. 391.

krzątali manifestowali swoją radość, że mogą być pomocni. Myśl o przykrości nie pojawiała się ani na moment, a nawet wręcz odwrotnie, miało się silniejszą świadomość, że się d a j e możliwość świadczenia usług, niż że się je b i e r z e i to było przyjemnością, a nie przykrością. Rano zaczynała się krzątania: mycie, ubieranie, wsiadanie na wózki, śniadanie, zjeżdżanie się na nabożeństwo. Pobudka była też niezwykła, jak wszystko, czego doświadczyłem w Trzebini. Słucham – zaczyna bić piękny dzwon. Po chwili dołącza się drugi, trzeci – rozdzwoniła się cała Trzebinia, czy co? Ale skąd tu takie dzwony? Byłem zachwycony. Później ktoś mi powiedział, że to z taśmy magnetofonowej głos dzwonów kościołów rzymskich. Krakowskich czy rzymskich, w każdym razie pomysł księży salwatorianów znakomity.

Ale wracam do moich obaw. Okazały się całkowicie niepotrzebne. Na wszystko znalazła się rada. Nie myślało się zresztą o tym – nie było na to czasu. [...] wydawałoby się, że na rekolekcjach czas może być wypełniony tylko modlitwą i nabożnym skupieniem. Ale nasze rekolekcje są jakimiś specjalnymi rekolekcjami. Owszem, było dość modlitwy i obcowania z Bogiem. Ojciec Karol porywał swoją żarliwością. Mówi z ogromną wiarą i ekspresją. Jego wiara udzielała się nam, a gdy rozdawał Komunię św., czuliśmy niemal fizycznie obecność Chrystusa wśród nas. Tak, rekolekcje i to prawdziwe spotkanie z Bogiem. Ale równocześnie relaks dla ciała. Tam się zapominało o chorobie, tam czuło się radość życia. Rozbawienie całego towarzystwa było ogromne. Np. wieczorami musiała Pani [Hanna Chrzanowska] uspokajać wszystkich słowami: „ciszej, proszę Państwa ciszej, już dziewiąta, niektórzy chcą już spać...” Rozmowy były bowiem nader ożywione. Ach, jaki to był fajerwerk dowcipów, gietda kawałów! Nie żadnych prostackich, ordynarnych, tzw. pieprznych, bo nawiasem mówiąc – to nie są żadne kawały. Ja z tych rekolekcji wróciłem do domu tak rozanielony i „roztańczony”, że mnie wprost nie mogli poznać. „Coś ty taki wesoty”? stale mnie pytali. „Byłem na rekolekcjach”. – „No, toś powinien być zamyślony”. – „Tak, ja jestem zamyślony, ale na wesolo”. Taka była zazwyczaj moja odpowiedź. To było niezwykle, bo połączenie wesolości z nastrojem modlitewnym.

Co mi się jeszcze podobało w Trzebini? I park otaczający Dom Rekolekcyjny, i posiłki na tarasie w blasku słońca przesianego przez gałązki parkowych drzew, i wyświetlane przez księży salwatorianów filmy, i koncert piosenek, i odwiedziny dzieci z sąsiedniej parafii z kwiatami (byłem bardzo wzruszony). No, a jedzenie było rozkoszą samą w sobie! Wszystko nadzwyczaj smaczne. Zapomniałbym jeszcze o szachach. Dla mnie, nałogowego niejako szachisty, ogromną przyjemnością była możliwość rozegrania kilku partyjek. Niecodzienna również była sama podróż. Siedzę stale w domu, więc możliwość oglądania świata Bożego z okien pędzącego Wartburga jest nie do pogardzenia, to była gradka nie lada.

Długo jeszcze będę pamiętał te rekolekcje, jestem niewypowiedzianie wdzięczny i składam z serca płynące B ó g z a p ł a ć! [...]

Rekolekcje – pisał inny z uczestników – pomogły mi nie tylko pogłębić wiedzę religijną, pokrzepiły mnie duchowo, ale uczyniły życie wiele ciekawszym, dzięki zawartym tam znajomościom... Nie miałem wiele przyjemności w życiu, los skąpo mi je dawkował, ale pobyt w Trzebini zaliczam do największych przyjemności, jakie spotkały mnie od czasu, gdy zachorowałem. Jakże nie myśleć z wdzięcznością o ludziach, którzy mi to umożliwili? Pierwszy mój pobyt w Trzebini był dla mnie wielkim przeżyciem, przez kilka miesięcy co noc śniła mi się Trzebinia. W następnych latach to już przyjeżdżałem jak do swojego drugiego domu. Od tego czasu każdy rok jest dla mnie ciągłym czekaniem na Trzebinę [...]. Już mi się udzielił niepokój oczekiwania na Trzebinę, bo mają blisko. Nie umiałbym już żyć bez Trzebini – to sól mego życia... [...]

Tam – pisała jedna z uczestniczek rekolekcji – wśród doskonałej atmosfery, nie czułam się niepotrzebna, a przeciwnie, byłam wdzięczna, że mnie namówiono na wyjazd. Jeszcze raz serdecznie dziękuję [...].

Gdy mi zaproponowano Trzebinę – wspominała w liście jedna z chorych – wpadłam w wewnętrzny popłoch i rozterkę. Jechać – nie jechać? Nie, brzmiała odpowiedź na hamletowskie niemal pytanie. Jechać – to znaczy spotkać szereg nowych twarzy, narażać się na wiele spojrzeń, pytań, rozmów. To znaczy – po kilku latach nie opuszczania pokoju pokazać się światu w postaci siedzącego w fotelu kaleki.

Jednak się, mój miły Boże, z grzeczności zgodziłam. Ponowne zetknięcie ze światem było przeżyciem mocnym wprawdzie, lecz mocnym w znaczeniu najbardziej pozytywnym. Przede wszystkim nikt się nikomu nie przyglądał i nikt niczemu się nie dziwił. Wśród chorych ani jednej twarzy smutnej i przygnębionej, przeciwnie: nastrój radosnego podniecenia, wzajemnych powitań tych, którzy już tutaj byli, wesołe rozmowy, życzliwość. To mobilizuje. Popatrz, też chorzy jak ty, a przecież się nie załamują.

W atmosferze tamtych dni odnalazłam wiarę w dobroć ludzką [...]. Ten pobyt na „Wyspie” nie tylko nie powszednieje, przeciwnie, z każdym rokiem bogatszy jest o nowe, wyższe wartości, zbliżające zrozumienie celu i sensu życia, celu i sensu cierpienia. Przywożone stamtąd przeżycia coraz głębsze są i trwalsze i coraz bardziej godzą z losem, który przyszło znosić, a który początkowo wydawał się nie do udźwignięcia. Może przyjdzie chwila, w której – jak owa chora z opowieści Ojca... wreszcie znajdziemy w chorobie źródło szczęścia... Samo pogodzenie się z losem chyba jest już krokiem ku zwycięstwu. Bo dokonywa się w nas jakaś wielka przemiana i odnowa, odświeżanie wiary i otuchy, że nie jesteśmy sami, że ma jakiś wyższy, ponadzmysłowy sens ten cały nasz los. Stąd ta nasza głęboka wdzięczność za wszystko dobre, którego tu doznajemy...

Jeśli do wyżej opisanych przeżyć duchowych doda Pani jeszcze rozkosze przebywania na łonie natury, będzie Pani miała przybliżony obraz przyjemności, jakich tu zażywamy. Trzeba by ileś tam lat nie wyjść z czterech ścian mieszkania, ileś tam lat nie zaznać oddechu otwartej przestrzeni i obcowania z ludźmi, być wyłączonym poza nawias normalnego życia i współżycia. Wielką ulgę przynosi myśl, że pod naszą nieobecność w domu odpoczną nieco ci, co się nami na co dzień opiekują i którym już od tylu lat jesteśmy ciężarem...

Zawsze ta radosna zdumiewająca myśl – wyznaje inna uczestniczka rekolekcji – że ciągle są na świecie ludzie oddani wyższej idei, uznający wyższe wartości życia, którzy oddali siebie w służbę drugim. W służbę tym spoza bariery, nikomu nie potrzebną, z życia wyizolowaną, z których już dla nikogo nie będzie pożytku. A jednak – dojrzeli w nich istoty godne uwagi, pomocy i opieki, i postawili sobie za cel życia ulżenie ich doli, wywołanie na twarzy uśmiechu, odpędzenie niedobrych, smutnych myśli. Ich bezprzykładna gotowość przywodzi na myśl własne zdrowe dawniej życie. Jakie ono wydaje się dzisiaj puste i jałowe! Jak mało było w nim miejsca dla drugich, prócz tych z własnego kręgu bliskich. I zupełnie się nie dziwię, że w jednej z rozmów p. K. powiedziała: „Gdybym nie zachorowała, nie poznałabym tylu dobrych i szlachetnych ludzi. Nigdy nie byłabym tutaj i nie widziałabym tego. O ile byłabym uboższa, a ile zyskałam przez chorobę. Przeżyłam i widziałam. I w tym chyba zawiera się to, co odczuwamy wszyscy, mający szczęście i możliwość zetknąć się osobiście z dziełem Pani [Hanny Chrzanowskiej]. Ku Pani też kierują się nasze myśli i serca. Za Panią płyną nasze modły najgorętsze, najcieplejsze słowa podziękowania”⁽¹²⁷⁾.

Hanna Chrzanowska widziała również potrzebę stworzenia stałego domu, gdzie chorzy mogliby przyjechać na pewien czas dla odpoczynku, w zależności od sytuacji. Jej myśli popłynęły w kierunku stworzenia wczasów dla chorych. Niestety brakowało odpowiedniego domu i wczasy udało się zorganizować po raz pierwszy na bardzo małą skalę dopiero w 1971 r.⁽¹²⁸⁾.

Skąd brała siły, chrześcijańską energię, uśmiech do porywania się na czyny tak wzniosłe? Skąd brało się jej z prawdziwą pasją okazywane powołanie do służenia chorym? Jak to możliwe by w zwykłym szarym życiu, w którym czasem trzeba ciągle iść pod wiatr, zachowała tak wielką, niezachwianą wiarę? Odpowiedzi należy szukać w Tyńcu i w mieszczącym się tam opactwie benedyktynów, który był osobnym, ale jakże ważnym rozdziałem w całym jej życiu.

¹²⁷ Ibidem, s. 373-376.

¹²⁸ Ibidem, s. 376.

Choć Tyniec znała jeszcze z lat wojennych, a potem z wycieczek, jej wewnętrzna przygoda rozpoczęła się dopiero, gdy trafiła kiedyś w opactwie na wieczorną liturgię Wielkiej Soboty. W 1953 r. po takiej liturgii pisała do swojej kuzynki w liście: „[...] nabożeństwo – cytuje Hannę pani Alina Rumun – zaczęło się o 22.30 a skończyło się o 2-ej. Było nieprawdopodobnie. Tyle ci powiem, że o. Piotr, chociaż powiedział tylko kilka zdań, dorównał samemu sobie [...]. Jak zawsze postawił maksymalne wymagania. Cudowna noc, rozgwieżdżona i procesja po wzgórzu pod gwiazdami. Wszystko inne na świecie to naprawdę drobiazgi.”

Zanurzyła się w piękno liturgii – komentuje dalej – śpiew gregoriański, potem coraz głębiej w treść odprawianych nabożeństw. Tyniec uważała za wielki dar Boży dla siebie, za wielką wartość. Od roku 1956 została oblatką benedyktyńską. Odpowiadał jej cały „styl” benedyktyński – powaga, pokój, chwała Boża, radość, umiar, szukanie we wszystkim Boga i nastawienie na wieczność. Chłoneła te bogactwa całą duszą. Konferencje, dni skupienia, uroczyste celebrowane msze św., nieszpory [...] kompleta, a nawet sama tylko cisza tynieckiego kościoła – wszystko odkrywało coraz nowe perspektywy, wciągało. Nade wszystko zaś Liturgia Wielkiego Tygodnia. Przez kilkanaście ostatnich lat swego życia uczestniczyła w niej, gdy tylko było to możliwe – od Wielkiego Czwartku do Poniedziałku Wielkanocnego. Z czasem przyjeżdżała na wszystkie te dni – nie wracając do Krakowa – a zatrzymywała się gdzie się dało: w wiejskich domach, na poddaszach, czasem w chłodzie i niewygodach, ale to nie miało znaczenia. Przeżywała te dni z przejęciem i uniesieniem. Bywała także nieraz na jutrzni Bożego Narodzenia i Pasterce, a skromną wieczerzę wigilijną jadła z podobnie jak ona zapalonymi „ciotkami Kościoła”. Ileż radosnych wspomnień z tych tynieckich świąt! [...]

Po takich świątach Hanna – jeszcze z plecakiem – przychodziła do swojej kuzynki w Krakowie, wołając już od progę: „dawajcie jeść, bo jestem potwornie głodna”! Rzeczy wzniosłe i prozaiczne, poważne i śmieszne łączyły się u niej w niezrównaną całość. Gdy przez kilka lat wynajmowało się ten sam pokój, powstał dla „ciotek” przezabawny Regulamin Apartamentu na Strychu w Domu nad Łąkami, jej pióra oczywiście. [...]

Do Tyńca wpadała nieraz choć na kilka godzin wśród nie kończącej się coraz bardziej pochłaniającej pracy. Żeby się uciszyć, „naładować akumulatory” [...] złapać oddech. Nawet niektóre zwroty z łacińskiej liturgii i brewiarza stały się umownymi symbolami w jej życiu i pracy. Ulubione było powiedzenie „magnalia Dei” – wielmożne sprawy Boże. Chętnie o nich rozmawiała z najbliższymi. Czasem u szczytu załatania i w młynie setek spraw przerywała: „dość na chwilę, teraz mówmy o magnaliach, nie dajmy się zwariować”. Drugie popularne powiedzenie to: „O admirabile commercium” z antyfony noworocznej. Przedziwne zamiany zdarzały się w naszej pracy nader często i

równie niespodziewanie, co niezawodnie. Gdy się wydawało, że już przysłowiowej szpilki się nie wetknie, bo nie ma chwili wolnej ani człowieka, coś się nagle działo, przestawiało, zmieniało – witane nieodmiennie okrzykiem lub westchnieniem: „o admirabile commercium”.

Nie mogę się opędzić myśli, że nawet czas jej śmierci to też takie „admirabile commercium”. Gdy chorowała, zbliżał się coraz bardziej termin trzebińskich rekolekcji chorych, tak bardzo przez nią ukochanych. Wbrew wszystkiemu – bo przecież urządzenie rekolekcji w czasie tej choroby było niepodobieństwem – robiłyśmy to, co zawsze: werbowaliśmy chorych i pomocników. Zostało już tylko tyle czasu, żeby móc zdążyć to wszystko wykończyć. Wtedy Hanna zmieniła swoje ziemskie mieszkanie na inne. „O admirabile commercium!” [...]

Na parę lat przed swoją chorobą, w 1966 roku, zobowiązała nas, aby nie taić przed nią, gdyby miała raka, a wtedy odmówimy „Hymn Trzech Młodzieńców”, bo we wszystkim trzeba chwalić Boga. Diagnozę zresztą postawiła sobie sama już na początku choroby, a hymn „Benedicite” odmówiliśmy wspólnie w parę dni po jej operacji⁽¹²⁹⁾.

Hanna w tej całej swojej duchowości była bardzo autentyczna. Codziennie uczestniczyła we mszy św. i karmiła się Komunią Św. Na co dzień żyła lekturą Pisma Św., szczególnie Ewangelii. Wielki Tydzień był prawdziwym misterium jej życia. Wracała wtedy do *Rozmyślań o Męce Chrystusa Pana* i *Tajemnicy Jezusa o męce w Ogrodzie Oliwnym* autorstwa ks. Kalinki. Oprócz tego chętnie czytała również Brucbergera, Newmanna, Rahnera Voillaume’a, a także zagłębiała się w *Myśli Pascala*⁽¹³⁰⁾.

Nie zostawiała swojej wiary za drzwiami zamkniętego kościoła, ale zabierała ją ze sobą w codzienne życie, aby dzięki niej nie stracić świeżości odczuwania innych, móc coraz bardziej wnikać w psychikę innych. Te piękne cechy, choć niewątpliwie w znacznej mierze były u niej wrodzone czy kształtowane już w dzieciństwie, na pewno wymagały ciężkiej pracy nad sobą, aby nie stracić ich w wirze szarości świata. Owoce tego zaparcia się siebie zbierali chorzy, rodzina, znajomi, przyjaciele i wszyscy ci, którzy mieli szczęście spotkać tę świętą na co dzień Cioteczkę na drodze swego życia. W swoich prelekcjach dla pielęgniarek często mawiała: *musimy się modlić i bardzo prosić Boga o współczucie, o świeżość uczuć, o miłość do ludzi, o pokorę*⁽¹³¹⁾.

Alina Rumun wspomina, że: *Gdy jedna z jej sublokatorów, zajmująca najmniejszy, północny pokój, wyszła za mąż i urodziła dziecko, Hanna odstąpiła im swój większy i słoneczny pokój, póki za parę lat nie dostali większego mieszkania.*⁽¹²³⁾

¹²⁹ Ibidem, s. 377-378.

¹³⁰ Ibidem, s. 383.

¹³¹ Ibidem, s. 382.

Cioteczka odnajdywała Boga w każdym człowieku. Potrafiła to całe uwielbienie dla Boga, do którego wszystkimi siłami zmierzała, przenieść na grunt postrzegania świata. Jej percepcja przenosiła się również na łono natury, którym potrafiła się zachwycać w swoim specyficznym dla siebie i jakże otwartym stylu. Z dziecięcą świeżością podziwiała ptaki, drzewa, kwiaty, trawy, malownicze górskie krajobrazy, jednym słowem wszystko to, co na świecie zostało stworzone dla cieszenia ludzkich oczu. Przy całym tym swoim zabieganiu, zapracowaniu i dosłownie „zaharowaniu” pilnowała terminów urlopów tak swoich jak i współpracownic, na które wyjeżdżała, by nacieszyć się pięknem natury i odpocząć.

Ponieważ lubisz powiewy z moich wakacji, – pisała przed laty do swojej kuzynki – a więc:

Połoniny to cud! Wędrowałam szczytami wśród szalonych tysięcy chwiejących się traw. Wysokie, po kolana, choć tam już prawie blisko 1300 m. Trawy srebrne, złotawe, to znowu zielone i rdzawe, o kitkach jak kłosa, to znowu jak brzoźki, jak sosenki. Kwiaty!!! Zwyczajne nasze nizinne kwiatki, dzwonki z kartoflisk czy po prostu mlecze, czy rumianki – tam wyrastają do bajecznej wysokości, bujności, jakiegoś rozkrzewienia zupełnie niespotykanego. Zwykły chaber łąkowy ma tam koronę jak ogrodowy goździk. Polne, maleńkie goździki tynieckie, tam – obfite jak na klombach. Dzwonki, te najładniejsze, rosnące na skrajach leśnych – ot zachwycające dzwony. Osty wyższe ode mnie. To wszystko w cudownym błękitcie przechodzącym w srebrne zamglenie naokoluteńko na pasmach gór i wzgórz. Człękowi serce i mózg stają dęba z podziwu. Jedno wielkie „Laudes”! Co napisawszy stylem nieudolnym kreślę się Twoim pachotkiem powolnym. [...]

Tu jest dobrze, – pisała w 1969 r. z Piwnicznej – czasem nawet bardzo. Chyba przede wszystkim sprawia to cudowne powietrze, rześkie, pachnące sośniną, jedliną, świerkami i macierzanką. Potoczki szumią, szemrzą, bełkocą. Cisza wspaniała, mówiąca po swojemu. [...] Co za wypoczynek: widok źródlanej wody, biegnącej przez rynnę z cienkiego pnia do zbiornika z grubego pnia, jak kilkaset lat temu! [...]

Pogoda coraz piękniejsza, – zachwycała się urokiem Bukowiny w 1972 roku – dziś poranek fantastyczny. Cała panorama gór białych, połyskujących lodem w słońcu. Wczoraj machnęłam duży spacer i wiatr sprzął mnie jak kundla. Dziwny koloryt: wzgórze ledwo, ledwo przysypane, po prostu posolone śniegiem. Błękit głęboki, wrześniowy. Ale najważniejsze, że gałęzie jesionów, osiczyn i wierzb pokryte są nie szronem, tylko po prostu lodem. Na czubkach sople sterczą w górę. A ten lód jest całkowicie złoty w słońcu. Śpiewają już skowronki, jakieś słowicze ptaszki w lesie, a szpaki całymi stadami wznoszą się i opadają [...]. Cisza w moim pokoju wielka i pełna negatywnego szczęścia: nie ma telefonu! [...]

Ja od wczoraj zaczynam chodzić – żartuje w jednym listów z Roztoki – chyba raz jeszcze znowu się rozpedzę, co oznacza pęd ślimaka skrzyżowanego z niedźwiedziem. Każdy wiek ma swój urok: młoda dziewczyna na mój widok zrzuciła buty i wlała do potoku, żeby mi pomóc przejść przez belkę, a potem jakiś pan kiwał z daleka, pokazując wygodną drogę. Dobrzy są ludziska⁽¹³²⁾!

Nawet wtedy, w czasie tych swoich urokliwych wyjazdów, wakacji, urlopów pamiętała o swoich pacjentach. W ciągu roku dostawała mnóstwo kartek i listów, ale nie miała czasu na nie odpisywać z powodu swojego zapracowania. Na wakacjach, w czasie deszczowych dni starała się zawsze odpowiadać na te wszystkie wyrazy pamięci i życzenia⁽¹²³⁾.

Do tego zjednoczenia z przyrodą dołączało się zawsze specyficzne tylko dla niej serdeczne poczucie humoru, które towarzyszyło jej przez całe życie i nie wątpliwie sporo w nim pomagało.

Nie słyszałem, – wspomina ojciec Leon Knabit z Tyńca – żeby o kimś mówiła ze złością, nie słyszałem żeby kogoś obgadywała, czasem powiedziała jakiś dowcip, czasem zamiast kogoś pognać, wołała powiedzieć o nim coś wesołego, żeby mu nie zaszkodziło. [...] Miała ten cudowny talent, że w każdym człowieku i w każdym środowisku wychwytywała to, co lepsze⁽¹³³⁾.

Jedna z jej współpracownic wspomina:

Umiała kapitalnie opowiadać o różnych ludziach, naśladować ich śmieszności, wyłapywać dziwactwa, a jednak bez złośliwości, ale przeciwnie, często ze współczuciem.

Umiała naprawdę współczuć bliźnim i płakać z płaczącymi. Śmiać się ze śmiejącymi potrafiła również, i to jak. Rozrabiła nieraz jak przysłowiowy „pijany zajac”, nigdy jednak nie zbywała tanim i banalnym frazesem cudzego bólu i troski. W przeddzień swego pójścia do szpitala cały wieczór poświęciła strapionej osobie, ciesząc się, że się mogła biedaczka wygadać⁽¹³⁴⁾.

Gdy w 1966 r. ujawniła się jej nowotworowa choroba, nawet wtedy, po operacji, poczucie humoru nie opuszczało ją nawet na chwilę, choć już wtedy liczyła się z ryzykiem śmierci.

Odwiedziło mnie 70 osób – pisała będąc w szpitalu. Statystyki, ile razy kto – brak. Brak też danych co do kwiatów. Aktualnie mam 12 goździków i 2 hiacenty. To wszystko – żeby ci było łatwiej napisać biografię H.C.⁽¹³⁵⁾

¹³² Ibidem, s. 379-381.

¹³³ L. Knabit, w: *Promieniowanie posługi* Oprac. K. Kubik, Kraków 1999, s.46.

¹³⁴ A. Rumun, *op.cit.*, s.379-381.

¹³⁵ M. Czech, *op.cit.*, s.21.

Lubiła czasem radośnie po prostu uciec za miasto na podbój nowych przygód, a zapraszała na te zaplanowane przez siebie wyprawy w humorystycznym, specyficznym dla siebie stylu:

[...] wyczytałam, – proponowała swojej koleżance – że *Puszcza Niepołomicka chyli się ku upadkowi z jakichś przyczyn wielce skomplikowanych, przekraczających możliwości zrozumienia przez przeciętnego śmiertelnika. Chciałabym więc tejsze puszczy zrobić przyjemność i pokazać jej Moją Osobę. Niech się biedactwo pocieszy. Jeśliby łało, możemy cały dzień spędzić w kinach krakowskich – poranki są już od 10-tej, a potem wystarczy zamówić taksówkę, żeby zdążyć na wszystkie seanse. Tylko kup duży termos na zupę, bo trudno o głódzie się przyglądać.*⁽¹²⁵⁾.

Jedna z współpracownic Hanny Chrzanowskiej wspomina:

Często podrzucała Hanna w umówionym miejscu różne karteczki na temat aktualnych prac. Pewnego razu – po kilku rzeczowych zdaniach o jakimś pacjencie, znajdował się dopisek: „wróciłam, żeby ci powiedzieć, że za murem Przychodni, od św. Marka widać cud w kwiecie! Skocz tam”.

Nieraz na tych karteczkach były jakieś zabawne dopiski. Np. na zakończenie:

*Obżarta przylipna
pogrypna siwiuchna
jędzuchna nic warta
uparta dowcipna
!Ciotuchna!⁽¹³⁶⁾.*

Został po niej, skreślony jej własną ręką, jedyny w swoim rodzaju życiorys:

24.I.73, wiek XX, godz. 21,03. Łobzowska 61 m. 6, II p. drzwi na prawo, tel. 331-39, 31-319 Kraków.

Hanna Helena Chrzanowska, ur. 7.X.1902 w Warszawie, Senatorska 38, II p. drzwi na lewo, o godz. 0. Z Wandy Szlenkier i Ignacego.

Pradziadkowie po kądzieli: Szlenkier, Grosser, Templer.

Po mieczu: Chrzanowski, Dmochowski, Zembrzuski, Cieciczowski.

Rysopis: Gęba niegdyś piękna. Włosy niegdyś blond.

Wykształcenie: niższe.

Zawód: posługaczka oraz pośredniczka od wszystkiego.

Charakter: pogodny skąpiec i dusigrosz.

Zainteresowania: „kobra” i Synod.

H. Chrzanowska (Cioteczka).⁽¹²⁶⁾.

¹³⁶ A. Rumun, *op.cit.*, s.381.

Wspomniany przez nią zawód *postugaczki oraz pośredniczki od wszystkiego*, to jej cała życiowa idea. Dziś widzimy ją jako wielką Pielęgniarkę, ona zaś zawsze czuła się zwykłą służącą. *Skapiec i dusigrosz* to jej charakterystyka podejścia do zbierania przez nią datków na fundusz dla chorych, a *kobra* to miłość do widowisk sensacyjnych w telewizji i przede wszystkim – kryminałów . Czytywała je „do poduszki”, gdyż zawsze cierpiała na bezsenność, co jeszcze bardziej nasiliło się w ostatnich latach jej życia⁽¹²⁶⁾. Synod archidiecezji krakowskiej podobnie jak i Sobór Watykański II były jej głównym zainteresowaniem. Cieszyła się nimi, studiowała konstytucje i dekryty, wierzyła w zmiany w Kościele na lepsze. Niestety jej prace w Zespole Synodalnym niebawem przerwała śmierć⁽¹³⁷⁾.

¹³⁷ Ibidem, s.383.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

U KRESU SIĘ

*Śmierć tych,
którzy tworzą dzieła nieśmiertelne,
zawsze jest przedwczesna.
(Pliniusz Młodszy)*

Całe intensywne życie Hanny Chrzanowskiej wydawało się, że będzie trwać bez końca, że ta niewyczerpana energia, która ciągle w niej drzemała nawet po latach, czeka tylko na to, by wybuchnąć przy najbliższej okazji do niesienia pomocy bliźnim. I ta ekspresja dobroci wybuchała, nawet wtedy, gdy to na nią przyszedł czas choroby i cierpienia. Choroba nowotworowa, którą już od dawna zresztą przeczuwała, tylko lekko stłumiła te wybuchy – te porywy dobra, które się z niej wydostawały każdego dnia. Ale tak było dopiero wtedy, gdy nowotwór był już w zaawansowanym stadium.

Dnia 13.12.1966 r. przeszła pomyślną operację, ale już wtedy liczyła się z opuszczeniem ziemskiego świata. Wszystkie te lata po operacji i rekonwalescencji Hanna uważała za dodatkowy dar od Boga, jako czas na uporządkowanie swojego życia, dokończenie wszystkich jeszcze nie pozałatwianych spraw przed jej ostatecznym „przejściem”, do którego przez całe życie starała się przygotować^(129 138).

Nie była już tą samą młodą instruktorką sprzed lat z nieuporządkowanymi notatkami w szufladzie biurka. W ciągu swojego życia stawiała sobie najwyższe wymagania i po latach było to prawdziwym mistrzostwem!

Po prostu wzięła się „w garść” – opisuje jej przyjaciółka. Doszło do tego, że w jej papierach, szafach, szufladach zapanował wzorowy porządek. Prowadziła bardzo skrupulatnie notatki w terminarzu, sprawdzała je codziennie, kończyła zaczęte prace, nie pozwalała sobie na żadne zaniedbania koniecznych spraw. Swojej „dobroczynności” nie traktowała jako łaski dla innych, ale jako sumienny obowiązek miłości wobec drugiego człowieka. Podkreślała to zawsze w pogadankach do ochotniczych pracowników charytatywnych, do młodzieży i wszystkich pomagających z dobrej woli, że dobrowolnie podjęte zobowiązania nie zwalniają nas z solidności, słowności, punktualności

¹³⁸ M. Czech, *op.cit.*, s.23.

i odpowiedzialności wobec innych. Swoim postępowaniem dawała tego najlepszy przykład⁽¹²³⁾.

Pogarszający się stan zdrowia objawiał się także mniejszą tolerancją zmęczenia.

Czasem, bardzo już zmęczona – wspomina jej koleżanka – uciekała na parę godzin do spokojnego mieszkania przyjaciół od stale dzwoniącego w jej domu telefonu. Proszono ją i nagabywano o setki możliwych i niemożliwych rzeczy, nie zawsze licząc się z przyzwoitą porą. Niekiedy wyłączała wieczorem telefon, chcąc sobie zapewnić spokojną noc. To załatwianie nie kończących się telefonów musiało nieraz szarpać jej nerwy. Czasem – westchnąwszy – podnosiła oczy do góry i słuchawkę do ucha, odpowiadając spokojnie i cierpliwie, a że często zmuszona była do odpowiedzi odmownych lub niezadowolających drugą stronę, starała się wyrazić bodaj swoje współczucie i zainteresowanie. W miarę możliwości usiłowała te różne ludzkie prośby zaspokajać, choćby po pewnym czasie, i często się to udawało⁽¹²³⁾.

Przez większość życia dokuczało jej okresowe nadciśnienie i alergia, co bardzo ją rozdrażniało, gdyż musiała włożyć wiele wysiłku w opanowanie dolegliwości⁽¹²³⁾. Nawet wtedy nie przestawała pracować, nie gubiła poczucia humoru czy uśmiechu ze swej twarzy, choć mówiła o tych okresach, że jest „w złej skórze”. Od kilku lat dokuczał jej też ból nogi, choć i tak najgorzej czuła się w czasie leczenia radioterapią⁽¹²²⁾. W całej tej chorobowej atmosferze wszystko znosiła dzielnie i bez narzekań, jak ta mała Hania przed wielu laty w Szpitalu Karola i Marii w Warszawie.

Mimo widocznego w ostatnich latach uszczerbku sił – wyznaje jej przyjaciółka – pracowała wciąż bardzo intensywnie. Tkwiła po uszy w życiu, a jednak my, bliżej znający Cioteczkę, widzieliśmy jak coraz bardziej się od niego odrywa. To było coś nieuchwytnego w całym jej nastroju i nastawieniu. I nie tylko dlatego, że porządkuje różne swoje sprawy domowe i rodzinne, likwiduje bibliotekę ojca, wyprzedaje i rozdaje różne swoje rzeczy.

Wszystkie swoje oszczędności i rzeczy Hanna przeznaczyła dla chorych. Pozostałe, cenne pozycje z biblioteki ojca, prof. Ignacego Chrzanowskiego, przypadły w darze dla Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Nie przechowywała żadnych osobistych listów i pamiątek, poza niektórymi listami chorych i zdjęciami rodzinnymi, przekazanymi po jej śmierci członkom rodziny⁽⁹⁷⁾.

Cioteczka szczególnie przez ostatnie dwa lata swojego życia, coraz bardziej się z nim żegnała. Dla obcych, pacjentów, tych którzy dobrze jej nie znali było to niedostrzegalne. W całym tym wirze swojego życia, częściej niż dawniej, uciekała na „pobocze”, wyciszała się, żegnała. W spokoju oblicza Bożej Miłości przechodziła przez swoją chorobę i osobiste dla niej etapy umierania, zbliżania się do śmierci. To jej dojrzewanie do życia wiecznego na pewno dużo ją kosztowało. Choć zawsze tęskniła i

wyczekiwała tamtego życia żal jej było tego wszystkiego i tych wszystkich, których miała tu zostawić. Wyrażała to niejednokrotnie w swoich luźnych zapiskach:

Trzebinia 1971. Rekolekcje chorych.

28.V. Topole pachną Mazowszem. Bzów już nie ma. Kwitną irysy. W alei topolowej króciutka moja Droga Krzyżowa. Chryste, daj, żebym zapomniała tutaj o krzywdzie (śmiesznie małej), jaka mnie spotkała. Daj, żebym tu tylko żyła dla Chorych – dla Ciebie.

Żebym zapomniała? Pamięć nie zginie. Niech zginie we mnie żal. I niech będę pod Twoją, Matko moja – opieką. Pod Twoim płaszczem. Wstaw się za mną naprawdę biedną z tymi rozhuśtanymi nerwami. Nie będę narzekała więcej na brak sił. Na ich uciekanie. Uciekają przecież nie w niewiadome. Każdy siwiejący włos niech będzie radośnie przyjęty – zapowiedź odlotu do Ciebie. Każdy krok obolałej nogi zbliża mnie do Ciebie. Ojcie. [...]

Kraków 14.V.71

Przedwczoraj koniec rekolekcji.

Jestem tak jeszcze zmęczona, że muszę się starać zmęczenie ofiarować Bogu jako wdzięczność! Gdzieś pójść – gdzieś pielęgnować przez wdzięczność.

Roztoki 24.VIII.71.

Wczoraj spowiedź na Górcze. Potęga Sakramentu. Obecność Chrystusa. (A sama spowiedź zwykła bardzo, nikła!) Potęga jakże wyczuwalna.

Niech nie będzie we mnie głupich nastrojów, uzależnień od czyichś słów, zachowania się, pogody. Mam przed sobą już tak mało czasu. Niechaj biegnę na przelaj, a nie grzebiąc się w trzęsawisku. Boże, Ojcie mój, przyjmij mnie, gdy dobiegnę. Przyjmij co chwilę, teraz, Ty, który jesteś Wielkim Teraz⁽¹³⁹⁾.

I biegła... Kontynuowała ten swój „bieg na przelaj” jeszcze niecałe dwa lata, aby u kresu sił dobiec do mety swojego życia i odebrać nagrodę, którą dla niej zawsze był sam Bóg. 12 lutego 1973 r. wygłosiła na spotkaniu Dyrektorów Diecezjalnych Duszpasterstwa Dobroczynności swój ostatni referat pt.: *Apostolstwo świeckich w opiece nad chorymi*⁽¹⁴⁰⁾. W marcu 1973 jak zwykle udała się na swój krótki, zimowy urlop. Hanna wróciła z niego jednak bardzo osłabiona i po kilku dniach choroba położyła ją do łóżka, z którego już nigdy nie wstała. Oto jak ten ostatni etap życia Cioteczki relacjonuje jej przyjaciółka: *Usiłowała – wspomina – jeszcze coś załatwić przez telefon, ale i na to nie starczało sił.*

¹³⁹ A. Rumun, *op.cit.*, s.384-385.

¹⁴⁰ A. Rumun, *Hanna Chrzanowska w Duszpasterstwie Chorych Archidiecezji Krakowskiej*, w: *Promieniowanie posługi* Oprac. K. Kubik, Kraków 1999, s.42.

Gdy jej kuzynka w czasie jednej z tych ostatnich telefonicznych rozmów wspomniata ze współczuciem, że cierpi, powiedziała po prostu: „tak, ale to bardzo zbliża do Boga”.

Choroba robiła z dnia na dzień tak gwałtowne postępy, że po tygodniu Hanna potrzebowała już pomocy w najdrobniejszych rzeczach. Dokuczająca od wielu lat noga bolała dotkliwie uniemożliwiając sen. Krańcowe wyczerpanie, brak apetytu, bóle głowy, trudności w mówieniu. W czasie krótkiego, przerywanego snu – dręczące majaki. Męczyli ją nie tylko goście (tych nie mogła przyjmować już po kilku dniach), ale nawet obecność domowników i opiekunek. Tylko parę najbliższych jej osób z rodziny i przyjaciół odwiedziło ją na chwilę. Jedyne odwiedziny, z których cieszyła się i na które czekała – to wizyty ks. kardynała Karola Wojtyły.

Z Cioteczki uciekało życie. Znikł towarzyszący jej przez całe życie humor. Nie miała już na nic sił.

O szpitalu nie było mowy. Była tak uczulona na lizol, antybiotyki i wiele innych rzeczy, że od paru lat nie mogła nawet przekroczyć progu szpitalnego. Widzieliśmy zresztą, że nie ma już żadnej rady. Najważniejszy był zupełny spokój i troskliwa pielęgnacja. Odwiedzali ją zaprzyjaźnieni lekarze. Należy im się szczególna wdzięczność, że starali się zawsze przynieść chorej ulgę nie wymyślając i nie stosując męczących zabiegów i tak już skazanych na niepowodzenie.

Znajome pielęgniarki i siostry dyżurowały przy niej bez przerwy. Co dzień przychodził ksiądz z Panem Jezusem (niekiedy udawało się jej wtedy zrobić znak krzyża), kilkakrotnie w jej pokoju odprawiona była Msza św. 12.IV przyjęła namaszczenie chorych.

Była bardzo cicha i spokojna. Mówiła niewiele i nie zawsze mogła się jasno wypowiedzieć. [...] Czasem tylko kilka urywanych słów, jakieś zdanie. Powtarzała często: „Oto ja, służebnica Pańska”. Prosiła czasem, aby jej czytać psalmy, zwłaszcza ps. 50 i ps. 18 („od nieznanych grzechów oczyść mnie”), „Pieśń trzech młodzieńców” komplecie.

„Żeby nie ta praca, tak bym chciała odejść, nie – żeby uciekać, tylko żeby tam już być”. Kiedyś westchnęła: „tyle lat pracowałyśmy razem, a teraz smutno. Ale trudno (...) Pan Bóg jest taki strasznie dobry, okropnie dobry – to wielkie szczęście, że mogłyśmy tak pracować, pomyśl, ile się dobrego ludziom zrobiło, ile pomogło. [...] Smutno mi, że chorzy w szpitalu nie mają opieki. (...) Tyle wspomnień, z Warszawy, z Krakowa (...). Boże, jacy ludzie są dla mnie dobrzy”. Na pytanie jednej z zakonnicek, co ma przekazać od niej siostronom, powiedziała: „Niech się modlą i bardzo kochają Pana Boga, bo to najważniejsze”.

W poniedziałek Wielkiego Tygodnia (chyba straciła już rachubę dni) prosiła, żeby jej zaśpiewać wielkosobotnie Exultet. Potem szeptała: „jakie to cudowne”. A w ostatnich

dniach: „dlaczego tak długo trzeba czekać? Czy to już? Już... już...”

Wieczorem, 28 kwietnia zasnęła, a może i straciła przytomność? W Białą Niedzielę, 29.IV o czwartej nad ranem odeszła cicho i spokojnie, w czasie tego snu⁽¹⁴¹⁾.

Trumnę z ciałem Hanny przeniesiono do kościoła Sióstr Karmelitanek Bosych, mieszczącego się po drugiej stronie ulicy Łobzowskiej, niemalże naprzeciwko kamienicy, gdzie Cioteczka dotąd mieszkała. Przez lata jej życia ten niewielki kościółek był najbliższą przystanią jej domu, gdzie nabierała sił do ciężkiej codziennej pracy. Teraz jej zmęczone ciało spoczęło w nim po raz ostatni, by umocnić się przed ostatnią podróżą jej życia. W wiosenne popołudnie, 2 maja 1973 r. ks. Kardynał Karol Wojtyła odprawił w kościółku Sióstr Karmelitanek mszę św. żałobną za duszę Cioteczki. Podczas mszy ks. Kardynał zacytował fragment żegnającego pielęgniarki listu:

„Niech Ksiądz Arcybiskup powie im, że fakt mojego odejścia w niczym nie może umniejszyć ich zapału: że ja im tylko pomogłam, a teraz muszą się same trzymać naszej linii pielęgnowania ludzi w ich psychofizycznym całokształcie; służenia prostą obsługą, umiejętną, mądrą, ale właśnie prostą. Niech się trzymają razem, niech stanowią jedno, niech się cieszą radością z miłosierdzia – jak mówi św. Paweł; ale niech też – jak on zaleca – płaczą z płaczącymi.” [...]

Odczytałem kilka zdań z listu, – komentował dalej nasz obecny Papież – który pani Hanna skierowała do mnie w r. 1966, kiedy była na operacji: 13.XII.66; i wtedy już liczyła się poważnie z możliwością odejścia. Ten list otrzymałem dopiero po jej śmierci. Wręczono mi go z wyraźnym życzeniem chorej, ażeby po śmierci dopiero ten i drugi jej list odczytał.

Odczytałem. A to, co należy do wszystkich tutaj zgromadzonych, to z tego listu odczytałem teraz głośno. – I myślę, że to jest zasadnicza, istotna część tego wszystkiego, co mógłbym nad tą trumną powiedzieć. Zasadnicza i istotna. Wiem, że bardzo trudno byłoby mówić o niej. I chyba lepiej, że ona mi to ułatwia. To jest zarazem jakaś prawda o chrześcijaństwie. To jest ta prawda, którą wyraził Sobór mówiąc, że życie chrześcijańskie jest z natury swojej apostołskie: że wszyscy chrześcijanie na różne sposoby mają doprowadzać świat do Chrystusa. Więc, kiedy odchodzą z tego świata, tak jak ona odeszła, to chyba powinni – tak jak ona uczyniła w tych słowach – przekazać swoje postannictwo.

Właśnie to chcemy tutaj nad tą trumną przede wszystkim wyrazić i przede wszystkim odebrać. I cóż jeszcze?

Jeżeli tak wolno powiedzieć, to powiem: dziękujemy Ci, Pani Hanno, za to, że byłaś wśród nas; że byłaś taka, jaka byłaś. Dziękuję Ci za to opiekunki chorych, siostry zakonne,

¹⁴¹ A. Rumun, *Hanna Chrzanowska*, w: *Chrześcijaństwo* pod red. B. Bejze, Akademia Teologii Katolickiej, Warszawa 1978, t.3, s.385-386.

pielęgniarki, młodzież akademicka – cały Kościół krakowski. Dziękuję Ci za to jako biskup Kościoła krakowskiego. Byłaś dla mnie ogromną pomocą i oparciem.

A raczej dziękujemy Bogu za to, że byłaś wśród nas, taka jaka byłaś, z tą Twoją wielką prostotą, z tym wewnętrznym spokojem, a zarazem z tym wewnętrznym żarem; że byłaś wśród nas jakimś wcieleniem Chrystusowych błogostawieństw z Kazania na Górze; zwłaszcza tego, które mówi: „Błogostawieni miłosierni”. Że byłaś jakąś zapowiedzią tych ostatnich słów, które usłyszymy wszyscy – Ty je już słyszałaś; chyba szczególnie w tych ostatnich słowach uwatydnił Pan Jezus to: „... byłem chory, a zaopiekowaliście się mną”. „Byłem chory naprzód w różnych klinikach i szpitalach Krakowa; byłem chory w różnych domach, na poddaszach i w suterrenach; byłem chory i często całymi tygodniami zapomniany od ludzi – znalazłaś mnie albo sama, albo przez Twoje siostry, zaopiekowałaś się mną...”

Dziękujemy Panu Bogu za to życie, które miało taką wymowę, które pozostawiło nam takie świadectwo: tak bardzo przejrzyste, tak bardzo czytelne. I dziękujemy także za tę śmierć, której po ludzku nie chcieliśmy, bo nam byłaś bardzo potrzebna. Ale ufamy, że przyszła w sam czas, i patrzyliśmy na to jak się zbliżała, i rozmawialiśmy z Tobą i podziwialiśmy tę wielką Twoją dojrzałość do tego, ażeby odejść, mając tak bardzo głęboko serce wrosnięte w tyłu ludzi, do tego, ażeby odejść, do tego, ażeby się spotkać... Dlatego dziękujemy Panu Jezusowi również za tę Twoją śmierć.

Bo chociaż jest ona dla nas wielką stratą, to ufamy, że nadal będziesz myślała o wszystkich chorych Krakowa i archidiecezji, a także i poza Krakowem i poza archidiecezją; i o wszystkich Twoich siostrach, o tych wszystkich pielęgniarkach, pielęgniarstwie parafialnym, które tak wspólnie zorganizowałaś w naszym Kościele.

I dlatego myślimy z ufnością o przyszłości Twojego dzieła wśród nas. A nade wszystko myślimy z ufnością, z nadzieją o tej Twojej terażniejszości, która się zaczęła razem ze śmiercią i poprzez śmierć, do której weszłaś tak przygotowana, tak właściwie bardzo pragnąca już odejść...

Z tymi uczuciami otaczamy Twoją trumnę. Modlimy się za Ciebie, ażeby światłość wiekuista świeciła Ci, ażebyś znalazła wieczny odpoczynek, ażeby się wypełniło do końca Twoje powołanie; ażebyś spotkała Tego, którego tak bardzo pragnęła Twoja dusza poprzez wszystkie pragnienia życia na ziemi.

I z tą myślą też, po zakończeniu Najświętszej Ofiary, otoczmy Twoją trumnę w modlitwie, a potem odprowadzimy ją na cmentarz, ażeby tam spoczęła, i żeby tam, spoczywając na ziemi, pozwałała Ci oczekiwać dnia zmartwychwstania, do którego przygotowywałaś swoją duszę i ciało przez całe Twoje życie, przez całe Twoje posługiwanie, do którego przygotowywałaś i siebie, i nas.

Niech będą dzięki Bogu miłosiernemu za Twoje życie; niech nagrodą Twoją będzie sam Pan; niech promieniowanie Twojej postugi trwa wśród nas i wszystkich nas nieustannie poucza, jak służyć Chrystusowi w bliźnim. Amen⁽¹⁴²⁾.

Po mszy św. Ks. Kardynał towarzyszył Hannie w jej ostatniej drodze do grobowca, gdzie przed wieloma laty Hanna kolejno żegnała na cmentarzu Rakowickim całą swoją rodzinę. Spoczęła przy tej samej alei, przy której przed laty spoczął Brat Albert Chmielowski, który podobnie jak ona poświęcił swe życie dla innych, tych najbardziej potrzebujących.

Dzień był prawie upalny, majowy, piękny – opisuje pogrzeb Hanny jej przyjaciółka. – Niezliczone tłumy ludzi, dziesiątki sióstr zakonnych, księży, pielęgniarek i uczennic szkół pielęgniarskich w mundurach. Wśród nich wielu chorych na wózkach inwalidzkich, prowadzonych przez studentów. Panowała powaga i ogólne wzruszenie. Na końcu Ks. Kardynał zaintonował „Magnificat”⁽¹⁴³⁾.

Tak Kraków żegnał swoją Cioteczkę. Chorzy żegnali ją ze świadomością utraty największego powiernika swej ziemskiej niedoli. Żegnali tę, która w tym współczesnym zabieganym świecie, potrafiła zatrzymać się nad cierpiącym człowiekiem. W swojej prostocie i autentyczności potrafiła również zatrzymać wiele innych młodych i starszych osób, aby je porwać w ogień ludzkiej miłości niesienia zwyczajnej, codziennej pomocy chorym ludziom.

Czy naprawdę odeszła? Może tylko przekroczyła próg śmierci, aby dalej cieszyć się nowym, już pozbawionym cierpienia życiem. Czy w tym pięknym majowym dniu, chorzy utracili Tę, która do końca ich umiłowała? A może raczej zyskali Orędowniczkę swoich codziennych, okrytych płaszczem choroby, modlitw? A mimo to, brak słów pożegnań, brak wyrazów wdzięczności wedle tego kim była i jest dla nas wszystkich – chorych i zdrowych, tych którzy znali ją osobiście i tych, którzy zaszczytu tego nigdy nie zdołali dostąpić. Niech więc po raz ostatni, nauczy nas Cioteczka pożegnań, dalekich od przytłaczającego ludzkiego sentymentalizmu – pożegnań, które przed laty wyraziła w swojej modlitwie:

¹⁴² Ibidem, s.386-388.

¹⁴³ Ibidem, s.386.

Krzyż na piaskach

*Nie wiem ile, mój Boże,
Gotujesz mi jeszcze czasu.
Może nie pójdę do lasu,
Do lasu sosnowego.*

*Może mnie nie dobiegną
Podniebne dzwonki skowrończe?
Modlitwy tej nie skończę,
Na ziemi nie ujrzę słońca,
Bo dzisiejszy deszcz może
Nie będzie miał dla mnie końca!*

*A może mi jeszcze gotujesz
Lat długie, długie szeregi,
Aż włosy moje osnuje
Biel jako pierwsze śniegi?*

*Modlitwa Twego Syna
„Niech wola Twoja się stanie”
Nie gardź, że we mnie, Panie,
Cichą się prośbą nagina:*

*Niech ręka śmierci nie zatrze
Ostrości mego spojrzenia,
Niechaj z radością patrzę
W grające Twoje przestrzenie:*

*Niech umierając nie płaczę
Bólem ludzkim zgarbiona,
Że nigdy już nie zobaczę
Jak ruń się śmieje zielona!*

*Pochwalon bądź na Twej tęczy
I pośród woni łubinu –
Wielkością Twoją dźwięczy,
Chór ptaków i serafinów.*

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

„NON OMNIS MORIAR”⁽¹⁴⁴⁾

Tak jak Horacy na zawsze pozostał w swoich utworach, tak Hanna Chrzanowska przetrwała w swojej niewielkiej spuściźnie literackiej, w dziele niesienia pomocy pacjentom domowym, a także tym wszystkim, których spotkała na swej drodze i którzy tej jej pomocy naprawdę potrzebowali. Przede wszystkim, przetrwała w pamięci i wspomnieniach tych, którzy z nią współpracowali, którzy się od niej uczyli i którym jaśniała, w tym ludzkim szarym życiu, swoją dobrocią i pomocą.

W poszukiwaniu śladów wspomnień o Hannie Chrzanowskiej zdołałam dotrzeć do osób, na twarzach których, na dźwięk jej imienia, maluje się zawsze pogodny uśmiech. Jedną z tych osób jest Pani Zofia Szlendak-Cholewińska, wieloletnia instruktorka pielęgniarstwa domowego, a także uczennica, a potem współpracownica Hanny Chrzanowskiej. Oto fragment jej wspomnień:

Cioteczkę poznałam około roku 1950 – wspomina Pani Zofia. Byłam uczennicą w krakowskiej szkole, a ona prowadziła wykłady z pielęgniarstwa otwartego. To były jedyne wykłady, których słuchało się z zapartym tchem, z szeroko otwartymi oczyma, na które się chodziło z wielką ciekawością. Prowadziła je świetnie! Często odgrywała i angażowała nas w różne scenki, które mogłyśmy potem zastać w środowiskach. Problemy, które z nich wynikały, rozwiązywałyśmy praktycznie. Uczyła nas jak się zachować w różnych, często nieprzewidzianych sytuacjach w domu pacjentów. [...]

Gdy skończyłam szkołę dostałam odgórny przydział [...] do pracy w charakterze instruktorki pielęgniarstwa chirurgicznego. [...] I wtedy Cioteczka zaproponowała mi przeniesienie na Katedrę Pielęgniarstwa Otwartego. Zgodziłam się i tak się zaczęła moja bliższa współpraca z Cioteczką... [...]

Na co dzień, gdy chodziłyśmy po domach, albo jak to się po prostu wśród uczennic nazywało: „na dziady”, dawała nam dużo swobody. Przynajmniej my tak to odczuwałyśmy. Ale kontrolowała nas swoimi sposobami. Kontrolowała nas, ale tak, że o tym nie wiedziałyśmy. [...]

¹⁴⁴ Cytat zaczerpnięty z Horacego (*Pieśni* 3, 30, 6); łac., nie wszystek umrę.

„Uczulała” nas na to, że szczególnie ważne jest to, co chory czuje i myśli. Uczyła nas, że chory w tym wszystkim jest najważniejszy! Kładła nacisk na to, żeby w otoczeniu pacjenta niczego nie zmieniać nawet na jotę! Po naszym wyjściu od chorych wszystko musiało być poukładane wokół pacjenta w takim porządku, jak przed naszym przyjściem. Cioteczka uważała, że to jest szalenie ważne, żeby w to otoczenie pacjenta nie wprowadzać żadnych zmian, nie robić niepotrzebnego chaosu, żeby cierpiący pacjent po naszym wyjściu, mógł się w tym swoim domu odnaleźć. Odkładałyśmy więc każdą łyżeczkę, chusteczkę itp. inne rzeczy idealnie na swoje miejsce. Bardzo tego pilnowała. Ale jakie to ma naprawdę wielkie znaczenie przekonałam się dopiero, gdy sama przeszłam przez ciężką chorobę. Skąd ona to wszystko wtedy przed laty wiedziała? Nie wiem. [...]

Zawsze można było na nią liczyć. Nigdy nie odmówiła mi pomocy przy pacjencie. Trudne środowiska, szczególnie te, gdzie trzeba się było ciężko napracować, lubiła najbardziej i chętnie tam chodziła. Mówiła o nich, że im więcej trzeba włożyć pracy, tym ma z tego większą frajdę. Ale przede wszystkim w całym jej życiu cechował ją ogromny szacunek dla drugiego człowieka – dla każdego człowieka [...]. Podchodziła do tego z jakimś wręcz pietyzmem.

Wspomnieniom brak końca... Nawet teraz, po tylu latach od śmierci Cioteczki, gdy przywołuje się Jej wspomnienia, wytwarza się pełna niezwykłego ciepła i jakiejś niewypowiedzianej radości atmosfera, jakby uczucie jej obecności.

Równie chętnie wspomina Hannę Chrzanowską Pani Maria Prokopczyk, która ukończyła szkołę krakowską, jako absolwentka jej XXV kursu w 1946 r.

Z Panią Chrzanowską nie miałam dużo styczności, bo byłam na położnictwie – opowiada o swoim kontakcie z bohaterką. Pamiętam ją z wykładów, które prowadziła i z obrony dyplomu. [...] Jak byłam na praktyce w poradni dziecięcej, to miałam kontakt z Panią Chrzanowską. Zaraz po skończeniu szkoły byłam na oddziale położniczym instruktorką. [...]

Pamiętam Ją... Była bardzo życzliwa dla uczennic. Była pełna życzliwości dla ludzi. Była ostatnią, która by potępiła człowieka za takie czy inne postępowanie. Zawsze starała się podać pomocną rękę. Jeśli chodzi o sprawy zasadnicze [...] to, co powinno być zrobione, to musiało być zrobione [...] w sensie pomocy temu potrzebującemu człowiekowi. [...]

Pani Chrzanowska była w komisji egzaminacyjnej na moim egzaminie dyplomowym i bardzo mi w tym trudnym momencie pomogła. Odpytywano mnie bez końca i ona wtedy stanowczo powiedziała: „Dość już! Dość! Wystarczy!”. Wiem, że potem była jeszcze walka o mój stopień. I wiem, że ona mi w tej walce bardzo pomogła. [...]

Miałam takie trudności życiowe, gdzie ona była dla mnie bardzo życzliwa. Doznałam od niej osobistej życzliwości, gdzie ktoś inny mógłby mnie po prostu potępić. Była zdolna do tolerancji rozumiejącej każdego człowieka. Bez względu na sytuację, nigdy nikogo nie potępiła. To był cudowny człowiek zasługujący na kanonizację! [...]

Nie była przy tym dewotką. Nie manifestowała wiary. To było jej osobiste odczucie, jej święto wewnętrzne. [...] W tym wszystkim poczucie humoru to miała fantastyczne! I ten jej uśmiech, który nie schodził jej z twarzy – zawsze uśmiech!

My Ją teraz daleko „pchamy”, bo w poczet świętych, ale ona doszła do tego, czemu całe życie była wierna: życzliwość, dobroć, uśmiech, poświęcenie, obowiązkowość. Nie sięgała dalej, ale kontynuowała tylko to, co było treścią jej życia.

Można by słuchać godzinami niekończących się opowieści o tej opiekunce uciśnionych i zastraszonych chorobą ludzi. Bez względu na to, kogo się słucha, czy czyje wypowiedzi się czyta, nasuwa się jeden wniosek. Wszyscy mówią o dobroci, o szacunku, o tym z jaką powagą i chęcią pomocy podchodziła Hanna Chrzanowska do każdego człowieka. Nawet przyznany jej przez przyjaciół nieformalny, ale chyba najpiękniejszy wśród odznaczeń, które otrzymała, tytuł *Cioteczki*, dowodzi jakim wielkim ciepłem cechowała się w kontaktach międzyludzkich i jaką miłością darzyli ją ci, którzy tak się do niej zwracali.

Myślę, że te trzydzieści jeden lat od Jej śmierci w pamięci ludzi, którzy ją znali, niczego nie zatarły. Choć krąg osób, które znały ją osobiście, z biegiem lat, coraz bardziej się zawęża, wciąż jeszcze można usłyszeć o Cioteczce *m i l i o n y*, płynących z serca, dobrych słów. Opinii negatywnych na Jej temat, przy przeprowadzonych rozmowach i wnikliwej analizie zebranej dokumentacji – *b r a k*.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W KRĘGU ŚWIĘTYCH

*Bohaterami na co dzień
są tylko święci.*
(ks. Bronisław Bozowski)

Wiele lat po śmierci Hanny Chrzanowskiej w sercach jej najbliższych współpracownic, pod wpływem wewnętrznych przekonań, zrodziła się myśl, wyniesienia Hanny Chrzanowskiej na ołtarze. Inicjatorką była pani Zofia Szlendak-Cholewińska, która podzieliła się swoim pomysłem z koleżankami. W 1993 r., po mszy św. z okazji dwudziestej rocznicy śmierci Hanny Chrzanowskiej, członkinie Katolickiego Stowarzyszenia Pielęgniarek i Położnych w Krakowie, podzieliły się swoją myślą o beatyfikacji Hanny z uczestnikami spotkania.

Przez beatyfikację rozumie się [...] akt papieski zezwalający na kult publiczny S.B. (służebnicy Bożej) ograniczony do w jakiegoś kraju, miasta, diecezji lub rodziny zakonnej lub ograniczony do określonych dekretem papieskim aktów, np. mogą dotyczyć odprawiania mszy św., recytowania oficjum brewiarzowego o błogostawionym. [...] Przez akt beatyfikacji rozwiązuje się potrzeby pastoralne Kościołów lokalnych w zakresie kultu świętych⁽¹⁴⁵⁾.

Członkinie KSPiP w Krakowie, 4.12.1995 r. zwróciły się do Ks. Abp Kardynała Franciszka Macharskiego, z oficjalną prośbą o rozpoczęcie starań, zmierzających do wyniesienia na ołtarze Hanny Chrzanowskiej. W marcu 1997 r. Ks. Kardynał powołał Komisję Historyczną, której zadaniem było zebranie dokumentacji dotyczącej życia i działalności Hanny Chrzanowskiej. Uwieńczeniem prac komisji było otwarcie procesu beatyfikacyjnego 3.11.1998 r. w Kaplicy Arcybiskupów Krakowskich. Zamknięcie procesu na szczeblu diecezjalnym miało miejsce 12.12.2002 r.

W styczniu 2003 r. dokumenty procesowe zostały złożone w Kongregacji do Spraw Świętych w Watykanie, gdzie dokonuje się realizacja dalszego toku procesu beatyfikacyjnego S.B. Hanny Chrzanowskiej.

¹⁴⁵ H. Misztal., *Prawo kanonizacyjne według ustawodawstwa Jana Pawła II*, Wydawnictwo Diecezjalne, Sandomierz 1997, s.89.

W parafii p.w. św. Mikołaja w Krakowie, w trzecią środę każdego miesiąca roku, sprawowana jest wieczorna msza św. w intencji rychłej beatyfikacji S.B. Hanny Chrzanowskiej, a także z prośbą o łaski za Jej pośrednictwem. Oprócz mszy św. wiele osób w Krakowie, jak i poza jego granicami, łączy się duchowo w ww. intencjach w codziennych, indywidualnych modlitwach.

PIŚMIENNICTWO

ŹRÓDŁA NIEDRUKOWANE:

1. Archiwum Kurii Metropolitalnej Krakowskiej przy parafii p.w. św. Mikołaja w Krakowie, *Pamiętnik Hanny Chrzanowskiej* – maszynopis.

ŹRÓDŁA DRUKOWANE:

2. Chrzanowska H., *Jaka powinna być pielęgniarka?*, „Pielęgniarka Polska”, październik-listopad 1933, nr 10-11.
3. Chrzanowska H., *Ksiądz Baudouin*, „Pielęgniarka Polska”, wrzesień-październik 1938, nr 9-10.
4. Chrzanowska H., *Maria Epsteinówna*, „Pielęgniarka Polska”, marzec 1931, nr 3.
5. Chrzanowska H., *Miłosierdzie Skargi*, „Pielęgniarka Polska”, czerwiec 1936, nr 12.
6. Chrzanowska H., *Od redakcji*, „Pielęgniarka Polska”, czerwiec 1939, nr 6.
7. Chrzanowska H., *O odwiedzinach w rodzinie gruźliczej*, „Pielęgniarka Polska”, maj-czerwiec 1930, nr 5-6.
8. Chrzanowska H., *O organizacji szkół pielęgniarstwa w Polsce*, „Pielęgniarka Polska”, lipiec 1929, nr 1.
9. Chrzanowska H., *O pielęgniarstwie i szkolnictwie pielęgniarstwie*, „Pielęgniarka Polska”, styczeń i luty 1938, nr 1 i 2.

10. Chrzanowska H., *Pielęgniarka w walce z alkoholizmem*, „Pielęgniarka Polska”, październik 1931, nr 10.
11. Chrzanowska H., *Pielęgniarstwo za granicą*, „Pielęgniarka Polska”, lipiec-sierpień 1935, nr 7-8.
12. Chrzanowska H., *Prace zagraniczne stowarzyszeń pielęgniarskich*, „Pielęgniarka Polska”, styczeń-luty 1936, nr 1-2.
13. Chrzanowska H., *Schronisko Towarzystwa „Ratujmy Niemowlęta” w Warszawie*, „Pielęgniarka Polska”, lipiec-sierpień-wrzesień 1933, nr 7-8-9.
14. Chrzanowska H., *Szpitalne i pielęgniarstwo szpitalne w Polsce*, „Pielęgniarka Polska”, grudzień 1938, nr 12.
15. Chrzanowska H., *Szpitalne londyńskie*, „Pielęgniarka Polska”, luty 1938, nr 2.
16. Chrzanowska H., *Szpitalnictwo dziecięce*, „Pielęgniarka Polska”, lipiec-sierpień 1938, nr 7-8.
17. Chrzanowska H., *Z pracy przeciwgruźliczej*, „Pielęgniarka Polska”, lipiec 1930, nr 7.
18. *Dziennik Ustaw RP*, 1935, poz.109, art.1.
19. *Encyklopedia popularna PWN*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1993.
20. Iżycka A., *Pielęgnowanie ubogich chorych w domach*, „Pielęgniarka Polska”, styczeń-luty 1935, nr 1-2.
21. Iżycka A., *Początki pielęgnowania obłożnie chorych*, „Pielęgniarka Polska”, styczeń-luty 1934, nr 1-2.
22. Kohenowa M., *Zakres pracy pielęgniarki społecznej na prowincji*, „Pielęgniarka Polska”, styczeń-luty 1934, nr 1-2.

23. *Kronika Polski*, Reader's Digest Przegląd, Warszawa 2000.
24. *Multimedialna encyklopedia PWN na dwóch płytach*, Wydawnictwo Naukowe PWN SA, Warszawa-Wrocław 2000.
25. Orzechowska S., *Pielęgniarstwo przyszpitalne*, „Pielęgniarka Polska”, styczeń-luty 1934, nr 1-2.
26. *Słownik języka polskiego PWN*, Warszawa 1978, t.1.

OPRACOWANIA:

27. Ginalska A., Głos w dyskusji, w: *Promieniowanie postugi* Red. K. Kubik, Kraków 1999.
28. Iżycka I., Głos w dyskusji, w: *Promieniowanie postugi* Red. K. Kubik, Kraków 1999.
29. Knabit L., Głos w dyskusji, w: *Promieniowanie postugi* Red. K. Kubik, Kraków 1999.
30. Kubik K., Głos w dyskusji, w: *Promieniowanie postugi* Red. K. Kubik, Kraków 1999.
31. Misztal H., *Prawo kanonizacyjne według ustawodawstwa Jana Pawła II*, Wydawnictwo Diecezjalne, Sandomierz 1997.
32. Rumun A., *Hanna Chrzanowska*, w: *Chrześcijanie* Red. B. Bejze, Akademia Teologii Katolickiej, Warszawa 1978, t.3.
33. Rumun A., *Hanna Chrzanowska w Duszpasterstwie Chorych Archidiecezji Krakowskiej*, w: *Promieniowanie postugi* Red. K. Kubik, Kraków 1999.
34. Seyda B., *Dzieje medycyny w zarysie*, PZWL, Warszawa 1962, część I.

ADRESY INTERNETOWE:

35. <http://www.sluzbazdrowia.com.pl/html/more2931b.html>, dane z dn. 09.02.2004.
36. <http://www.zms.tarnow.pl/opatroni.htm>, dane z dn. 09.02.2004.
37. <http://www.zrodlo.krakow.pl/archiwum/2003/17/08.html>, dane z dn. 09.02.2004.

RELACJE USTNE:

38. Relacja ustna z Panią Zofią Szlendak-Cholewińską, współpracownicą Hanny Chrzanowskiej z lutego 2004 r.
39. Relacja ustna z Panią Marią Prokopczyk, uczennicą i koleżanką z grona pedagogicznego z kwietnia 2004 r.
40. Relacja ustna z Ks. Kazimierzem Kubik z parafii p.w. św. Mikołaja w Krakowie, duszpasterzem Katolickiego Stowarzyszenia Pielęgniarek i Położnych w Krakowie z czerwca 2004 r.

A N E K S

- **Załącznik nr 1:** Album.

- **Załącznik nr 2:** *Uwagi o pielęgniarstwie parafialnym (do roku 1970).*

- **Załącznik nr 3:** *Sprawozdanie z pracy pielęgniarstwa parafialnego w Krakowie za miesiąc listopad 1958 r.*

- **Załącznik nr 4:** *Rodzaj udzielanej pomocy pielęgniarstwie oraz ilość odwiedzin miesięcznie w r. 1958 w ramach pielęgniarstwa parafialnego.*

- **Załącznik nr 5:** *Zaświadczenie wydane przez Ks. Kardynała Karola Wojtyłę.*

- **Załącznik nr 6:** *Życzenia świąteczne otrzymane od Ks. Bp Karola Wojtyły.*

ALBUM

Hanna



Chrzanowska

Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą...

(ks. Jan Twardowski)



Rodzice Hanny.

Gdy odchodzą nasi rodzice, świat staje się obcym i pustym miejscem.

(Emily Dickinson)



Hania w ok. 5 roku życia w raz ze swoim bratem Bogdanem.

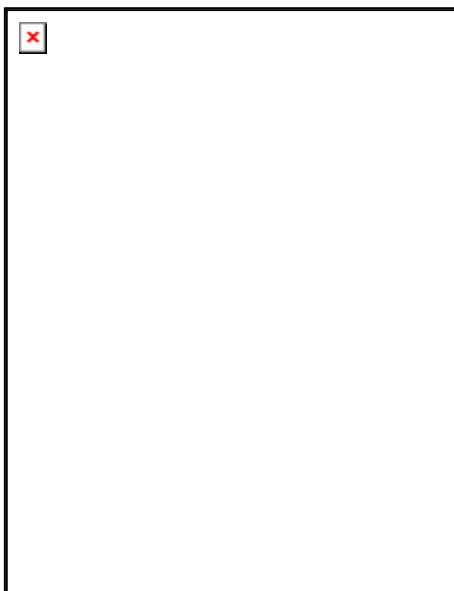
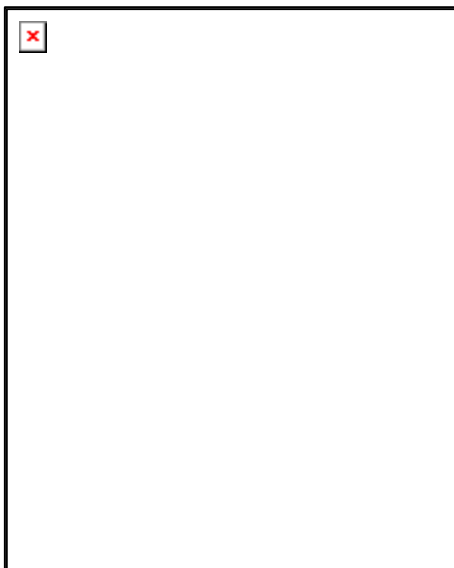


Hania.

*Dzieci nie mają przeszłości ani przyszłości,
natomiast to, co nam się niemal nie zdarza, cieszą się chwilą.*

(Jean de La Bruyère)





Hania w wieku szkolnym i ok. szesnastego roku życia.



**Budynek dawnej Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higienistek
w Krakowie**
przy ul. Kopernika

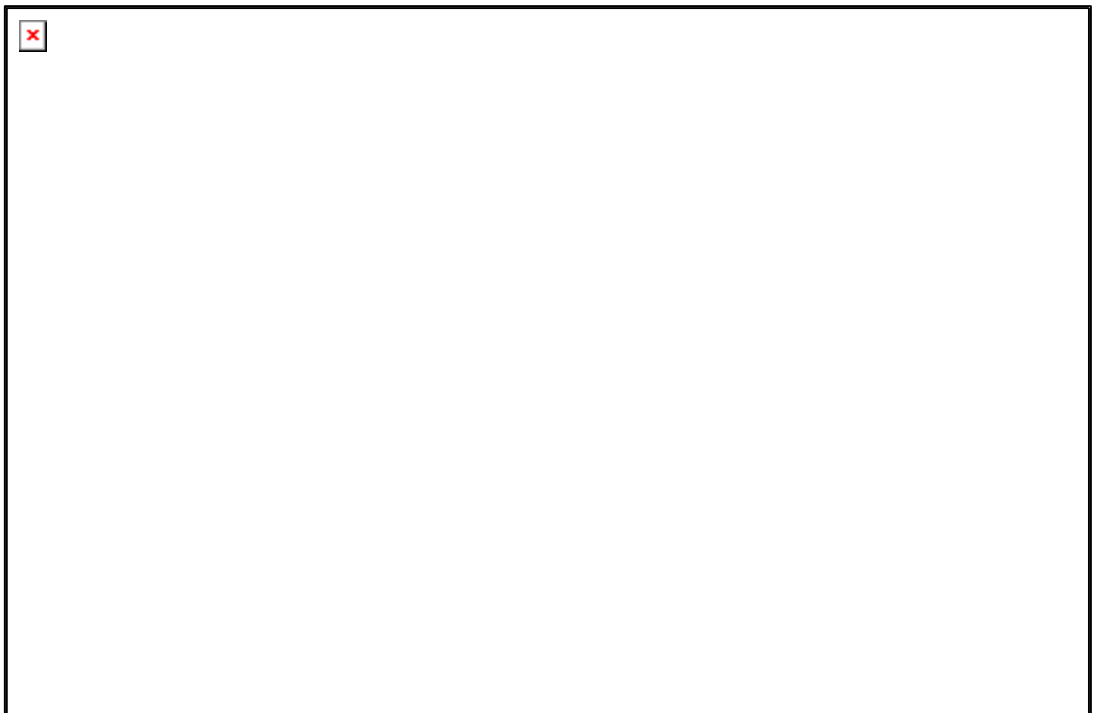
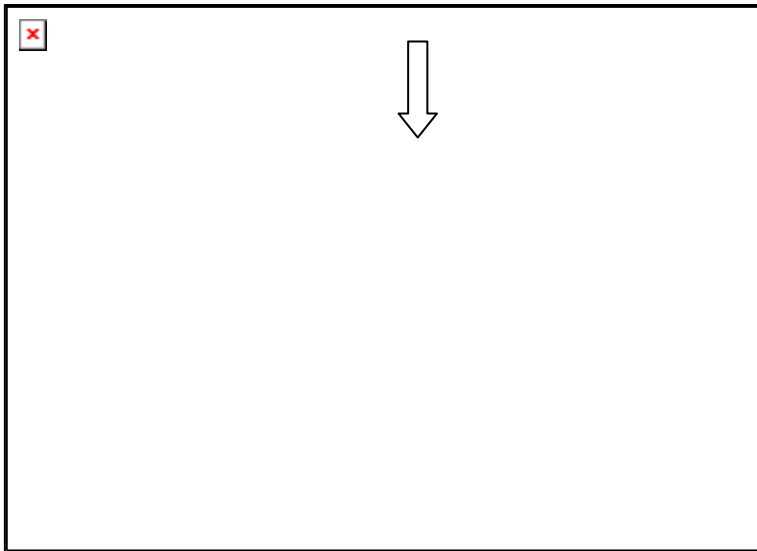
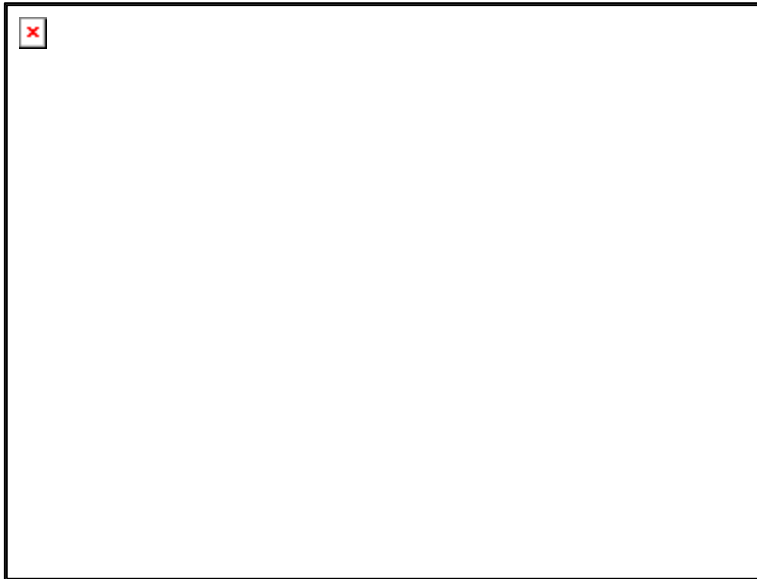
Uczymy się nie dla szkoły, lecz dla życia.



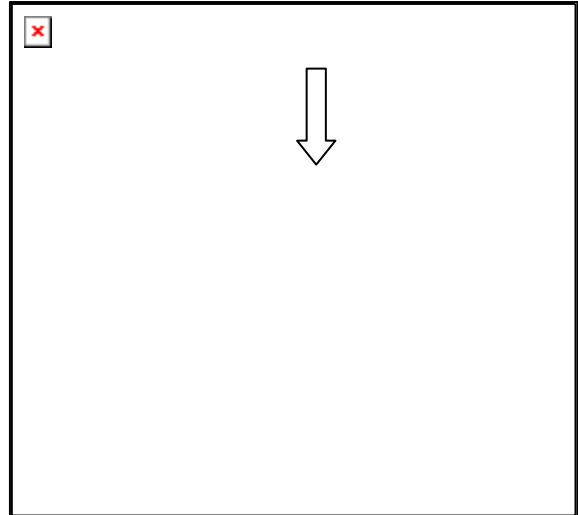
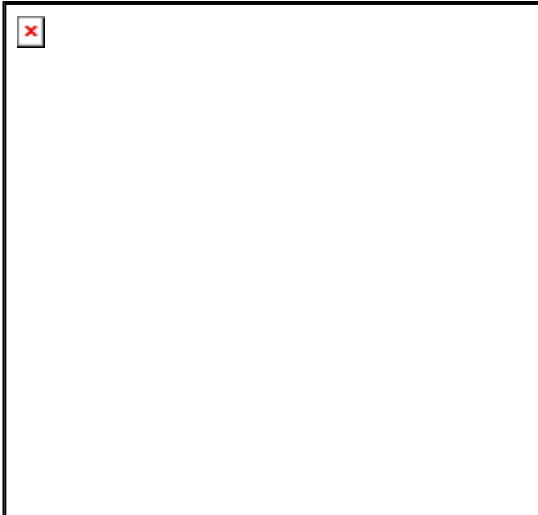
(Seneka Młodszy)

**Czy pamiętam,
że jeśli każdy sądzony
będzie według
uczynków
miłosierdzia – to cóż
dopiero ja, którą Bóg
szczególnie do nich**





*Największym
osiągnięciem
wykształcenia
jest tolerancja.*

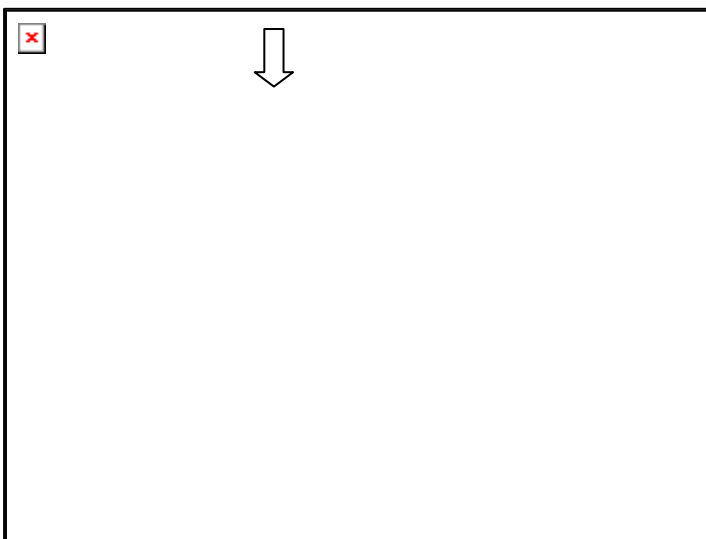


**trzeba nam dużo
prostych**

słów

*jak
chleb
miłość
dobroć
aby ślepi w ciemności
nie zgubili
właściwej drogi*

*trzeba nam dużo ciszy ciszy
i w powietrzu i w myśli
abyśmy usłyszeli głos
cichy nieśmiały głos
gołębi
mrówek
ludzi
serc*



*i ich bolesny krzyk
pośród krzywd
pośród tego wszystkiego
co nie jest
ani miłością
ani dobrocią
ani chlebem*

(Halina Poświatowska)

Cioteczka w otoczeniu



Odwiedziny
„Wujka”.



U „wrót”
pielęgniarstwa
parafialnego.



Jedno z ostatnich zdjęć
Hanny Chrzanowskiej, zrobione
ok. dwóch lat przed śmiercią.



***... Łobzowska 61 m. 6,
II p., drzwi na prawo,
tel. 33139,
kod 31-319 Kraków...***

(Hanna Chrzanowska)

ZAŁĄCZNIK NR 1:

Hanna Chrzanowska

U W A G I

o pielęgniarstwie parafiálnym /do roku 1970/

Odróżniamy dwie gałęzie pielęgniarstwa - w zamkniętej i otwartej opiece zdrowotnej.

Zamknięta opieka zdrowotna obejmuje osoby czasowo przebywające w zakładach zamkniętych takich jak szpitale i sanatoria, lub też przebywające stale w domach dla nieuleczalnie chorych.

Opieka zdrowotna otwarta rozciąga się nad ludźmi mieszkającymi w swych domach, którzy świadczenia lecznicze i zapobiegawcze otrzymują w zwykłych swych warunkach bytowania, a więc w środowisku domowym, albo środowisku nauki /szkoła/ czy pracy /np. zakład przemysłowy/. Są badani i leczeni w zakładach opieki zdrowotnej /przychodnia, ośrodek zdrowia/ albo - we własnym domu, gdzie przychodzi lekarz i pielęgniarzka.

Jedną z gałęzi pielęgniarstwa w otwartej opiece zdrowotnej jest pielęgniarstwo domowe. Obejmuje tych, których stan zdrowia nie wymaga pobytu w szpitalu, a w naszych polskich warunkach również i tych, którzy się do szpitala - w braku miejsca nie mogą dostać.

Jednak w krajach, w których szpitalnictwo stoi wysoko zarówno co do jakości usług, jak i co do ilości miejsc, tam właśnie i pielęgniarstwo domowe jest bardzo rozbudowane. Dzieje się tak nie tylko ze względów ekonomicznych - chory leczony i pielęgnowany w domu znacznie mniej kosztuje, niż chory w zakładzie zamkniętym. Chodzi tu o samopoczucie chorego znacznie w wielu przypadkach lepsze niż w szpitalu, zwłaszcza u chorego przewlekle.

Z powyższych uwag wynika, że pielęgniarstwo domowe nie jest jakimś działem drugorzędnym, mniej wartościowym niż pielęgniarstwo szpitalne - i to z punktu widzenia organizacji Służby Zdrowia. Bo przecież rozbudowanie tego działu pracy zwalnia kółka szpitalne dla tych, którzy ich koniecznie potrzebują, przez co wzrasta się tzw. "przelotowość" w szpitalu, o co tak bardzo chodzi.

Tym bardziej pielęgniarstwo domowe nie jest działem drugorzędnym z punktu widzenia humanitarnego i religijnego. W naszej "rzeczywistości" dobrze wiemy, że jest całe mnóstwo chorych po domach, których stan zdrowia krzyczy o pomoc.

Służba Zdrowia w Polsce w swoim bezprzebieżnie ogromnym rozwoju nie uwzględniła jeszcze tych chorych. Pielęgniarstwo domowe na większą, a konieczną skalę - nie istnieje. Nie jest nim pielęgniarstwo środowiskowe, gdyż pielęgniarka środowiskowa pełni w swoim rejonie przede wszystkim opiekę profilaktyczną oraz robi zastrzyki, a obłożnie chorych chronicznie pielęgnuje tylko sporadycznie, przesuwając ich w ręce pomocniczych Komitetów Opieki Społecznej, lub przyuczonych osób z punktów Polskiego Czerwonego Krzyża. Niestety jedno i drugie z najrozmaitszych względów nie zapewnia chorym wystarczającej pomocy. W Szkołach Pielęgniarstwa dział ten jest coraz bardziej kurczony tak, że ilość chorych pod opieką uczennic jest znikoma.

W roku 1957, znając rozpaczliwy stan rzeczy Hanne Chrzanowska, ówczesna kierowniczka szkolenia uczennic Szkoły Krakowskiej w pielęgniarstwie otwartym, powzięła myśl oparcia opieki domowej nad chronicznymi o Kościół. Myśl tę przedstawiła księdzu Krolowi Wojtyłce, dzisiejszemu kardynałowi, a następnie z nim razem - X. Infułatowi Machay'owi. X. Infułat Machay, proboszcz parafii Mariackiej, wielki zasłużony i powszechnie znany i czczony społecznik, myśl tę podjął od razu i od razu zastrzegł sobie, że nowa praca parialna nie może mu sprawiać kłopotu, "bo wy jesteście fachowcy, a nie ja". Takie postawienie sprawy wraz ze zrozumieniem, że praca ta jako główne zajęcie, a nie margines zajęć pielęgniarki musi być honorowana przez parafię - postawiło ją od początku na właściwej, realnej płaszczyźnie. Można było teraz pracę nie tylko rozpocząć, ale ją z roku na rok rozwijać na zasadach następujących:

1. Opiekunka chorych - świecka czy zakonna - jest pracownicą parafii i wobec chorego i jego rodziny występuje w imieniu proboszcza.

2. Jej praca - jak już zaznaczono - nie jest jej zajęciem pobocznym, lecz głównym i jest opłacana.
3. Jej obowiązki polegają na pielęgnowaniu obłożnie chorych przede wszystkim chronicznie nie w zakresie długich dyżurów, tylko w zakresie czasu potrzebnego do wykonania pewnych czynności tak, że pod opieką może mieć od 6-7 chorych dziennie. Czynności te, to ścisła pielęgnacja /zabiegi higieniczne jak toaleta, kąpiele, czesanie, mycie głowy, zapobieganie odleżynom: itd./, oraz opatrunki i niektóre zabiegi rehabilitacyjne. Natomiast opiekunki chorych nie dublują usług Służby Zdrowia, a więc nie podejmują się wykonywania samych tylko zastrzyków.
4. Kryterium przyjmowania pod opieką nie jest stan materialny chorego, tylko stwierdzona potrzeba pielęgnacji; chorzy zaможniejsi mogą składać datki dobrowolne na cele opieki nad chorymi.
5. Czynności pozapielęgniarskie jak sprzętanie, zakupy itp. opiekunka chorych wykonuje tylko wyjątkowo.
6. W pracy swej opiera się o rodzinę chorego i sąsiadów, których uczy pielęgnacji, oraz na zorganizowanym przez proboszcza szerokim aktywie ochotniczym.

Zasadniczym błędem w organizowaniu szerokiej pomocy parafialnej obejmującej chorych, ubogich, rodziny wielodzietne itd. jest nie wyodrębnianie opieki nad chorymi wymagającymi systematycznej pielęgnacji - od innych zagadnień, a więc łączenie w jednym ręku pielęgnowanie i innej opieki.

Zasadą przyjętą obecnie przez kościelną akcję charytatywną jest powierzenie prac w parafii dwu osobom, z których każda ma własny dział pracy, a które ściśle z sobą współpracują. Są to:

opiekunka /świecka/ czy siostra - parafialna,
opiekunka parafialna opiekunka chorych /zakonna lub świecka/.

Trudności były i są nienależne. Proboszczowie starsi, przyzwyczajeni do tradycyjnej opieki nad ubogimi, do dawania im paczek

i zapomóg, nie mogli pojąć potrzeby zajmowania się także zamożniejszymi parafianami chorymi. Po wtóre nie od razu rozumieli, że praca musi być honorowana, gdyż znowu w tradycji leżało to, że praca w zakresie miłosierdzia musi być bezpłatna. Po trzecie stale się obawiają, że wprowadzenie do domu pielęgniarki parafialnej zdemoralizuje otoczenie, które wszystko na nią zwali. Trzeba było i trzeba stale tłumaczyć, że fakt posiadania rodziny bardzo często nie pokrywa się z możliwością opieki nad chorym. A często po prostu oświadczali: "u nas nie ma chorych".

Trudności napotymano też ze strony zgromadzeń zakonnych; podobnie jak u proboszczów niezrozumienie, że się opieka nie może ograniczać tylko do "ubogich",

obawa, że młoda siostra może być przez pracę w terenie wytracona z obowiązków zakonnych /SS. Duchaczki znalazły znikomite rozwiązanie, mianowicie przydzielają do pracy nawet junioratki, ale tylko na cztery godziny dziennie tak, że na długo nie wydalają się z domu. Natomiast praca ta zawarta w założeniach tego zgromadzenia wchodzi w ten sposób w zakres formacji siostr/,

niektóre siostry zakonne - zwłaszcza na początku - okazywały brak zrozumienia istoty pracy pielęgniarki domowej, uważając ją za coś "niższego": nie chcemy być służącymi....

Trudnością istotnie często nie do pokonania jest brak sióstr; ale ileż jest takich, które mogłyby pracować wśród chorych, zamiast po różnych spółdzielniach rękodzielniczych. Natomiast brak ubezpieczenia dotyczy przecież nie tylko sióstr - opiekunek chorych, ale i innych zatrudnionych w parafii.

Nie wszyscy księża i nie wszystkie Zgromadzenia doceniają wartość apostolską pracy parafialnych opiekunek chorych i rezultaty ich pracy w zakresie tym zakresie. Wynikają one i z samego faktu, że idziemy z ramienia Kościoła, a więc Chrystusa i z samej istoty pracy - prawdziwego służenia.

Sprawą niezmiernie wagi jest dobór odpowiednich osób tak co do przygotowania, jak kwalifikacji i charakteru.

Wszędzie tam, gdzie pielęgniarstwo domowe jest szeroko rozbudowane, a więc w krajach zachodnich - właśnie pielęgniarki domowe mają bardzo wysokie kwalifikacje zawodowe, a więc nie tylko ukończoną szkołę pielęgniarską, ale i dodatkowe studia uprawniające do pracy w pielęgniarstwie otwartym. Świadczy to o wysokim pojmowaniu ich obowiązków. Nie chodzi przecież o samą technikę pielęgniarską, ale o umiejętność nauczania, umiejętność głębokiego wglądu w środowisko chorego i jego potrzeby, znajomość ustawodawstwa społecznego i zdrowotnego. Kierowania do różnych instytucji. Ostatnio np. w Stanach Zjednoczonych wprowadzono jednak do pracy domowej osoby o niższych kwalifikacjach zawodowych, ale pracujących pod egidą pielęgniarek dyplomowanych.

Rozwój parafialnej opieki nad chorymi
w Krakowie.

- Rok 1957: od czerwca - 25 chorych rozrzuconych po ośmiu parafiach, dwie opiekunki chorych.
- Rok 1958: chorych 69-osób z dwunastu parafii, cztery opiekunki. Założono biblioteczkę. Zakupiono inwentarz. Paczki na Boże Narodzenie dla niezamożnych chorych.
- Rok 1959: chorych 72-osób z trzynastu parafii, opiekunek 5. Obchodzono imieniny chorych. Wigilia Bożego Narodzenia - "goście wigilijni". Początek odwiedzin przez studentów. Współpraca z Sądem Nieletnich, harcerstwem kolonią letnią. Brak zgłoszeń chorych przez większość proboszczów!
- Rok 1960: chorych 177-osób z 17 parafii, osiem opiekunek /cztery zakonne, cztery świeckie/. Odwiedziny w Wołkim Poście. Ks. biskupa Wojtyły u 35-ciu chorych. Organizowanie par pomagających: ozytanie, rozmowa, drobne usługi.

- Rok 1961: chorych 115-~~ty~~ w piętnastu parafiach, opiekunek stałych przeciętnie miesięcznie 3-6, pomocniczych ochotniczek 9. Korespondencja z Ks. Kaczem. w kilku wypadkach. Nabożeństwo chorych w parafii św. Mikołaja. Ms. święte w domu. "Apostolstwo" ^{Chorych} - prenumerata.
- Rok 1962: chorych 215-~~ty~~, opiekunek szesnaście w piętnastu parafiach. Chorzy otrzymali soborowe orędzie Ks. Prymasa. Dorywcza ochotnicza pomoc dwunastu pielęgniarek, około dwudziestu osób "dobrej woli". Współpraca z kirykami.
- Rok 1963: Chorych 241, w piętnastu parafiach, opiekunek osiemnaście. Zaangażowanie pracownicy społecznej. Wciąganie młodzieży. Alumni częstochowscy, krakowscy i śląscy /dawniej już/. Pomoc ochotnicza lekarzy.
- Rok 1964: Chorych 246, opiekunek osiemnaście w piętnastu parafiach. Rozpoczęcie pracy w Białej. Pierwsze Rekolekcje w Trzebini, jeden turnus.
- Rok 1965: Chorych 307-~~ty~~ w szesnastu parafiach. Opiekunek 21. Rozpoczęcie pracy w Żywcu i Oświęcimiu. Rekolekcje w Trzebini - 1 turnus, trzy-miesięczny kurs pielęgniarski dla sióstr zakonnych.
- Rok 1966: Chorych 385-~~ty~~ w siedemnastu parafiach, opiekunek 21. Wciągnięcie do pracy kleryków Zmartwychwst. Rozpoczęcie pracy w Nowym Targu. Rekolekcje w Trzebini - 1 turnus. Milenium - 7 punktów sanitarnych /około 600 przypadków/.
- Rok 1967: Chorych 435-~~ty~~ - pielęgnowanych, bez pielęgnacji z Parafii osiemnaście, opiekunek dwadzieścia sześć. Rekolekcje w Trzebini - 2 turnusy. Coraz większa pomoc

zwłaszcza młodzieży akademickiej.

Rok 1968: Chorych pielęgowanych 474, bez pielęgnacji 376, razem 870-ciu. Parafii osiemnaście, opiekunek dwadzieścia siedem.

Rozpoczęcie pracy w Chrzanowie. Rekolekcje w Trzebini - 2 turnusy. Początek konsolidowania się grupy inwalidów. Coraz większa współpraca z młodzieżą akademicką.

Rok 1969: Chorych 485-ciu w 19 parafiach, opiekunek dwadzieścia siedem. Chorych bez pielęgnacji 506, razem 991. Rekolekcje w Trzebini - ~~cztery~~^{cztery} turnusy. Wyświetlanie przeżyci różańcowych po domach. 72 środowiska domowe pod opieką młodzieży akademickiej.

Rok 1970: Rozpoczęcie pracy w Jaworznie. Rekolekcje w Trzebini - 4 turnusy. Rekolekcje w Zakopanem pierwsze - jeden turnus.

Przeszkolenie:

2 dni w Maniowych

3 dni w Zakopanem

3 dni w Nowym Targu

Cykl dla Sekcji Społecznej Klubu Inteligencji Katolickiej. Zakończenie szóstego 3-miesięcznego kursu pielęgniarskiego sióstr zakonnych. /Razem ukończyło 191 sióstr/.

Poza Diecezją:

W Warszawie - z inicjatywy krakowskiej podjętej najprzód przez laikat warszawski /Teresa Strzembosz/, potem przez Siostry Miłosierdzia, praca rozpoczęła się jesienią 1960 roku.

W różnych latach starano się zainicjować pielęgniarstwo parafialne w Kielcach, Łodzi, Poznaniu, Lubli-

nie, Płocku, Częstochowie i w Nowym Sączu.
Rezultaty o ile wiem, są żadne albo minimalne.

ZAŁĄCZNIK NR 2:

SPRAWOZDANIE

Z PRACY PIELĘGNIARSTWA PARAFIALNEGO

w Krakowie za miesiąc listopad 1958 r.

Pracownicy etatowych opiekanych przez parafię N.M.P.	3	
Z października przejęto do dalszej pielęgnacji,	19	chorych
W listopadzie przybyło nowych	6	"
razem	25	"
Z tego z Parafii N.M.P.	4	"
" św. Anny	2	"
" " Floriana	1	"
" " Józefa	1	"
" " Katarzyny	1	"
" " Szczepana	6	"
" Najśw. Salvatora	3	"
" N.M.P. z Lourdes	2	"
" M. N. Świętych	5	"
W ciągu listopada ubyło	3	"
Na grudzień pozostało	22	"

Wywiadów i odwiedzin jednorazowych przeprowadzono 19.
 Dla kilkunastu chorych zakatowano dostarczenie leków.
 Z otrzymanych w darze książek założono biblioteczkę dla chorych.



*Dr. Andrzej Łopata, dyrektor
 Kraków, 25 lutego 1998 r.*

Alina Ruzan, pielęgniarka

Alina Ruzan

ZAŁĄCZNIK NR 3:

WZĄD PARAFIALNY
 Św. Szczepana
 w Krakowie

Rodzaj udzielanej pomocy pielęgniarskiej oraz
 ilość odwiedzin miesięcznie w r.1958 w ramach
 pielęgniarstwa parafialnego.

Parafia św. Szczepana w Krakowie.

IV.58. V.58. VI.58. VII.58. VIII.58. IX.58. X.58. XI.58. XII.58.

Odwiedziny	30	28	37	26	17	35	40	46	20=2'
Zakupy	3								6
Telefony	5								=
Załatw.wiz.lek.	2		1					4	2=
Umieszcz.w szpit.		2							
Obiady		3							
Sniadania I i II					2	4	4	4	3=
Mycie	3	4	12	3	15	24	15	9	10 =
Załatwienie Ubez.	1	1			1				=
Zastrzyki	11	8	7					8	8 =
Podanie lekarstw	4	3	3					4	1 =
Przesłanie łóżka	3		12	4	8	18	8	10	6=
Książki do chorych	1	2	1		2		2	3	1=
Zapomogi	10	10	9			10	12	12	=
Masaże					8	8	8	10	6=

Łącznie wszystkich usług dokonano od IV.58.do XII58 6

Kraków, 18.XII.1958.

S. J. [signature]

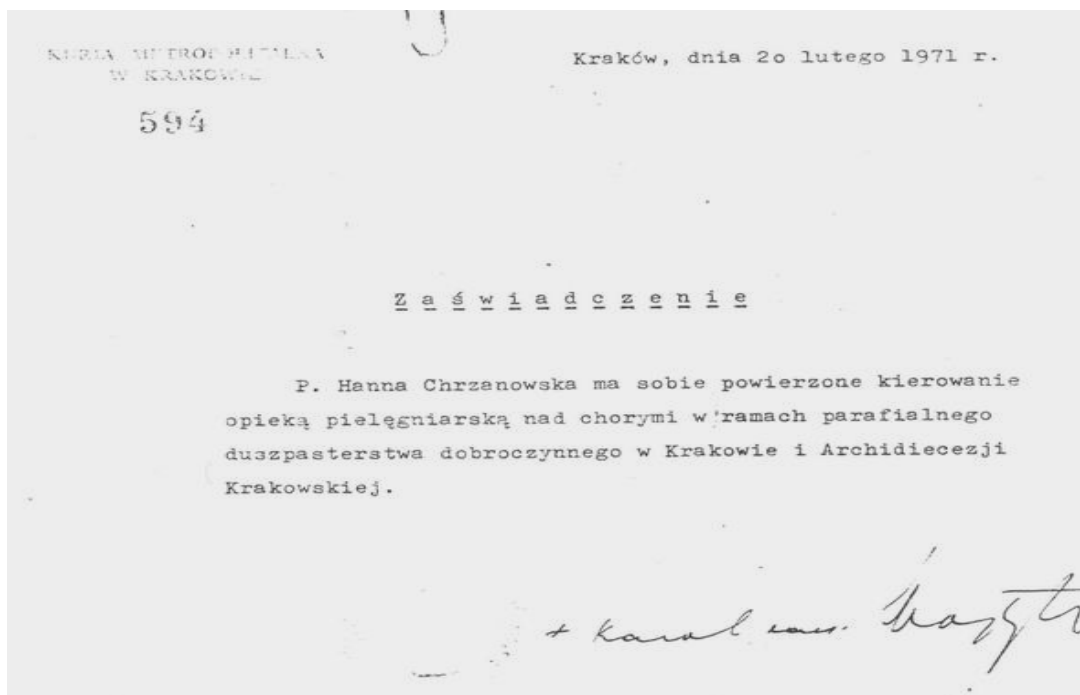


Pro uera ratio

Ks. Andrzej Jędrzejko, dyrektor

Kraków, 20 lutego 1998r.

ZAŁĄCZNIK NR 4:



ZAŁĄCZNIK NR 5

